SUPERMODELKA I SPÓŁKI
ANJA RUBIK WALCZY Z PRAWICĄ, A JEJ ZNAJOMI DOSTAJĄ POSADY
CZY MENTZEN MA OBSESJĘ NA PUNKCIE PIS?
ŻYDOWSKA POLICJA W CZASIE WOJNY. O CZYM NIE CHCĄ MÓWIĆ ENGELKING I GRABOWSKI
WSTRZĄSAJĄCY TEKST O SAMOTNOŚCI RZYDZIESTOLATKÓW

SIECI

SIECI

NAJWIĘKSZY KONSERWATYWNY TYGODNIK OPINII W POLSCE

37 (667) 2025
8–14 września 2025
CENA: 12,90 zł
(w tym 8% VAT)

TYLKO U NAS

TRIUMF W BIAŁYM DOMU

SPECJALNIE DLA PAŃSTWA MARCIN WIKŁO ODKRYWA KULISY HISTORYCZNEGO SPOTKANIA PREZYDENTÓW KAROLA NAWROCKIEGO I DONALDA TRUMPA

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694
Numer w sprzedaży do 15 IX 2025 r.

eprasa.pl 848ef1d67b

Czytaj nas w najlepszej cenie!

Teraz **tylko 7,35 zł** za jedno wydanie (w prenumeracie rocznej), podczas gdy cena w kiosku to **12,90 zł**.

Jak zamówić papierową prenumeratę tygodnika SIECI ?

1

Wybierz swoją prenumeratę

	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
cena prenumeraty	118 zł	207 zł	**375 zł** NAJLEPSZY WYBÓR
cena w kiosku	~~167,70 zł~~	~~322,50 zł~~	~~657,90 zł~~

Informacje o prenumeracie: tel. 22 616 36 00 (poniedziałek-piątek w godz. 14-16)

2

Zamów i opłać

- Zamów prenumeratę przez stronę **www.sieciprawdy.pl/prenumerata** i opłać przelewem ze swojego konta
- **Jeśli nie korzystasz z internetu**, opłać prenumeratę na poczcie, podając dane do wpłaty w okienku

Wytnij karteczkę-niezbędnik na pocztę

Dane do opłacenia prenumeraty Sieci na poczcie:

Nazwa odbiorcy: Fratria sp. z o.o.

Nr konta: 91 1240 5354 1111 0010 7713 6290

Tytuł wpłaty: .....

.....

(tu wpisz adres dostawy prenumeraty – to warunek otrzymania prenumeraty)

Kwota: .....

(tu wpisz cenę wybranej prenumeraty, np. 375 zł)

eprasa.pl-848ef1d67b

Now Rocky!

Wszedł do światowej polityki niczym taran. Już po jego pierwszej wizycie zagranicznej można powiedzieć, że Karol Nawrocki zrobił dla naszego bezpieczeństwa więcej niż rząd Donalda Tuska przez 20 miesięcy urzędowania. Tyle bowiem znaczą gwarancje polsko-amerykańskiego sojuszu, które potwierdził Donald Trump w Gabinecie Owalnym.

Rozwianie wątpliwości na temat obecności wojsk USA w Polsce, a nawet możliwość zwiększenia ich kontyngentu i formuły wystarczyłoby, aby móc ogłosić sukces wizyty w Waszyngtonie. Nawet szef naszej dyplomacji w taki sposób definiował wagę spotkania, jakby po cichu liczył na to, że Karol Nawrocki nie uzyska za oceanem zbyt wiele.

Tymczasem w tym obszarze mamy też zapowiedź „nowego projektu" w dziedzinie obronności i powrót idei stałej bazy US Army na polskiej ziemi. Dodatkowo wraz z zaproszeniem Karola Nawrockiego na szczyt G20 na Florydzie otwierają się dla naszego kraju drzwi do tego klubu. Mamy wreszcie wsparcie Trumpa dla formatu Trójmorza, oznaczające inwestycję w Polskę jako lidera regionalnego z jasnym przedstawieniem optyki Waszyngtonu: to Nawrocki będzie rozdawać karty w naszej części świata.

Nie tylko polskie, lecz także światowe media odnotowują doskonałe relacje prezydentów Polski i USA, gwarancje bezpieczeństwa, jakie Polska ma od Waszyngtonu, i kreślą wizerunek Karola Nawrockiego jako lidera, nawet jeśli czasem tym publikacjom towarzyszą mające go zdeprecjonować sformułowania o „europejskim Trumpie".

Choć krótka, ta wizyta napakowana była również symbolami, niekiedy równie ważnymi w polityce na najwyższym szczeblu co podpisane dokumenty. W pamięci pozostaną myśliwce nad Białym Domem i hołd dla mjr. Krakowiana, opaska powstańca warszawskiego sprezentowana Trumpowi i masa ikonicznych fotografii, których wystarczyłoby do zobrazowania kilku spotkań, a nie tylko jednego.

Prezydent Trump wydaje się zafascynowany swoim polskim odpowiednikiem. Widać, że Karol Nawrocki wręcz mu imponuje. Czuć między nimi chemię. To musi cieszyć, bo przecież pozwala na inny poziom relacji z kluczowym sojusznikiem. Mówimy o kapitale, którego nigdy nie zdobędzie obóz rządowy.

Prezydent słusznie zignorował świstek przysłany mu przez Radosława Sikorskiego, szumnie nazywany przez rządzącą większość „instrukcjami". Już w trakcie konferencji w Gabinecie Owalnym wyraźnie zobaczyliśmy, jak sprzeczny z interesami Polski był list z MSZ. Wyobraźmy sobie, że Karol Nawrocki i jego ministrowie nie rozmawiają w Białym Domu o współpracy wojskowej czy energetyce. Co by wówczas zostało z tej wizyty? Niewiele. I pewnie krajowi wrogowie prezydenta by się z tego cieszyli, ale dla Polski byłby to fatalny scenariusz.

Wizyta w Waszyngtonie zamyka pierwszy, błyskawiczny etap kadencji Karola Nawrockiego. Wystarczył miesiąc, by głowa państwa dowiodła, z jakim impetem i efektywnością może być sprawowana prezydentura. Pokazał, że to on wie, gdzie znajdują się klucze do polskiego bezpieczeństwa – w jego ręku. Przy Karolu Nawrockim Donald Tusk staje się coraz bardziej karykaturalnym aspirantem, bo może co najwyżej aspirować do odgrywania jakiejkolwiek roli w polityce międzynarodowej.

Widzi to świat, widzą to Polacy, a także Amerykanie. Powtarzana przez Trumpa fraza o „wyjątkowych relacjach" nie była tylko gestem wobec polskiego prezydenta, lecz także elementem narracji suflowanej amerykańskim mediom zapowiadającym przelot myśliwców na powitanie polskiej głowy państwa. Jest zatem również komunikatem skierowanym przez Trumpa na rynek wewnętrzny.

Polskiego prezydenta nie znajdziemy na fotografiach z Gabinetu Owalnego sprzed dwóch tygodni, gdy przywódcy państw europejskich niczym uczniaki słuchali wykładu amerykańskiego przywódcy. Chwilę później Karol Nawrocki ma w tym miejscu całą serię zdjęć ze swoim nowym kumplem Donaldem – bo chwilami tak to wygląda na obrazkach. Pomiędzy pozowaniem do nich znacząco podniósł status polskiego bezpieczeństwa i prestiżu, co musieli przyznać nawet premier z szefem MSZ w swoich wpisach internetowych.

Teraz możemy się spodziewać jeszcze większych ataków na głowę państwa ze strony systemu Tuska. Wyglądająca na jakieś głębsze stadium obłędu onetowska konkluzja, że wizyta w Waszyngtonie nie jest sukcesem prezydenta Nawrockiego, lecz... ministra Kosiniaka-Kamysza, stanowi tego zapowiedź.

Ależ oni wszyscy się jeszcze zdziwią.

Marek Pyza

Autopromocja

eprasa.pl 848ef1d67b

SIECI spis treści

31 Uczeń wyprany z wiedzy
Z Jolantą Dobrzyńską rozmawia Dorota Łosiewicz

36 Miasteczko lemingów
Konrad Kołodziejski

53 Odsiecz wiedeńska – niewiele brakowało, aby do niej nie doszło
Stanisław Płużański

NA POCZĄTEK

5 **SOLIDARNOŚĆ I WAŁĘSA**
Bronisław Wildstein

6 **SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia

8 **SZARPANIE ZA MANKIET**
Dorota Łosiewicz

10 **ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejski

12 **BRUKSELSKIE MARZENIA O ZIELONYM RAJU**
Daniel Obajtek

13 **ZACHÓD MUSI SIĘ SKONSOLIDOWAĆ**
Marta Kaczyńska-Zielińska

14 **WALIZKA JANA KWILMANA**
Michał Korsun

16 **REGION MAZOWSZE**
Jan Pietrzak

16 **ZDEMASKOWANI**
Samuel Pereira

17 **DYPLOMACJA PREZYDENCKA W INTERESIE POLSKI**
Arkadiusz Mularczyk

18 **Z ŻYCIA ELIT III RP**
Ryszard Makowski

TEMAT TYGODNIA

20 **OSIAGNĄŁ WIĘCEJ, NIŻ MÓGŁ SIĘ SPODZIEWAĆ**
Marcin Wikło

KRAJ

24 **PiS: KONFEDERACJA JEST PRZEREKLAMOWANA**
Piotr Gursztyn

27 **MODELKA I PAŃSTWOWE SPÓŁKI**
Łukasz Wróblewski

31 **UCZEŃ WYPRANY Z WIEDZY**
Z Jolantą Dobrzyńską rozmawia Dorota Łosiewicz

34 **POPYCHACZE TUSKA**
Stanisław Janecki

36 **MIASTECZKO LEMINGÓW**
Konrad Kołodziejski

OPINIE

39 **OSTATNI LUDZIE Z OSTATNIEGO POKOLENIA**
Maciej Walaszczyk

42 **SPRAWA KSIĘDZA DOMINIKA**
Goran Andrijanić

ŚWIAT

44 **PUTIN, TRUMP CZY ZEŁENSKI. KTO OKAŻE SIĘ SŁABSZY?**
Marek Budzisz

47 **SOCJALIŚCI PROWOKUJĄ AMERYKĘ**
Jan Rokita

50 **NIEMCY PÓJDĄ W KAMASZE?**
Aleksandra Rybińska

HISTORIA

53 **ODSIECZ WIEDEŃSKA – NIEWIELE BRAKOWAŁO, ABY DO NIEJ NIE DOSZŁO**
Stanisław Płużański

56 **O ŻYDOWSKIEJ POLICJI W CZASIE WOJNY**
Piotr Gontarczyk

SIECI KULTURY

59 **PIĘKNY I BESTIE**
Jolanta Gajda-Zadworna

61 **RECENZJE**
Maciej Walaszczyk

62 **HITY I KITY**
Piotr Zaremba

64 **GLOBALNA WIOSKA OFFLINE**
Robert Tekieli

GOSPODARKA

66 **DEWELOPERZY BĘDĄ BUDOWAĆ… SCHRONY**
Grzegorz Szafraniec

PODRÓŻE

68 **MOJE SZLAKI: JAROSŁAW NOWAK**
Jolanta Gajda-Zadworna

KUCHNIA

69 **SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

70 **ŚLEPI I GŁUSI**
Wojciech Reszczyński

71 **OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki

72 **OKRUCHY SIERPNIA**
Aleksander Nalaskowski

73 **CZAS PRZESZŁY DOKONANY**
Ryszard Czarnecki

74 **ZIELONE JEDYNIE INTENCJE?**
Katarzyna Zybertowicz

eprasa.pl 848ef1d67b

BRONISŁAW WILDSTEIN

Solidarność i Wałęsa

Felieton ten powinienem opublikować tydzień temu. Uznałem jednak, że natychmiastowej reakcji domaga się sprawa Dominka B., politycznego więźnia, któremu grozi utrata wzroku, a wszystko wskazuje, że prokurator Karol Zok i jego mocodawcy traktują to jako sposób na wymuszenie od niego zeznań. Zajęcie się tym to kwestia elementarnej solidarności, o rocznicy której jest obecny felieton.

Świadomość niezwykłego znaczenia Solidarności zaczyna się upowszechniać, chociaż daleko do tego, aby została rozpoznana i uznana tak jak na to zasługuje. Był to wielki narodowy zryw obywatelski odsłaniający głębokie pokłady republikańskiej kultury, która przetrwała w Polsce pomimo najbardziej niesprzyjających okoliczności.

Solidarność wybuchła w dobie komunizmu, który usiłował odebrać nam tożsamość, rozbić wszelkie wspólnoty i sprowadzić Polaków do roli samotnych, a więc bezbronnych jednostek naprzeciw totalitarnego molocha. Ten niezwykły w skali uniwersalnej ruch dowodził trwałości kulturowego dziedzictwa i roli wspólnotowej tożsamości. Presja systemu spowodowała, że przybrał formę związku zawodowego, którego funkcję pełnił również, ale jego rola daleko wykraczała poza syndykalistyczne ramy.

Solidarność miała wymiar heroiczny i dowodziła, że Polaków stać na najwyższe poświęcenie w obronie dobra wspólnego – ryzyko interwencji wojsk Układu Warszawskiego było wówczas jak najbardziej realne. Republikański charakter ruchu objawił się w poświęceniu spraw partykularnych na rzecz interesu wspólnoty.

16 sierpnia 1980 r. żądania stoczniowców zostały spełnione, dostali oni wysoką podwyżkę i Lech Wałęsa ogłosił koniec strajku. To na skutek interwencji Anny Walentynowicz i Aliny Pieńkowskiej robotnicy zgodzili się kontynuować strajk w obronie innych, którzy wstrzymali pracę. Ten dzień to narodziny Solidarności.

Dominująca współcześnie liberalno-lewicowa ideologia emancypacji jako wyraz kultury ograniczenia piętnuje narodową tożsamość, religijne zaangażowanie czy przywiązanie do tradycji, wszystko to, co stanowiło wielkość i siłę Solidarności. Nic dziwnego, że pamięć o niej przy retorycznym uznaniu jest realnie redukowana przez dominujące ośrodki opiniotwórcze. Mogliśmy oglądać to przy okazji obchodów ostatniej rocznicy, w których eksponowanie dwuznacznej figury Wałęsy przesłonić miało zryw całego narodu.

Dla wspomnianych ośrodków stał się on bohaterem, kiedy na światło dzienne wyszła jego agenturalna przeszłość. Zbiegło się to z nobilitowaniem przez niego ubeckiego układu, na którym wspierał się już jako prezydent. Nikt nie zrobił tyle dla kompromitacji Solidarności, co jej dawny lider.

Ponieważ nie sposób już zanegować agenturalnego uwikłania Wałęsy – chociaż on sam jak zwykle kłamie na ten temat ostentacyjnie – lekceważone jest ono jako chwilowe załamanie się dzielnego opozycjonisty. Przedstawienie w ten sposób sześcioletniego płatnego donosicielstwa, z którego przyszły przywódca uczynił sobie model życia, jest głęboką mistyfikacją. Wałęsa niszczył życie ludzi, którzy mu zaufali i uznawali za swojego przyjaciela. Kiedy przypomniano mu o nich, z pogardą ogłosił, że byli nikim. To nie on zakończył współpracę, ale SB, która miała dość jego mitomanii.

Nie to jest jednak najważniejsze. Nie wiemy dokładnie, jak do strajkującej stoczni dostał się Wałęsa, wiemy, że kłamie na ten temat. Wiemy, że komunistyczni dostojnicy uważali go za „swojego człowieka" na czele strajku. Mylili się. Wałęsa jest typem cwaniaka, któremu wydaje się, że potrafi przechytrzyć wszystkich i zawsze gra tylko na siebie. To obdarzony charyzmatycznym talentem megaloman. Naprzeciw siebie miał jednak komunistyczną instytucję, która umiała rozgrywać takie osobowości.

To nie Wałęsa stworzył Solidarność, ale ona stworzyła go również jako swojego lidera. Charakter tego ruchu ograniczał jego zapędy i chociaż przywódca zawsze usiłował podporządkować go sobie i zlikwidować jego demokratyczny rdzeń, nigdy mu się to nie udało. To na tym pragnieniu grali jego „partnerzy" z komunistycznych służb.

Kiedy rząd Tadeusza Mazowieckiego zaczął marginalizować Solidarność i Wałęsę, ten w walce o swoją pozycję stanął na czele walczących o swoje ideały, zorganizowanych przez braci Kaczyńskich solidarnościowców. Po zwycięskich wyborach prezydenckich dokonał kolejnego zwrotu, czego najbardziej widomym znakiem było obalenie rządu Jana Olszewskiego. Wałęsa nie chciał być reprezentantem wspólnoty, ale autokratą. Skończyło się to groteskowo, chociaż odzyskał sympatię propagandy III RP, która wcześniej go diabolizowała.

Od tego czasu Wałęsa coraz bardziej blamował się i pogrążał w śmieszności. I coraz bardziej eksponowany był przez siły III RP, dla której postać taka jako reprezentant Solidarności stanowi rozwiązanie idealne. Osoba Wałęsy nie potrafi jednak przesłonić wielkiego, narodowego powstania, które odbudowało etos polskiej wspólnoty.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 848ef1d67b

Sygnalista nadaje

Minister spraw zagranicznych, szef dyplomacji i arbiter elegancji JE ***Radosław Tomasz Sikorski*** odbył wiekopomne i strategiczne spotkanie na najwyższym na Florydzie poziomie z Marco Antonio Rubio, swoim odpowiednikiem ze Stanów Zjednoczonych. W tym samym czasie niejaki Nawrocki spotkał się z jakimś Trumpem. To drugie odnotowujemy z kronikarskiego obowiązku, gdyż jak wiadomo w USA prezydent to jedynie strażnik żyrandola, a prawdziwe decyzje podejmuje się na Florydzie.

Biedna „Gazeta Wyborcza". I biedny TVN. Karol, człowiek, który został prezydentem, nie zabrał ich ze sobą do Waszyngtonu. A obie redakcje chciały obiektywnie, bezstronnie i nawet z życzliwością zrelacjonować jego wizytę za Wielką Wodą. I nie dostały tej szansy.

Ten Nawrocki znów się czepia Niemców. I to na Westerplatte, miejscu symbolicznym, gdzie wszystko zaczęło się od złego słowa Polaka przeciw Niemcowi, no i potem niezbyt dobrego słowa Niemca przeciw Polakowi. No były takie nieco bolesne nieporozumienia, ale po co do tego wracać? Czy nie lepiej zamiast gadać o tych reperacjach, byłoby zaśpiewać „Odę do radości" z pięknymi słowami, że „alle Menschen werden Brüder"? To znaczy – prawie wszyscy ludzie będą braćmi, bo niektórzy będą siostrami, no i nie dotyczy to pisiorów.

To nie koniec antyniemieckiej obsesji tego Nawrockiego. Po tym, jak zablokował możliwość rozwoju Ten Kraju przez stawianie prawie zupełnie nieużywanych wiatraków marki Siemens, rzuca kolejne kłody pod nogi naszej europejskości. Nawrocki i jego faszystowska szajka usiłuje zablokować rozwój kolei bardzo dużej szybkości. Domaga się zrezygnowania z demokratycznego i proeuropejskiego Igreka na rzecz przywrócenia zaściankowych pisowskich szprych kolejowych. I tu znowu widzimy obsesję Nawrockiego na punkcie Siemensa. Przecież każde dziecko o dowolnej tożsamości płciowej wie, że szybkie pociągi potrafi zrobić tylko Siemens. A te zaściankowe zrobiłaby jakaś wieśniacka PESA albo inny Pafawag. Przez tego Nawrockiego niemiecka prasa znowu będzie negatywnie pisała o Ten Kraju. Co mu przeszkadza ten Siemens? Czy on nie wie, że kapitał nie ma narodowości? My zresztą też jej nie mamy.

Następny, niezliczony już skandal z Nawrockim w roli głównej. Neoprezydent okradł Rafała. To nie dla niego były te pieniądze, ale dla prezydenta naszych serc. W przyszłym roku na Nawrockiego i jego neo-Kancelarię pójdzie 320 mln PLN. Za dużo jak dla takiego typa z Gdańska. To było skrojone na potrzeby prawdziwego męża stanu ***Rafała Trzaskowskiego*** (a i tak za mało jak na jego format). To prawie tyle samo pieniędzy, co na Kancelarię Sejmu, która ma dostać 900 mln. Tu mamy wątpliwości – czy warto dawać tyle kasy temu zdrajcy Hołowni? Dopóki mec. Giertych i dr Kontek nie zdążą przeliczyć głosów i udowodnić, że wybory były nieważne, jest ryzyko, że Nawrocki wyda te pieniądze.

Prawdziwy zwycięzca wszelkich konkurencji Rafał Trzaskowski zastąpił ***Jacka Karnowskiego***. No niestety, nie tego antydemokratycznego Karnowskiego z prawackiej szczujni „Sieci", ale tego demokratycznego Karnowskiego z So-

eprasa.pl 848ef1d67b

potu (wskazówka: ten demokratyczny jest bardziej kudłaty). Ale na początek dobre i to. Rafał przejął od niego przewodniczenie organizacji Ruchu Samorządowego „Tak dla Polski" (chodzi o Ten Kraj). To organizacja masowa, zrzesza masę burmistrzów, prezydentów, radnych z Platformy Obywatelskiej. Sami poważni ludzie, a nie jacyś gołodupcy z prawicy.

Może i produkcja przemysłowa spada, ale nie dotyczy to wytwórczości wazeliny. Gigantyczny sukces producentów tego niezbędnego w życiu publicznym preparatu: Krzysiek Gawkowski został Człowiekiem Roku forum w Karpaczu. To nie koniec żartu: nagrodę dostał za to, że Polska stała się cyfrową potęgą. „Intelektualista i nonkonformista" – tak brzmiały słowa laudacji. To o Krzyśku! Brzmi, jakby ktoś darł z niego łacha, a to było na poważnie.

Demoniczny wróg demokracji walczącej i praworządności tak, jak ją rozumiemy, czyli Kaczor z Żoliborza, cieszy się z wyniku spotkania ***Morawiecki–Mentzen***. Bo Morawiecki zagadał Mentzena, no i jest wyraźnie od niego szczuplejszy. A ostatnio Sławek zrobił się nieco pulchny. Ale niech ten Kaczor się nie cieszy. Trwają tajne spotkania Sławka z Donaldem, a ich efektem będzie niespotykana synergia: połączą swe siły najbardziej antysystemowa i antyglobalistyczna partia Nowa Nadzieja z najbardziej systemową i najbardziej globalistyczną Koalicją Obywatelską. Tej siły nikt nie zatrzyma. Nasze demokratyczne oczy cieszą się tą wizją: ramię w ramię idą antyfaszystowscy demokraci spod znaku Silnych Razem i faszystowskie kuce spod znaku Piątki Mentzena pod hasłem „Konfa-PO – jedno dobro!".

Nawrockiemu też pójdzie w pięty: po co inwestować w nowe technologie, kiedy lepsza jest tania siła robocza? I używane wiatraki z Niemiec! Tu Sławek łatwo się dogada z Donaldem. À propos tych spotkań – Donald proponował Sławkowi, żeby został nowym Hołownią. Biedny Włodek Czarzasty. Tyle czekał, a tu znów oddala się wizja objęcia funkcji rotamarszałka.

„Mały Balcerowicz" – pisiory myślą, że takimi słowami obrażą Sławka. Tak go nazwał Piotr Müller z PiS. Dla nich to obelga, dla nas – komplement. Dzisiaj Sławek to może i mały Balcerowicz, ale jutro będzie bardzo dużym Balcerowiczem. I słusznie przy tej okazji napisał Przemek Wipler, że „czas skończyć z brakiem odpowiedzialności za to, co się mówi publicznie i beztroskim taktycznym opluwaniem potencjalnych partnerów. To rak polskiej polityki". W związku z tym przypominamy – „mały Balcerowicz" to obelga, „polityczny gangster" to komplement.

Marcin Mastalerek, najbardziej przebiegły spin doktor naszej galaktyki, na wizji w telewizji na Wiertniczej zdradził kulisy swojego warsztatu politycznego: „Szedł sobie Kędryna. Ja go w jedną rękę wziąłem, zacząłem go obracać. W drugą wziąłem Kumocha. I tak ich zderzyłem głowami! No i koniec historii!". Gdzie tam koniec historii: to prawda, że Mastalerek gada jak wariat, zachowuje się jak wariat i wygląda jak wariat. Ale nie dajcie się zwieść: on naprawdę jest wariatem!

Jeszcze jedno z życia wariatów: Danka Wałęsowa, żona legendarnego przywódcy, chce się spotykać z Jarkiem Kaczyńskim. Jest problem, bo Lech o tym nie wie (jeśli on w ogóle jeszcze coś rozumie), a Jarek bardzo nie chce się z nią spotykać. To chyba już jest stalking. Nie wiecie, czy można to zgłaszać na policję?

Jeśli chodzi o Dankę, to środowiska artystyczne, prodemokratyczne i prounijne, celebryci, profesorowie konstytucjonaliści, autorytety moralne i krakowscy intelektualiści przygotowują list protestacyjny przeciw faszystowskiej brutalności funkcjonariuszy Służby Ochrony Państwa. Siepacz z SOP wylegitymował Dankę, a nawet poddał ją kontroli pirotechnicznej (jakby była jakaś wybuchowa). Nie po to głosowaliśmy 15 października, aby postaci takie jak Danka były traktowane jak zwykli ludzie.

Ruchniewicz, Ruchniewicz i po Ruchniewiczu. Obiecywaliśmy podanie oficjalnej wykładni w tej sprawie. Otóż wiadomo, że niejaki Ruchniewicz nie jest już kierownikiem Instytutu Stauffenberga (dawniej Instytut Pileckiego). Został usunięty z tego stanowiska. Informujemy zatem, że na zarzuty kręgów faszystowskich i niedemokratycznych, że ktoś taki kierował instytucją publiczną, odpowiadamy krótko: „Ruchniewicz? Pierwsze słyszę. Nie znamy człowieka". Niestety Instytut przejęły jakieś typy, które chyba są kryptopisiorami. Murem za Frau Kiliszek!

I na sam koniec. Waldemar Żurek, wzór skromności, bezinteresowności, a nawet ascezy, ujawnił oświadczenie majątkowe. Ten biedny człowiek, wieloletni pracownik budżetówki, zgromadził jedynie żałosną liczbę czterech domów i nędzne kilkanaście działek ziemi rozsianych po całej Polsce. I ani jednego mieszkania! Przy czym ciekawostką jest to, że minister rozliczeń z opozycją prześcignął pod tym względem innego polityka, który również jest dla nas ze strony demokratycznej autorytetem moralnym. Robert Kropiwnicki – bo o nim mowa – posiada zaledwie 12 mieszkań, garaż i działkę. Jak oni dają radę żyć w takim ubóstwie?

Fot. Tomasz Warszewski/Shutterstock.com, Andrzej Wiktor x3, Julita Szewczyk

eprasa.pl 848ef1d67b

WIEŻA BAB

Szarpanie za mankiet

Mało znacząca historia z koszulą tylko pokazuje, że każdy powód, by dopaść Nawrockiego, jest dobry

Cel tej operacji jest prosty: dopaść Nawrockiego. To zadanie dla liberalnych mediów, polityków koalicji 13 grudnia i ich akolitów.

Nie ma pretekstu? To go wymyślcie! Wystarczą inicjały na rękawach!

Kilka tygodni temu wszyscy nagle oszaleli, gdy na jednym ze zdjęć dostrzeżono, że prezydent Nawrocki ma wyszyte inicjały na mankietach białej koszuli. I machina ruszyła. Obecni i byli politycy kibicujący rządowi, jeden przez drugiego zaczęli zapewniać, że oni nigdy w życiu nie mieli inicjałów na rękawach i to przerost formy na treścią. Najsilniejsi z Silnych Razem przekonywali, że prezydent ma koszule z inicjałami w celu odróżnienia lewej ręki od prawej. Inni twierdzili, że podpisane koszule to dowód na przerośnięte ego. I na nic się zdały zapewnienia modowych ekspertów, że w koszulach szytych na miarę inicjały to praktycznie standard. Oburzenie tzw. elit na inicjały tylko przybierało na sile, bo chcieli człowieka ośmieszyć, a wyszło na to, że „kibol" zna się na modzie. Tych samych tzw. elit nie oburzają środki z KPO przeznaczane na jachty, ale koszula z inicjałami to już szczyt rozrzutności.

Na inicjałach się jednak nie skończyło. Entuzjaści modowych detali poszli dalej. Jeden z nich skrytykował brak brustaszy (czyli dekoracyjnej kieszonki) w marynarce prezydenta, co nazwał poważniejszym błędem stylistycznym niż inicjały. Przez krótką chwilę mogło się wydawać, że żyjemy w świecie bez wojen, dziury budżetowej czy nielegalnej migracji, a problemy Polski sprowadzają się do pytania: mieć czy nie mieć inicjałów na mankiecie. Mało znacząca historia z koszulą tylko pokazuje, że każdy powód, by dopaść Nawrockiego, jest dobry.

A już spotkanie prezydenta Karola Nawrockiego z prezydentem USA Donaldem Trumpem stanowiło doskonały pretekst, by wprowadzić operację „Dopaść Nawrockiego" na wyższy level. Ale i to się nie udało. By ośmieszyć prezydenta, MSZ przygotowało dla niego specjalną instrukcję. Wszystko po to, aby pokazać opinii publicznej, że głowa państwa to żółtodziób, który nie poradzi sobie z Trumpem. Aż dziwne, że owa instrukcja nie była gruba jak słownik PWN, bez strony tytułowej, dedykacji, przypisów ani słownika pojęć. Ograniczyła się do jednej śmiesznej stroniczki, która wyglądała jak ściągawka dla licealisty. I tak MSZ skompromitowało się samo. Pomogły w tym także mało dyskretne zabiegi strony rządowej o to, by znaleźć się w prezydenckiej delegacji. Premier Tusk i minister Sikorski niby dyskretnie, niby od niechcenia, krążyli po korytarzach:

„Karolu, weź nas do Waszyngtonu, my ci podpowiemy, jak się tam poruszać..." – zagadywał Tusk.

„Ja mogę nawet torbę nieść, byle wejść do Białego Domu!" – dodawał Sikorski.

Instrukcje i pomoc MSZ nie były potrzebne. Wystarczył garnitur, uśmiech i Biało-Czerwona w sercu. „Polski interes znam na pamięć, a ściągawki zostawmy studentom prawa albo ministrowi Żurkowi" – mógł pomyśleć prezydent. W Waszyngtonie nie potrzebował ani suflera, ani podpowiadaczy. Trump komplementował Nawrockiego, zapewnił, że wojska amerykańskie nie tylko zostają w Polsce, lecz także może być ich więcej oraz zaprosił polskiego prezydenta na szczyt G20. Głowa państwa skończyła wizytę w USA z tarczą, co niechętnie, ale jednak przyznali nawet jego polityczni oponenci. W MSZ zapadła cisza. Instrukcja wylądowała w archiwum obok podobnych arcydzieł, takich jak „Podręcznik obsługi francuskiego kelnera" i „Minisłownik dyplomatycznych spojrzeń".

Nim władza i sprzyjające jej media rozpętają kolejną odsłonę akcji „Dopaść Nawrockiego", muszą się dobrze zastanowić, żeby znów nie wyszło à rebours. Karol Nawrocki świetnie sobie radzi z politycznymi przeciwnikami, a Polacy w dużej części już się uodpornili na przemysł pogardy.

Dorota Łosiewicz

Autopromocja

wPolsce 24

SALON POLITYCZNY

Inne spojrzenie na politykę

Wyraziste postacie i opinie

niedziela
9:05
wPolsce 24

GDZIE NAS OGLĄDAĆ:

52 telewizja naziemna | 909 921, 196 polsat box | 62 CANAL+ | 192 netia | 32 orange | 825 vectra | 65 339, 121 PLAY | 459 inea | 631 TOYA | 43 evio

eprasa.pl 848ef1d67b

Białoruś

Kolejna fala „uchodźców”

Iwan Kubrakow, szef białoruskiego resortu spraw wewnętrznych, pojechał do Pakistanu, aby sfinalizować zawarte wiosną porozumienie w sprawie „importu” gastarbeiterów. Umowa przewiduje przyjazd na Białoruś 150 tys. młodych mężczyzn, którzy mieliby zaradzić problemom związanym z brakiem rąk do pracy.

Niezależni ekonomiści szacują, że w związku z masową emigracją Białorusinów (tylko w ub.r. wyjechało ok. 100 tys. osób) gwałtownie wzrosła liczba nieobsadzonych miejsc pracy. Postanowiono więc ściągnąć na ich miejsce „starannie wyselekcjonowanych” i „najlepszych” pracowników z Pakistanu. Na liczącej 9 mln mieszkańców Białorusi przyjazd 150 tys. osób – i to z kraju odmiennego kulturowo – budzi duży niepokój.

Niejasne są też rzeczywiste intencje władz w Mińsku. Aleksandr Łukaszenka, dążąc do osłabienia reżimu sankcyjnego, uprawia politykę „kija i marchewki”, sugerując z jednej strony gotowość do zwolnienia kolejnej grupy więźniów politycznych i wejścia na drogę wielowektorowości w polityce zagranicznej, ale z drugiej grozi zwiększeniem presji na granicy z Polską i Litwą.

Po odrzuceniu przez Polskę niedawnej propozycji wznowienia dialogu, Mińsk zaczął prowokować. W czasie wizyty premiera Tuska i Ursuli von der Leyen na granicy, po białoruskiej stronie ustawili się żołnierze z długą bronią, a „uchodźcy” rzucali granatami hukowymi, z których jeden zranił polskiego pogranicznika. Deklaracje szefa pakistańskiego MSZ, który na spotkaniu z Kubrakowem powiedział, że mający jechać do pracy mężczyźni zostaną „starannie wyselekcjonowani”, brzmią w tej sytuacji dwuznacznie.

Białoruska ambasada w Islamabadzie poinformowała, że wśród Pakistańczyków zainteresowanie wizami gwałtownie rośnie. Kolejka jest tak długa, że konsulat umawia chętnych dopiero na marzec przyszłego roku. Tego rodzaju komunikat sugeruje, że program „importu” gastarbeiterów został już uruchomiony i „selekcja”, o której mówią pakistańscy urzędnicy, będzie prowadzona również przy okazji wydawania wiz. To zaś może oznaczać pojawienie się na polskiej granicy kolejnej fali „imigrantów”.

Marek Budzisz

Argentyna

Bezkarny złodziej z Niemiec

Zrabowany przez Niemców obraz włoskiego malarza Giuseppego Ghislandiego „Portret damy” odnalazł się w Argentynie. Odkrycia dokonano dzięki zdjęciom zamieszczonym w ogłoszeniu o sprzedaży nieruchomości.

Ogłoszenie wykupiła córka wysoko postawionego nazisty Friedricha Kadgiena, członka SS i zaufanego finansisty Hermanna Göringa, który po II wojnie światowej uciekł z Niemiec. Na zdjęciach przedstawiających wnętrze luksusowego domu w Mar del Plata dostrzeżono zaginiony obraz zawieszony nad kanapą w salonie.

Dzieło barokowego mistrza należało pierwotnie do Jacques'a Goudstikkera – żydowskiego marszanda z Holandii. Zginął on w maju 1940 r. w wypadku na morzu, gdy próbował wydostać się z kraju tuż przed niemiecką inwazją. Większość jego kolekcji liczącej łącznie 1,1 tys. dzieł sztuki padła łupem Niemców. Najbardziej cenne z nich, w tym „Portret damy”, przejął Hermann Göring. W obliczu klęski prawdopodobnie przekazał on część ukradzionych obrazów swoim zaufanym ludziom – w tym Kadgienowi – na przechowanie. Po wojnie udało się odzyskać część zbiorów, jednak spadkobiercy Goudstikkera przez cały czas prowadzili poszukiwania, dzięki czemu udało się im odnaleźć 202 zrabowane dzieła.

O odkryciu „Portretu damy” poinformowali dziennikarze holenderskiej gazety „Algemeen Dagblad”. Próbowali się skontaktować z córką hitlerowskiego urzędnika, ale kobieta odmówiła rozmowy na temat obrazu. Ostatecznie sprawą zajął się Interpol, który poprosił argentyńską policję o interwencję. Przeszukanie domu nie dało jednak żadnego rezultatu. Zaalarmowana córka nazisty ukryła obraz, a w jego miejscu powiesiła gobelin przedstawiający pejzaż. Śledztwo trwa, tym bardziej że w jego trakcie zlokalizowano również inny zrabowany obraz – martwą naturę XVII-wiecznego holenderskiego malarza Abrahama Mignona. Jeśli uda się udowodnić zarzuty przed sądem, córka Kadgiena będzie odpowiadać za ukrywanie mienia pochodzącego z przestępstwa.

Zagadką pozostaje sposób, w jaki hitlerowski dygnitarz zdołał po wojnie wywieźć skradzione dzieła sztuki. Ustalono, że Kadgien wyjechał w 1946 r. do Szwajcarii, skąd przedostał się do Brazylii. Ostatecznie osiadł w Argentynie, gdzie przez nikogo nie niepokojony prowadził spokojne życie biznesmena. Zmarł w 1979 r. Wszystko wskazuje na to, że esesman był w posiadaniu bardzo cennej wiedzy na temat finansów Trzeciej Rzeszy, którą dzielił się z aliantami w zamian za ochronę. O ilu przestępcach takich jak on jeszcze nie wiemy?

Konrad Kołodziejski

eprasa.pl 848ef1d67b

Austria

Szariat zalegalizowany

W sierpniu austriacki sąd orzekł, że szariat, a więc islamskie prawo religijne, może być stosowane w ramach arbitrażu, jeśli strony umowy wyrażą na to zgodę. Wyrok wywołał szok, gdyż faktycznie usankcjonował istnienie w Austrii równoległego systemu prawnego.

W omawianej sprawie dwóch mężczyzn zawarło umowę, że w przypadku sporu między nimi decydujące będzie rozstrzygnięcie trybunału arbitrażowego działającego na podstawie islamskiego prawa szariatu (Ahlus-Sunnah wal-Jamaah). Jego wyroki są respektowane przez społeczność sunnicką. Ale gdy trybunał orzekł na niekorzyść jednego z mężczyzn i zażądał od niego zapłaty 320 tys. euro, ten wniósł pozew do sądu cywilnego w Wiedniu. Argumentował w nim, że stosowanie prawa islamskiego jest arbitralne, ponieważ nie ma jednej interpretacji szariatu. Podnosił też, że szariat nie ma w Austrii znaczenia prawnego, a kodeks islamski narusza konstytucyjne zasady państwa świeckiego. Wiedeńscy sędziowie uznali jednak, że jeśli osoby prywatne chcą, to mogą rozstrzygać spory w sposób, jaki uznają za stosowny, a więc także w drodze szariatu i że arbitraż islamski nie narusza austriackiej konstytucji.

Orzeczenie sądu zostało odczytane jako dowód na bezsilność państwa wobec postępującej islamizacji. „To otwiera jeszcze szersze drzwi dla politycznego islamu" – skomentował Michael Schilchegger z Wolnościowej Partii Austrii (FPÖ). Równocześnie jako prawnik i specjalista ds. prawa konstytucyjnego zwrócił uwagę, że orzeczenie faktycznie sankcjonuje istnienie równoległego społeczeństwa islamskiego w Austrii i osłabia te siły, które nie chcą się podporządkować islamowi. Podkreślano też, że prawo szariatu koliduje z austriackim rozumieniem prawa i narusza europejskie normy moralne.

Także Turecka Wspólnota Kulturalna (TKG) reprezentująca stowarzyszenie świeckich Turków w Austrii zaprotestowała, zwracając uwagę, że Europejski Trybunał Praw Człowieka (ETPC) orzekł w 2003 r., że prawo szariatu i wynikające z niego istnienie równoległego systemu prawnego są w Europie zakazane. „Decyzja wiedeńskiego sądu jest poważną ingerencją – dziś w świeckie regulacje gospodarcze, a jutro być może w przepisy dotyczące produkcji, usług i sprzedaży" – napisała w oświadczeniu Melissa Günes, sekretarz generalna TKG.

Zgodnie z tegorocznym raportem francuskiego wywiadu islamiści postrzegają tolerancję i praworządność w kategoriach słabości, a strategią Bractwa Muzułmańskiego jest wprowadzenie prawa szariatu w krajach europejskich. Austria została w nim wyraźnie wymieniona jako centralny region działania.

Maciej Walaszczyk

Zimna wojna z Iranem

Australia

Rząd Australii wydalił ambasadora Iranu i trzech innych dyplomatów tego kraju, wycofał własnych przedstawicieli z Teheranu oraz wezwał swoich obywateli do jak najszybszego opuszczenia Republiki Islamskiej. Powodem tak radykalnych działań stał się raport australijskiego wywiadu ASIO, który ustalił, że irańska Gwardia Rewolucyjna stała za zorganizowaniem wielu ataków na żydowską społeczność na Antypodach.

W ciągu ostatniego roku liczba antysemickich incydentów w Australii wzrosła z 495 do 2062. Większość z nich była dziełem miejscowych mieszkańców, jednak najpoważniejsze akcje zostały przeprowadzone przez oficerów irańskiego wywiadu, którzy posłużyli się siatką lokalnych agentów.

Dwie najgroźniejsze operacje Strażników Rewolucji Islamskiej, które zostały szczegółowo udokumentowane przez australijskie służby specjalne, to pożar koszernej restauracji żydowskiej Lewis' Continental Kitchen w Sydney (straty wyniosły 1 mln dol. australijskich) i podpalenie synagogi Adass Israel w Melbourne. Poza tym Teheran inspirował wiele innych napaści i aktów wandalizmu wymierzonych w mniejszość żydowską.

O tym, że jej kraj jest infiltrowany przez irański wywiad, mówi australijska politolog Kylie Moore-Gilbert, która przesiedziała dwa lata w osławionym perskim więzieniu w Evin. W 2018 r. została aresztowana i skazana na 10 lat odsiadki pod fałszywym zarzutem szpiegostwa. W rzeczywistości – jak opowiada w wyemitowanym niedawno wywiadzie – Strażnicy Rewolucji chcieli ją zwerbować i zmusić do współpracy. Przesłuchujący ją oficer dysponował długą listą żydowskich celów w Melbourne, wypytując o każdy z nich.

Decyzja rządu w Canberze ma znaczenie historyczne. Od czasów II wojny światowej Australia nie zerwała z nikim stosunków dyplomatycznych i nie wydaliła ze swojego terytorium ambasadora żadnego kraju. Premier Anthony Albanese stwierdził, że musiał podjąć tak nadzwyczajne środki, ponieważ jego ojczyzna stała się miejscem niebezpiecznych aktów agresji, które zorganizował obcy rząd.

Grzegorz Górny

eprasa.pl 848ef1d67b

Brukselskie marzenia o zielonym raju

W brukselskich biurach eurokratów praca znów wre. Komisja Europejska, ta nieomylna wyrocznia postępu, właśnie przepycha cel redukcji emisji gazów cieplarnianych do 2040 r. o 90 proc. w porównaniu z 1990 r. To nie żart, choć brzmi jak scenariusz z katastroficznej powieści

Wyobraźcie sobie: Europa, kontynent przemysłu i innowacji, ma się stać ekoutopią, gdzie fabryki stoją puste, a wiatraki wirują w rytm unijnych dyrektyw. Absurd? Oczywiście! Ten plan to czysta fantazja ignorująca realia gospodarcze i technologiczne. Jak osiągnąć 90 proc. redukcji, gdy nawet cel na 2030 r. – skromne 55 proc. – jest zabójczy dla gospodarki i naszych portfeli?

Zacznijmy od 2030 r. Unia bajdurzy, że jest „prawie" na dobrej drodze, ale maskuje to chaos i kryzys. Dlaczego? Bo cele są oderwane od rzeczywistości. Polska, zależna od węgla, musi wydawać miliardy na transformację, która uderza w górników, energetykę i budżet. Koszty rosną, a efekty? Emisje spadają wolniej, niż planowano, bo zielone technologie – panele, wiatraki – zależą od chińskich dostaw i kaprysów pogody, za to drożyzna i bezrobocie rośnie. Do tego biurokracja – raporty, kary, regulacje, które duszą małe firmy. A co z równowagą? Cel na 2030 r. jest już „grossly inadequate", jak skarżą aktywiści, ale dla nas, realistów i praktyków, to dowód na szaleństwo. To zmuszanie Europy do deindustrializacji w imię klimatyzmu.

Teraz zajmijmy się celem 90-proc. redukcji. To nie cel – to samobójstwo gospodarcze. Komisja mówi o „netto", czyli z offsetami i kredytami węglowymi, ale to fikcja. Jak Europa, z jej starzejącą się infrastrukturą, ma funkcjonować bez atomu i gazu? Będziemy kupować kredyty od krajów rozwijających się? To kolonializm w zielonej szacie! Absurd potęguje fakt, że świat poza UE nie podąża tym tropem. Chiny emitują więcej niż kiedykolwiek, Indie budują elektrownie węglowe. Europa ma być męczennikiem klimatu, tracąc konkurencyjność na rzecz Azji? Zielone grupy krzyczą: „Foul", bo cel jest zbyt słaby, ale dla mnie to kolejny dowód na to, że eurokraci żyją w bańce, ignorując ryzyko geostrategiczne.

A spójrzcie za ocean! Stany Zjednoczone pod wodzą Donalda Trumpa idą inną drogą. W 2025 r. Ameryka cofa klimatyczne regulacje, skupiając się na energii, a nie ideologii. IRA, flagowy program Bidena, jest demontowany, emisje mają spadać wolniej, ale gospodarka będzie kwitła. USA nie boją się węgla, ropy czy gazu. To kontrast z unijnym fanatyzmem. Tam realizm, tu marzycielstwo i ideologiczny fanatyzm.

Idealnie pokazuje to wizyta polskiego prezydenta Karola Nawrockiego u Trumpa. W Białym Domu dyskutowali o obronności, gospodarce i bezpieczeństwie – to symbol sojuszu sił konserwatywnych. Nawrocki, reprezentując Polskę, pokazuje, że można być proamerykańskim, dbając o narodowe interesy – w tym energetyczne. Trump potwierdza poparcie i przyjaźń, a my powinniśmy brać przykład z USA – mniej klimatyzmu, więcej realizmu.

Dlatego apeluję do polskiego rządu – walczcie na forum UE! Blokujcie absurdalne cele, żądajcie wyjątków dla Polski, promujcie atom i gaz jako mosty do przyszłości. Nie dajmy się eurokratycznej zielonej rewolucji – czas na polską ofensywę w Brukseli.

Daniel Obajtek

Fot. Archiwum autora

eprasa.pl 848ef1d67b

Zachód musi się skonsolidować

Marta Kaczyńska-Zielińska

W pierwszej połowie br. z powodu niskich cen ropy naftowej, na które wpłynęły wzrosty produkcji Arabii Saudyjskiej i innych państw OPEC, dochód netto koncernu Rosnieft spadł o ponad 68 proc. – do 245 mld rubli (3 mld dol.). Rosjanom nie wiedzie się najlepiej na Ukrainie, więc potrzebują wszelkiej możliwej pomocy.

Na niedawnym szczycie Szanghajskiej Organizacji Współpracy (SCO) Pekin przedstawił nowe zachęty finansowe krajom sprzymierzonym z kierowaną przez Chiny grupą ds. ekonomii i bezpieczeństwa. Szczyt zgromadził 20 przywódców, głównie z Bliskiego Wschodu i Azji. Organizacja ta obejmuje znaczną część Azji Środkowej, Rosję, Chiny, Indie, Iran, Pakistan i Białoruś, a także kilkunastu stałych partnerów, w tym Arabię Saudyjską, Kambodżę, Katar i Turcję. SCO jest postrzegana jako alternatywna struktura dla większości instytucji międzynarodowych kierowanych przez USA.

Działalność SCO od jej powstania w 2001 r. miała charakter głównie symboliczny, ale Xi nakreślił na szczycie większe ambicje bloku, wzywając do utworzenia nowego banku rozwoju SCO i zapowiedział przyznanie 2 mld juanów (280 mln dol.) w formie grantów oraz kolejnych 10 mld juanów (1,4 mld dol.) w formie pożyczek dla członków organizacji. Wsparcie finansowe członków SCO może być przełomowe dla tej instytucji.

Przy okazji szczytu Putin pochwalił „bezprecedensowo" wysoki poziom relacji Rosji z Chinami, a Xi Jinping określił go jako swojego „starego przyjaciela". Przywódcy obu krajów zawarli umowę, która znacząco zwiększy import rosyjskiego gazu przez Pekin w ciągu najbliższych 30 lat. Putin i Xi zgodzili się na budowę gazociągu Siła Syberii 2, który umożliwi tranzyt 50 mld m^3 gazu do Chin rocznie. Chiny ogłosiły również, że od 15 września rozszerzą przywileje w zakresie podróży bezwizowych dla posiadaczy rosyjskich paszportów.

W szczycie SCO wziął udział także premier Indii Narendra Modi, co może oznaczać, że stosunki chińsko-indyjskie ocieplają się po nałożeniu przez USA wysokich ceł na indyjski eksport. Trzeba wspomnieć, że Indie pozostają członkiem Quad, partnerstwa ze Stanami Zjednoczonymi, Japonią i Australią mającego na celu zrównoważenie pozycji Pekinu w Azji.

Tuż po zakończeniu szczytu Szanghajskiej Organizacji Współpracy w Pekinie odbyła się największa w historii defilada wojskowa z okazji 80. rocznicy zakończenia wojny chińsko-japońskiej. Przybył na nią Kim Dzong Un, odwiedzając Chiny pierwszy raz od 2019 r. To również pierwszy raz od 1959 r., kiedy północnokoreański przywódca wziął udział w międzynarodowym wydarzeniu tej rangi.

Obecność koreańskiego dyktatora ukazuje dobre relacje między Chinami a Koreą Północną i ma zapewne na celu rozwianie wszelkich wątpliwości co do stabilności partnerstwa w miarę zacieśniania się więzów między Koreą Północną a Rosją. Przy okazji defilady Kim i Putin odbyli formalne spotkanie, podczas którego koreański przywódca oświadczył, że jest gotów zrobić „wszystko, co w jego mocy, aby pomóc" Rosji.

Putin spotkał się również z premierem Słowacji Robertem Ficą, którego pochwalił za „niezależną" pozycję jego kraju. Fico wielokrotnie krytykował Kijów i sprzeciwiał się nałożeniu przez UE sankcji wobec Moskwy, argumentując, że zagrażają one bezpieczeństwu energetycznemu Słowacji. Putin zasugerował, aby Bratysława odcięła dostawy gazu na Ukrainę.

Stojąc ramię w ramię i oglądając wielką paradę wojskową na placu Tian'anmen przywódcy Chin, Korei Północnej i Rosji wysłali światu mocny przekaz o jedności bloku państw mającego stanowić przeciwwagę dla znanej nam od dekad architektury bezpieczeństwa świata. Organizując największą w historii defiladę wojskową, Chiny podkreślają, że są głównym rozgrywającym tego bloku.

REKLAMA

40/0825/F

eprasa.pl 848ef1d67b

Walizka Jana Kwilmana

„pierwszego harleyowca Rzeczypospolitej”

Miłość do motocykli, która jest nieustającą podróżą przez życie na jednośladach, zaszczepił we mnie ojciec. W siermiężnych latach komunistycznych był dumnym właścicielem Simson AWO Sport, na baku którego mnie woził. Mój pierwszy motocykl BMW Sahara kupiłem z uciułanych pieniędzy przeznaczonych na obiady w szkole, których nie jadłem przez dwa lata. Z kolei właścicielem Hondy Goldwing stałem się dzięki pracy na saksach w Holandii. Przekroczyłem na niej granicę Polski w dniu wprowadzenia stanu wojennego. Dzięki kumplowi, który był kierowcą ambasadora Francji, dowiedziałem się, że córka sekretarza ambasady marzy o harleyu. Zobowiązałem się zbudować dla niej model z II wojny światowej i tak się zaczęła nasza miłość, której owocem są nie tylko dwaj wspaniali synowie, lecz także pierwszy formalnie istniejący w Polsce klub harleyowy – HDC Riders of Poland. Naszym kolejnym dzieckiem był pierwszy autoryzowany salon Harley-Davidson w Polsce. Obecnie prowadzę w Warszawie salon ScootRacer ze skuterami Vespa Piaggio Aprilia, które cieszą się niegasnącym zainteresowaniem.

MACZETA
Zabieram ją na każdą wyprawę motocyklową. Pomaga mi przeżyć we wszystkich warunkach. Można nią porąbać drewno na opał, otworzyć puszkę, a czasami się obronić.

KASK
Model Harley-Davidson, tzw. orzeszek, projekt sprzed 30 lat. Proszę pamiętać, że nie powinno się używać kasku mającego więcej niż pięć lat, bo wtedy traci swoje wytrzymałościowe właściwości.

JEANSOWA KAMIZELKA
Zakłada się ją na skórzaną kurtkę. Jest znakiem rozpoznawczym motocyklisty i grupy, do której się należy. I wygląda elegancko.

eprasa.pl 848ef1d67b

AUDREY

To córka sekretarza ambasadora Francji, której marzeniem był własny Harley-Davidson. Skwapliwie je spełniłem, budując dla niej harleya z II wojny światowej. Kilka lat później pobraliśmy się. Dzięki francuskiemu paszportowi Audrey mogła swobodnie podróżować do Stanów, skąd sprowadzała harleye do PRL, które tutaj były unikatowe. Te początki były podwaliną pierwszego salonu Harley-Davidson w Polsce.

SKÓRZANA KURTKA

Amerykańskiej firmy Lesco. Kupiłem ją w 1980 r. i od tego czasu jesteśmy nierozłączni.

„PIERWSZY HARLEYOWIEC RZECZYPOSPOLITEJ"

To moja historia 50. lat życia w siodle Harleya. Dzięki swojej pasji i fascynacji motocyklami, doszedłem od motorynki do własnego, najsłynniejszego i największego salonu Harley-Davidson w Polsce. Autobiografia jest pełna rockandrollowej jazdy bez trzymanki. Jej współautorem jest Lech Potyński.

AMBASADOR USA

Zaproszenie mnie 4 lipca przez ambasadę USA zakończyło się... randką z panią ambasador Mosbacher. Była to randka na Harleyu w asyście dwóch samochodów z agentami Służb Bezpieczeństwa Dyplomatycznego. Zanim jednak doszło do przejażdżki, Georgette Mosbacher została wyekwipowana w kask i kurtkę skórzaną w moim salonie.

CZAPSY

Wywodzą się z tradycji kowbojskiej – czapsy były częścią stroju osłaniającego łydki kolana i uda jeźdźców. Obecnie moda została zapożyczona przez jeźdźców stalowych rumaków.

SPARTA GYM

Boks to moja pasja, której oddaję się w klubie Marcina Bąka Sparta Gym. Pogodny charakter trenera nie przeszkadza mu w byciu wymagającym i motywującym do ciężkich treningów. Po wypoceniu wiadra potu czuję się rewelacyjnie, polecam taką aktywność każdemu, kto chce poprawić zdrowie i kondycję.

KOCYK

Też wszędzie go zabieram. Gdy trafi mi się jakaś polanka, to go rozkładam i lubię sobie na nim poczytać „Curve" lub „Świat Motocykli".

INDIAN SPORT CHIEF RT

Moja historia z indianem zaczęła się w kwietniu br. i jest to miłość od pierwszej przejażdżki. Uważam, że to motocykl pod każdym względem idealny i choć tańszy, przewyższa o konkretny poziom konstrukcje i technologię harleya. Na indianie dla czystej przyjemności mogę jeździć w każdy zakątek Polski – Karpacz, Odrzykoń czy Kościan.

MÓJ PIERWSZY MOTOCYKL

Terenowy z II wojny światowej – BMW Sahara, z wózkiem bocznym. Posiadał napęd na koło wózka bocznego, dzięki czemu mógł poruszać się w trudnym terenie.

Wysłuchał i zapisał
Michał Korsun

Fot. Michał Korsun, prywatne archiwum Jana Kwilmana, materiały marketingowe Indian Motorcycle

eprasa.pl 848ef1d67b

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Region Mazowsze

Jan Pietrzak

Z okazji 45 lecia „S" uczestniczyłem w spotkaniu Solidarności Regionu Mazowsze. Wręczano – tak to można określić – dyplomy pamięci. Towarzyszyły temu emocje i wzruszenia. W moim wypadku dochodziło detektywistyczne rozpoznawanie dawno niewidzianych twarzy. Takie okoliczności stawiają mnie w trudnej sytuacji. Z powodu zawodowej „popularki" łatwiej innym mnie rozpoznać, mnie natomiast dosyć ciężko zlokalizować w skrytkach pamięci osoby, których nie widywałem przez wiele lat. Natychmiast zauważyłem Ewę Tomaszewską, posłankę wielu kadencji, osobę tak dobrą i oddaną ludziom, że może być wzorcem solidarnościowego etosu.

Kilka osób wspominało zmarłą niedawno Ewę Dałkowską i występy teatru domowego u państwa Byrskich. To byli świetni ludzie teatru. Trzymani przez komunę na uboczu, reżyserowali w prowincjonalnych teatrach, a w środowisku bardzo ich szanowano. W stanie wojennym specjalizowali się w nawiązywaniu kontaktów z „terenem". Cóż to były za przedstawienia! Symbioza widowni ze sceną, różne punkty widzenia, a wspólne emocje... I nadzieja, o której po jakimś przedstawieniu pod wpływem nastroju chwili specjalnie dla Ewy napisałem piosenkę. Nigdy już nie brzmiała tak intensywnie jak w tamtym czasie, w upchanych do granic możliwości lokalach i mieszkankach.

Przypomniał się kolega z zakładów RAWAR, który parokrotnie zapraszał mnie na spotkania z podziemną Solidarnością. Ktoś z Ursusa też się przedstawił. Mój główny problem polega na tym, że oni 45 lat temu byli rozbuchaną młodzieżą, a ja już wtedy byłem stary, prawie tak jak teraz. Ze spotkania w Ursusie zachował się ubecki donos, w którym jest napisane: „Na koniec występu Pietrzak orzekł, że spotka się z nami niedługo, gdy Polska będzie wolna. A to już niedługo nastąpi". Inny cytat z meldunku: „Całość programu dyskredytowała ośmieszała i poniżała PZPR, ustrój socjalistyczny, władzę, organy ścigania... itd." (Naczelnik wydziału III KWMO w Skierniewicach).

O radośniejszym, wcześniejszym momencie przypomniała pani z Solidarności Teatru Wielkiego, która w dniu rejestracji związku organizowała na tej scenie specjalny koncert. Ależ tam był niesamowity nastrój. Co za ludzie na scenie i widowni! Takiego składu do odśpiewania „Żeby Polska była Polską" już nigdy nie widziałem. Choć muszę przyznać, że w trakcie strajku komunikacji warszawskiej też było niesamowicie. Tramwaje i autobusy blokujące główne skrzyżowanie stolicy, na które dowieźli mnie dwaj chłopcy od Seweryna Jaworskiego, kategorycznie oświadczając, że Jacek Fedorowicz już czeka. A ja właśnie pakowałem samochód z dziećmi na Mazury. Nikt mnie wcześniej nie uprzedził. Dowieźli na miejsce, a tam trzy kordony milicji, ZOMO, wojska. Tłum ludzi wpychający mnie na wysoką platformę, dzieci też. Jacek podaje mikrofon... Ależ to był czad! Region Mazowsze, 45 lat temu... Kocham was, weterani tamtych dni.

Zdemaskowani

Samuel Pereira

Dziś w Polsce trzeba bronić prawa przed tymi, którzy przez lata wycierali sobie nim usta, a w praktyce robili wszystko, by naginać je do własnych politycznych potrzeb. To gorzka konstatacja, ale nieunikniona. Ci, którzy najgłośniej krzyczeli o „zamachu na praworządność", wcale nie walczyli o niezależność sądów czy wolność obywateli. Walczyli o swoje wpływy i możliwość blokowania każdej decyzji, która nie podobała się ich środowisku. Widać to dziś jak na dłoni – wystarczy spojrzeć na ludzi pokroju Waldemara Żurka. Ten sam Żurek, który przez lata stawiał się w roli obrońcy „wolnych sądów", dziś bez wahania wszedł do rządu Donalda Tuska i stał się jego najwierniejszym wykonawcą. Symboliczne i bolesne – oto cała prawda o deklarowanej przez niego apolityczności.

Nieprzypadkowo pierwsza prezes Sądu Najwyższego prof. Małgorzata Manowska w swoim oświadczeniu musiała bronić podstawowego porządku instytucjonalnego. Opisała, jak członkowie Trybunału Stanu wdarli się do pomieszczeń SN, zabrali togi i krzyczeli na pracowników. To nie jest „spór o praworządność", tylko zwykła burda. Jeżeli ci sami ludzie chcą uchodzić za moralne sumienie wymiaru sprawiedliwości, coś jest głęboko nie tak.

Praworządność to nie jest pałka do okładania przeciwników politycznych. To nie jest hasło na transparentach ani oręż do wymuszania wyroków zgodnych z oczekiwaniami władzy. Praworządność to procedury, hierarchia, poszanowanie instytucji – także wtedy, gdy rozstrzygnięcia są dla nas niewygodne. Dziś paradoksalnie to rządzącym trzeba przypominać, że prawo obowiązuje wszystkich, również ich zwolenników.

Jeżeli nie zatrzymamy tego marszu po pełnię władzy, nie zostanie nic ani z niezależności sądów, ani z państwa prawa. Dlatego trzeba bronić instytucji przed tymi, którzy pod hasłem „reformy" chcą je podporządkować polityce. Bo jeśli dziś pozwolimy na deptanie reguł, jutro nikt już nie będzie miał odwagi, by je przywrócić. A wtedy pojęcie sprawiedliwości stanie się jedynie dekoracją w ustach polityków.

Fot. VIPHOTO/East News

eprasa.pl 848ef1d67b

Dyplomacja prezydencka w interesie Polski

Nie ma co owijać w bawełnę: prezydent USA przyjmuje w Białym Domu wielu gości, ale nie każdego traktuje tak samo. Karol Nawrocki został powitany z wyjątkową serdecznością przez Donalda Trumpa. To przyjęcie mówi więcej niż niejedno oświadczenie prasowe: w Polsce jest dziś tylko jeden partner do poważnych rozmów – prezydent, który od początku swojej drogi politycznej stawiał na jasne zasady i konsekwentne wybory. Dlatego Trump wsparł Nawrockiego jeszcze w czasie kampanii.

Rozmowy w Waszyngtonie przyniosły trzy konkretne efekty. Po pierwsze, zapowiedź nie tylko utrzymania, lecz nawet zwiększenia obecności amerykańskich żołnierzy w Polsce. To realna tarcza, a nie papierowe gwarancje. Po drugie, mocne poparcie dla inicjatywy Trójmorza, która wbrew szyderstwom ekipy Tuska staje się filarem bezpieczeństwa i rozwoju Europy Środkowej. Po trzecie, zaproszenie na szczyt G20. Polska, reprezentowana przez prezydenta Nawrockiego, siada przy stole z największymi potęgami świata. I to faktycznie jest przełomowy moment.

Zwolennicy Tuska i Sikorskiego już próbują umniejszać znaczenie tej wizyty. Ale fakty są twarde: zaledwie miesiąc po zaprzysiężeniu prezydent był w Gabinecie Owalnym już po raz drugi. Przypomnijmy – jako kandydat potrafił odwrócić decyzję Amerykanów o ograniczeniu Polsce dostępu do nowoczesnych chipów, czego nie udało się załatwić obecnemu rządowi. To pokazuje, kto dziś skutecznie dba o polski interes w strategicznym sojuszu polsko-amerykańskim.

Ale to nie wszystko. Zaraz po wizycie w USA Karol Nawrocki udał się do Rzymu, gdzie rozmawiał z premier Meloni i prezydentem Mattarellą. Włochy to kluczowy partner w UE, a budowanie osi Warszawa–Rzym to rozsądna odpowiedź na niemiecko-francuską dominację w Brukseli. To znak, że prezydencka dyplomacja gra w lidze, w której układa się sojusze, a ta rządowa czeka na resztki z unijnego stołu.

Na koniec symboliczny, ale jakże ważny akcent: spotkanie z papieżem Leonem XIV. W świecie, w którym wartości chrześcijańskie są spychane na margines, Karol Nawrocki przypomniał, że Polska nie wstydzi się swoich korzeni i że duchowy wymiar polityki nadal ma znaczenie.

A było naprawdę blisko, by sprawy potoczyły się zupełnie inaczej. Gdyby wybory wygrał Trzaskowski, jego pierwsza podróż prawdopodobnie prowadziłaby do Berlina, gdzie z uśmiechem na twarzy zostałby poklepany po plecach za rezygnację z reparacji wojennych. Na szczęście Polacy uniknęli tego scenariusza. Zamiast uległości mamy prezydenta, który konsekwentnie kieruje politykę zagraniczną w interesie Polski i Polaków – a to dopiero początek kadencji.

Arkadiusz Mularczyk

Doktorat z życia

Z aktorką Aldoną Jankowską rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Wulkan pozytywnej energii i, jak się okazuje, twórczych działań. Debiutuje pani w podwójnej roli – reżyserki i współautorki sztuki „Opiekunka na zabój".

Aldona Jankowska: Pisałyśmy tę sztukę z Olą Wolf od lat. Powstała z naszych obserwacji i potrzeby odreagowania różnych sytuacji. W pewnym momencie w projekt włączył się Emilian Kamiński, zachęcając do jego domknięcia. I tak trzy lata po jego odejściu w jego ukochanym teatrze Kamienica będziemy mieć premierę.

Kryminalnej komedii z nieoczywistą główną postacią?

Przez różne zrządzenia losu spotykałam kobiety, które żyją dla innych. Zarabiają i już myślą, komu w rodzinie przekażą te pieniądze. Nie wyobrażają sobie innego życia. Nierzadko są traktowane jak o wiele głupsze, a przecież mają... doktorat z życia. Tak jak pani Zofia z Szurmiejowic, która trafia do apartamentu „na Wilanowie", bo to – co podkreśla inna bohaterka – „nie miejsce, a styl życia". Podobne dzielnice znajdziemy dziś w każdym mieście, gdzie ludzie kupują mieszkania na ciężkie kredyty, a potem spłacają raty. Wszystko jest tam ponad miarę, ponad stan, a w komedii – także z kryminalnym tłem – to przerysowanie widać jeszcze wyraźniej i zabawniej.

W Kamienicy pracuje pani z cudownymi aktorami: Dorotą Chotecką, Lucyną Malec, Justyną Sieńczyłło, Mileną Staszuk i Radosławem Pazurą. A jak wygląda sytuacja w Leśnej Górze?

Rozwija się. Pani Jadzia radzi sobie z prof. Falkowiczem.

A jak się gra z Michałem Żebrowskim?

Trzeba sprostać i się postarać, co nie zmienia faktu, że zawsze się staram [uśmiech].

eprasa.pl 848ef1d67b

TRENDY I OWĘDY

Z życia elit III RP

Najstarszy nastolatek Kuba Wojewódzki został skazany na grzywnę w wysokości 400 tys. zł za nielegalną reklamę alkoholu w mediach społecznościowych. Prawomocny wyrok jest motywowany tym, że do promocji alkoholu wykorzystywał swoją popularność i rozpoznawalność. I tutaj pojawia się kwestia – czy ktoś skazany prawomocnym wyrokiem powinien mieć audycję w stacji ogólnopolskiej, a do tego być twarzą kampanii telefonii komórkowej?

Ryszard Makowski

Jednocześnie jeden z najważniejszych prowadzących programy informacyjne w tej samej stacji telewizyjnej przez cztery lata nie płacił podatków. Uregulował zaległości dopiero wtedy, gdy zainteresowała się nim skarbówka. Uiścił prawie 850 tys. zł. Sześć lat jeździł bez prawa jazdy. Dwukrotnie mu je odbierano za przekroczenie punktów karnych i w 2015 r. utracił uprawnienia do prowadzenia pojazdów mechanicznych. Obecnie bez zmrużenia oka piętnuje wszelkie pisowskie, najczęściej wyimaginowane, przewinienia. Nie będzie przecież rozwodził się nad tym, że ministra edukacji po użyciu w oficjalnym przemówieniu zwrotu „polscy naziści" powinna się podać do dymisji. Przecież to tylko przejęzyczenie podczas czytania z kartki.

W trakcie turnieju US Open polski biznesmen wyszarpnął dziecku czapkę, którą chciał mu podarować tenisista Kamil Majchrzak. Moment, kiedy ograbia chłopca z upragnionego trofeum, stał się viralem i krążył po mediach z prędkością światła, przynosząc Polsce swoistą popularność.

Kuba Wojewódzki oczywiście nie poniesie żadnych zawodowych konsekwencji. Z takim wyrokiem jeszcze bardziej pasuje do elit III RP.

POWOLNE MEDIA WEDŁUG MICHAŁA KORSUNA

SIECI

ISSN 2544-2694

www.SIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

ZASTĘPCY REDAKTORA NACZELNEGO: DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ OZDOWY, MAREK PYZA, MARCIN WIKŁO

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL; TEL. (22) 255 93 32, (22) 255 93 33; UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY: GORAN ANDRIJANIĆ, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, MAREK BUDZISZ, KRZYSZTOF FEUSETTE, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, JAROMIR KWIATKOWSKI, LECH MAKOWIECKI, RYSZARD MAKOWSKI, DARIUSZ MATUSZAK, ALEKSANDER NALASKOWSKI, MARZENA NYKIEL, SAMUEL PEREIRA, JAN PIETRZAK, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, PIOTR SŁABEK, ROBERT TEKIELI, MACIEJ WALASZCZYK, BRONISŁAW WILDSTEIN, PIOTR ZAREMBA, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU: KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY: REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO
PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: MARIOLA BARCIKOWSKA, MARIOLA.BARCIKOWSKA@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY: MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI, KATARZYNA LASKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA: ROBERT GOŁASZEWSKI, ROBERT.GOLASZEWSKI@FRATRIA.PL

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 36 00 (GODZ. 14.00 – 16.00)
PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE WWW.SIECIPRAWDY.PL
WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA, W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE). REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH. OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY. BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.

FOT.: PAP/RADEK PIETRUSZKA, ANDRZEJ WIKTOR, LIUDMYLA KAZAKOVA, BE&W, SHUTTERSTOCK/ANDREA RAFFIN, STOCKSMARTSTART

Zamów prenumeratę Sieci! Od 2 stycznia 2025 r. według nowego cennika

CENNIK PRENUMERATY*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
Krajowa	118 zł	207 zł	375 zł
Zagraniczna	296 zł	566 zł	1099 zł

**Dane do przelewu w stopce redakcyjnej*

Autopromocja

eprasa.pl 848ef1d67b

wPolsce 24 / WIADOMOŚCI

codziennie
19:30
wPolsce 24

Najważniejszy program informacyjny w Polsce

Newsy, komentarze, opinie ekspertów

GDZIE NAS OGLĄDAĆ:

telewizja naziemna	polsat box	CANAL+	netia	orange	vectra	PLAY	inea	TOYA	evio
52	909, 921, 196	62	192	32	825	65, 339, 121	459	631	43

eprasa.pl 848ef1d67b

Osiągnął więcej, niż mógł się spodziewać

KORESPONDENCJA Z WASZYNGTONU

Ocenę wizyty Karola Nawrockiego w Białym Domu należy zacząć od samego końca, czyli od oficjalnego filmu amerykańskiej administracji, która pokazała polskiego prezydenta, jak chyba nikogo dotąd. Widziałem to na własne oczy. Prezydent Nawrocki, choć jest debiutantem, na największym politycznym salonie świata porusza się nadzwyczaj swobodnie

MARCIN WIKŁO

Wydaje się, że Donald Trump (79 l.) widzi w Karolu Nawrockim (42 l.) siebie sprzed lat. A może inaczej – nawet kogoś, kim obecny amerykański prezydent chciał być i w pewnych aspektach był – zarówno w młodości, jak i dzisiaj. Postawny facet, który biorąc się za jakieś zadanie, zawsze doprowadza je do końca. Emanuje siłą, a także spokojem. Nie daje się wyprowadzać z równowagi, wytrzymuje ciśnienie. Polemizując z przeciwnikami, znajdując błyskotliwe pointy. Myśląc o sile Nawrockiego, mówimy zarówno o mięśniach, jak i o psychice. Wbrew pozorom to się łączy – zobaczyliśmy to podczas przywitania przywódców po tym, jak polski prezydent wysiadł z limuzyny przed południowym skrzydłem Białego Domu.

To był jeden z głośniejszych tematów dyskusji wewnątrz delegacji dziennikarskiej. Trump swoim żelaznym uściskiem dłoni chciał go „przeciągnąć" na swoją stronę, nie dał rady. Musiało mu się spodobać to, że napotkał wreszcie jakiś sensowny opór. Dlatego później ta opowieść toczyła się już w rytm słów: „Popatrzcie, ja na niego postawiłem, a on wygrał. Po-

eprasa.pl 848ef1d67b

lacy go kochają!". Dał mu nawet prezent – wspólną fotografię w wielkim formacie z napisem: „You will win!" („Wygrasz!"). Takie słowa rzeczywiście napisał w mediach społecznościowych po tym, jak podjął w gabinecie owalnym ówczesnego kandydata na prezydenta Polski.

WAŻNA SYMBOLIKA

Dzięki prezydenckiemu fotografowi Mikołajowi Bujakowi mamy doskonałą dokumentację tego spotkania. Widać chemię między Nawrockim a Trumpem. Na zdjęciach nawet lepiej niż na filmach, gdzie drobne gesty mogą umknąć. Dwóch samców alfa i co ciekawe, ten „nasz" wcale nie wychodzi tutaj mikro, choć przecież gości u najpotężniejszego człowieka na świecie. Są więc wyraziste gesty rękami i zaciśnięte pięści, które Trump lubi eksponować w geście zwycięstwa. Także Nawrocki (po pięściarsku) pokazuje w ten sposób gotowość do walki, konfrontacji. To ważne w kontekście polskich interesów, o które prezydent pojechał zadbać w Ameryce.

Wrócę na chwilę do symboliki, bo ona wydaje mi się nadzwyczaj ważna. Donald Trump zdecydował, że zorganizuje dla polskiego prezydenta pokaz lotniczy. Można powiedzieć, że to jego popisowy numer, ale tylko dla wyjątkowych gości. Bo nad tą częścią Waszyngtonu z oczywistych względów się nie lata. W powietrzu pojawiają się tutaj tylko Marine One i Marine Two – wojskowe śmigłowce wożące prezydenta i pierwszą damę.

W 2019 r. Andrzej Duda i Agata Kornhauser-Duda byli podejmowani przez małżeństwo Trumpów – wówczas nad ich głowami zawisł najnowocześniejszy myśliwiec na świecie F-35. Teraz było więcej maszyn: cztery F-35 i cztery F-16 w specjalnej formacji „missing man", gdzie jeden z członków eskadry się oddala. To był hołd oddany mjr. Maciejowi Krakowianowi, który zginął w swoim F-16 podczas prób przed radomskim Air Show.

„Dla Amerykanów życie każdego żołnierza jest bardzo ważne, tak jak dla Polaków, a tym bardziej dla mnie osobiście jako zwierzchnika sił zbrojnych. Ale szacunek dla polskiego pilota to tylko jeden z wymiarów tego pokazu" – mówił prezydent Karol Nawrocki w ekskluzywnej rozmowie dla telewizji wPolsce24 tuż po rozmowach w Białym Domu. Zaznaczył także, że przywódcy widzieli nad swoimi głowami nieprzypadkowe maszyny. „Dokładnie te F-35 trafią do Polski w styczniu. Będę miał okazję odbierać je, realizując umowy podpisane jeszcze w czasach rządów Zjednoczonej Prawicy" – zdradził Nawrocki.

Fot. Mikołaj Bujak/KPRP

Donald Trump zdecydował, że zorganizuje dla polskiego prezydenta pokaz lotniczy. Można powiedzieć, że to jego popisowy numer, ale tylko dla wyjątkowych gości

W tych gestach był więc także biznes. Po wizycie w 2019 r. Trump ogłosił, że Polska zadeklarowała kupno 32 takich maszyn. Teraz zobaczyliśmy na własne oczy, że przedmiot tego dealu naprawdę istnieje i umowa zaczyna się domykać.

Jeszcze jeden symbol – wspólne oglądanie pokazu lotniczego, wspólne patrzenie w niebo Trumpa i Nawrockiego można odczytać jako pewną przenośnię. Oto spotkali się prezydenci, którzy nie widzą ograniczeń w myśleniu o wielkości swoich ojczyzn. I co chyba jeszcze ważniejsze, nieprzypadkowo patrzą dokładnie w tym samym kierunku.

WIĘCEJ NIŻ ZAKŁADALIŚMY

Gabinet Owalny w rzeczywistości wcale nie jest duży. Po jednej stronie stoi słynne biurko, przy którym Trump podpisuje dekrety, po drugiej kominek i fotele, na których są przyjmowani przywódcy. Tym razem było tak duże zainteresowanie, że przez tłok trudno było rozejrzeć się po ścianach. Na pewno widać złocenia, podobno dodane na życzenie samego szefa.

Panują tutaj ścisłe zasady. Nie robimy selfie, nie wyciągamy w kierunku prezydentów żadnych przedmiotów, nawet jeśli to mikrofon na wysięgniku, nie odwracamy się plecami do przywódcy Stanów Zjednoczonych, pytanie zadaje ten, którego wskaże prezydent. No i najważniejsze – gdy padnie komenda, że to koniec, należy natychmiast wyjść. Inaczej „pomogą" postawni panowie z Secret Service.

Donald Trump bywa porywczy, łatwo go zdenerwować. Wówczas zaczyna mówić tonem naprawdę nieznoszącym sprzeciwu. Mieliśmy przykład tego podczas spotkania prezydentów

Fot. Mikołaj Bujak/KPRP

eprasa.pl 848ef1d67b

Fot. White House

z mediami, na które wpuszczono nas po dosyć długim oczekiwaniu.

Rozmowy w cztery oczy się przeciągnęły, choć to akurat dobry znak. Najpierw padło pytanie o to, dlaczego nic nie zrobił, by Putin zaczął się bać i zakończył wojnę. A potem o ewentualne wycofanie wojsk z Polski. Amerykański prezydent nie był miły dla dziennikarzy – jednemu polecił zmianę zawodu, drugi usłyszał drwinę, że chyba wie coś, o czym nie wie sam Donald Trump. Bo to w jego kompetencjach leży decyzja, gdzie i ilu amerykańskich żołnierzy będzie służyć. „Polacy to nasi najsilniejsi sojusznicy" – powiedział. Padło więc stwierdzenie „strongest alliance", które do tej pory słyszeli Brytyjczycy i być może Izraelczycy. A teraz my. „Możemy umieścić więcej żołnierzy w Polsce, jeśli Polacy będą chcieli" – dodał, wywołując tą otwartą deklaracją niemałe poruszenie.

Stało się jasne, że Karol Nawrocki, zaproszony do Białego Domu zaledwie cztery tygodnie po rozpoczęciu prezydentury, już na starcie osiągnął więcej, niż mógł się spodziewać.

Kilka dni temu Marcin Przydacz, szef Biura Polityki Międzynarodowej w KPRP, mówił tygodnikowi „Sieci": „Wielkie osiągnięcie, jakim było rozlokowanie amerykańskich wojsk w Polsce, musi zostać utrzymane. To wymagające, bo mamy świadomość, że w USA toczy się dyskusja, zarówno publiczna, jak i niepubliczna na temat ograniczenia obecności wojskowej w Europie".

> Nawrocki osiągnął w Waszyngtonie zapewnienie o możliwości zwiększenia komponentu wojskowego US Army w Polsce, co minister Sikorski podawał w wątpliwość

A dosłownie dzień przed wizytą polskiego prezydenta w Waszyngtonie usłyszeliśmy od Radosława Sikorskiego, że w sprawie obecności wojsk amerykańskich w Polsce nic nie jest jeszcze przesądzone. Szef MSZ dostał więc podwójnego prztyczka w nos.

Po pierwsze, całkowitą klapą okazała się jego karkołomna eskapada na spotkanie z sekretarzem stanu Marco Rubio. Chodziło o to, by spotkać się z kimkolwiek ważnym, zanim do stolicy Stanów Zjednoczonych przyleci prezydent Nawrocki. Owszem, Rubio to ważna postać, ale najważniejszą politykę w Ameryce robi się na szczeblu prezydenckim. Nawet Sikorski powinien to wiedzieć.

A po drugie, Nawrocki osiągnął zapewnienie o możliwości zwiększenia komponentu wojskowego US Army w Polsce, co minister w rządzie Tuska podawał w wątpliwość. I jeszcze jedno – szczegóły na poziomie roboczym będą teraz omawiali prof. Sławomir Cenckiewicz, szef Biura Bezpieczeństwa Narodowego, i Peter Hegseth, sekretarz obrony Stanów Zjednoczonych. Przy tym stole, na tym etapie, ponownie nie ma miejsca dla przedstawiciela rządu Donalda Tuska, co tylko potwierdza tezę o zamkniętych przed nim drzwiach do Białego Domu.

OBOK INSTRUKCJI

Próba zdezawuowania wizyty Karola Nawrockiego w Waszyngtonie toczyła się w zasadzie od momentu jej ogłosze-

eprasa.pl 848ef1d67b

nia. A nawet jeszcze wcześniej, bowiem Nawrocki zapowiedział przecież jeszcze jako kandydat, że w pierwszą podróż zagraniczną po objęciu urzędu będzie chciał się wybrać właśnie do stolicy USA. Obietnica została dotrzymana, co dla premiera Tuska i jego ludzi nie jest oczywistością.

Gdy już było jasne, że Nawrocki pojedzie do Trumpa (zaproszenie przywieźli osobiście wysłannicy amerykańskiego prezydenta na uroczystość zaprzysiężenia w Warszawie 6 sierpnia), ruszyła maszyna napędzana z gmachu MSZ.

Finalnym aktem przepychanki o to, kto prowadzi w Polsce politykę zagraniczną, była impertynencka instrukcja dla prezydenta. W normalnych warunkach stanowisko rządu być może byłoby nawet pomocne dla głowy państwa, ale Radosław Sikorski zadbał o to, by zamiast dobrych rad w kierunku prezydenta poleciał tylko kurz, wzniecony jak przy ulicznej bójce. Szef MSZ publicznie oświadczył, iż rząd uchwalił stanowisko na wizytę prezydenta w USA z wytycznymi, „co ma mówić, a czego nie mówić". Naprawdę, padły takie słowa. „To jest niegrzeczne, to jest niepotrzebne, to jest nieładne" – mówił prezydent we wspomnianym już wywiadzie dla telewizji wPolsce24. Wyjątkowo kulturalnie jak na to, z czym się spotkał.

Ale to tylko forma. Jest jeszcze treść owej instrukcji. Dyplomaci mają z nią wieloraki problem. Pierwszym jest język – jak ze szkolnego wypracowania. Zresztą objętość „dzieła" też jest mniej więcej na takim poziomie. Drugim – sposób przesłania – bez nałożenia klauzuli tajności, zwykłym mailem. Chyba po to, by potem pomstować, że notatka wyciekła do prasy, z sugestią, że zrobił to pałac prezydencki.

„Stanowisko rządu na wizytę prezydenta w USA nie było formalnie niejawne, ale na miejscu głowy państwa sprawdziłbym, który z jego doradców był takim durniem" – napisał Sikorski na platformie X. „Teraz wszyscy wiemy, w jakich sprawach Prezydent może reprezentować całe państwo polskie, a w jakich siebie" – dodał.

Co do „durnych" podpowiedzi – trudno inaczej rozumieć tę (zawartą w instrukcji), by nie wspierać pomysłu budowy elektrowni jądrowej „wraz z amerykańskim podmiotem". Przecież trzy lata temu podpisano już listy intencyjne między Westinghouse a 22 polskimi firmami, które mają brać udział w budowie elektrowni atomowej w naszym kraju. Podkreślmy jednak, że działo się to w czasie rządów Zjednoczonej Prawicy, a gabinet Tuska ma chyba inny pomysł. Po faktycznym wypchnięciu z Polski kontrahenta koreańskiego przyszedł chyba czas na pozbycie się Amerykanów. Wszystko po to, by technologię przynieśli nam nasi „europejscy przyjaciele". Czego nie rozumiecie?

Nawrocki rozmawiał w Białym Domu o Westinghouse, choć nie tak szczegółowo, jak o dostawach gazu, i to nie tylko dla Polski, lecz dla całego regionu. M.in. ten temat został poruszony w trakcie konsultacji Nawrockiego z prezydentami Litwy, Łotwy, Estonii i Ukrainy (zdalnie) oraz z premier Danii, które odbyły się Belwederze tuż przed jego wylotem do Stanów Zjednoczonych.

> To był jeden z głośniejszych tematów dyskusji wewnątrz delegacji dziennikarskiej. Trump swoim żelaznym uściskiem dłoni chciał „przeciągnąć" Nawrockiego na swoją stronę, nie dał rady

BEZ AMBASADORA

Polskie wojenki dyplomatyczne, raz po raz wzniecane przez ludzi Tuska, nie robią wrażenia na nikim istotnym w Stanach Zjednoczonych. Jeden dzień trwała ekscytacja po tym, jak Rubio powiedział do Sikorskiego: „Wasz rząd to niezwykły sojusznik na rzecz wolności". Potem była już wizyta prezydenta Nawrockiego u prezydenta Trumpa i wszystko wróciło na swoje tory, czyli na poziom poważnej polityki.

Na drugim biegunie mamy festiwal złośliwości. Na przykład to, że prezydenta Nawrockiego nie przywitał na lotnisku Bogdan Klich, uparcie nazywany przez Sikorskiego „ambasadorem", choć bez prezydenckiej nominacji jest tylko kierownikiem placówki. „Zapewniam pana, panie redaktorze, że emocjonalnie jakoś sobie z tym poradzę" – powiedział mi z uśmiechem Karol Nawrocki w Waszyngtonie.

A Radosław Sikorski został jeszcze w Stanach Zjednoczonych przez kilka dni. Jego rzecznik zapewnia, że szef odbywa coraz ważniejsze spotkania na coraz wyższych szczeblach. Być może można to tak określić. Należy nawet życzyć ministrowi powodzenia, bo o polskie interesy trzeba dbać na każdym poziomie. Niestety ten najwyższy w USA, czyli wspólne oglądanie nieba z prezydentem Trumpem, dzisiaj osiągalny jest tylko dla jednego Polaka. I nie jest nim Radosław Sikorski.

Fot. Mikołaj Bujak/KPRP x2

Prezydent USA sprezentował Karolowi Nawrockiemu odbitkę zdjęcia przedstawiającego ich obu w Gabinecie Owalnym w maju br. Była na niej odręczna dedykacja od Trumpa: „Karol – będziesz wspaniałym prezydentem!". Z kolei wśród prezentów przekazanych przez polskiego prezydenta gospodarzowi Białego Domu była opaska z powstania warszawskiego, z Woli z 1944 r.

eprasa.pl 848ef1d67b

PiS: Konfederacja jest przereklamowana

Prawu i Sprawiedliwości przestało zależeć na koalicji z Konfederacją. W partii Jarosława Kaczyńskiego był długi czas fascynacji tym ugrupowaniem, jego młodzieńczą dynamiką, wizjami wspólnych rządów, ale już minął. Okazało się, że powaby mogą być ulotne, a wady – mocno nad nimi przeważać. Bardzo postarał się o to sam Sławomir Mentzen

PIOTR GURSZTYN

Dramatyczne widowisko, jakim była piwna debata Mateusza Morawieckiego ze Sławomirem Mentzenem, ma w mediach społecznościowych już kilkanaście milionów odsłon. Niewątpliwie będzie to miało daleko idące konsekwencje dla obu uczestników. A zwłaszcza dla gospodarza, organizatora akcji „Piwo z Mentzenem". W opinii większości widzów lider Konfederacji poległ na własnym terenie w starciu z Morawieckim. A oczekiwania były inne: to Mentzen miał być wschodzącą gwiazdą, a były premier gasnącą.

Jednak to starszy o prawie 20 lat Morawiecki rzucał „z głowy" dziesiątki danych dotyczących gospodarki i finansów, a Menzten plątał się z wyświetlaniem slajdów. Merytoryczna domina-

eprasa.pl 848ef1d67b

cja tego pierwszego sprawiła, że prawie połowa widzów uznała to za zwycięstwo Morawieckiego (42 proc. komentarzy pozytywnych, podczas gdy Mentzen tylko 18 proc.), wśród nich wiele osób deklarujących się jako zwolennicy Konfederacji.

Za Mentzenem długo będzie się ciągnęło jego zdanie o innowacjach: „Państwa rozwijają się w ten sposób, że przedsiębiorcy rozwijają swoje firmy, szukają nowych źródeł dochodu. Jest zupełnie oczywiste, jeżeli w danym państwie są niższe koszty pracy, to jest to pewna przewaga konkurencyjna i z tego się korzysta. I nie ma sensu próbować być na siłę innowacyjnym, bo podejmowanie innowacji to jest ryzyko. Na tym zwykle traci się pieniądze". Te słowa to gotowy materiał na internetowe memy. Ale nie tylko. Łatwo sobie wyobrazić, co by było, gdyby Mentzen powiedział to jako koalicjant PiS. Wicepremier albo nawet premier, bo przecież rozważano i takie warianty.

Tak więc był to kolejny moment, gdy już nie tylko Jarosław Kaczyński, lecz także ci politycy PiS, którzy dużo sobie obiecywali po współpracy z Konfederacją, uznali, że Mentzen jest przereklamowany. I nie chodzi tylko o duży potencjał do samokompromitacji. Widać też, że lider Konfederacji ma słabe wyczucie nastrojów w tym segmencie wyborców prawicowych, którzy wahają się między PiS a jego partią. Mimo że to grupa kluczowa, bo dzięki niej Konfederacja skoczyła od ok. siedmioprocentowego poparcia do kilkunastu punktów w sondażach.

W uproszczeniu to dawni wyborcy PiS obrażeni na starą partię za to, że w latach 2016–2023 stała się zbyt mało radykalna. A oni oczekują wyrazistej prawicy. A także popierają ambitne projekty rozwojowe typu CPK. Zatem słowa o taniej sile roboczej, a jeszcze bardziej piwo z Rafałem Trzaskowskim i Radkiem Sikorskim były dla nich wstrząsem.

Bez entuzjazmu ocenili też furiacką reakcję Mentzena na programową propozycję ze strony PiS. W jednym punkcie nieco prowokacyjną, ale w całości nieagresywną. Konfederacja nie musiała jej przyjmować i można było na nią odpowiedzieć – także negatywnie – w cywilizowany sposób. A Mentzen, nazywając Kaczyńskiego „gangsterem" i sugerując, że choroba nowotworowa Zbigniewa Ziobry to też wina prezesa PiS, nie tylko ukazał się jako człowiek agresywny i nieracjonalny. Jego odpowiedź brzmiała niemal jako narracja Silnych Razem. A na to radykalni prawicowcy też są wyczuleni.

OBSESJA NA PUNKCIE PiS

W kierownictwie PiS odbiór był nieco inny: uznano to za dowód tego, że Mentzen woli dogadać się ze stroną przeciwną. Zaczęły krążyć pogłoski, że lider Konfederacji odbył potajemne spotkania z Donaldem Tuskiem. Ten miał mu oferować stanowisko marszałka Sejmu, tak aby Nowa Nadzieja – partia Mentzena – zastąpiła w obecnej koalicji Szymona Hołownię. Nie przesądzając tego, na ile te plotki są wiarygodne, wielu polityków PiS mocno w to uwierzyło. I z tym wiążą agresywną odpowiedź Mentzena.

Dodajmy tu, że sam Mentzen zachowuje się, jakby miał obsesję na punkcie PiS. Agresywność jego wypowiedzi to coś więcej niż zwykła polityczna gra między ugrupowaniami, które konkurują o podobnych wyborców. Szczególnie Morawiecki budzi jakąś fobię. W pubie Mentzena wisi na ścianie banknot z Morawieckim stylizowanym na Kopernika, co ma być sugestią, że były pisowski premier odpowiada za inflację. Widnieje na ścianie z napisem: „Tych gości nie obsługujemy", a przecież w tym miejscu cała Polska widziała, jak Mentzen kelnerował czołówce Platformy. Jako odbicie myślenia lidera Konfederacji można potraktować słowa jego bardzo bliskiego współpracownika, rzecznika z czasu kampanii prezydenckiej Wojciecha Machulskiego: „Wydaje mi się, że niestety Miller był lepszym premierem niż Morawiecki".

Kolejną rzeczą, która mogła wpłynąć na myślenie kierownictwa PiS, to sugestie amerykańskie, aby nie wiązać się z Konfederacją. Od razu po zwycięstwie Karola Nawrockiego w kilku mediach pojawiły się przecieki o tym, że Amerykanie mieli namawiać PiS, Hołownię oraz PSL, aby ta trójka już teraz stworzyła rząd. Tak aby odsunąć Tuska od władzy. I w tej układance strona amerykańska nie widziała Konfederacji jako elementu niepewnego. Podkreślmy, że to działanie trumpowskiej administracji.

Skądinąd dla Konfederacji wykluczenie z czegoś, co można nazwać trumpowską międzynarodówką, to tragedia. Marginalizacja w świecie antyglobalistycznej prawicy i zakwestionowanie znaczenia oraz powagi tej partii. Nie wiadomo, czy emocjonalny i często niedojrzały Mentzen to rozumie. Ale Krzysztof Bosak, osoba bez porównania inteligentniejsza, zauważył to niebezpieczeństwo i widać, że podejmuje działania, aby podtrzymać dobre kontakty z Amerykanami i uratować przynajmniej swój Ruch Narodowy.

Tak więc jest jasne, że to nie złe wspomnienia Jarosława Kaczyńskiego o trudach koalicji z LPR i Samoobroną wpłynęły na decyzję, aby mocno walczyć o samodzielne rządy. Tamte emocje już dawno wygasły. Zdecydowały o tym nowe okoliczności.

PARTIA RECENZENTÓW

Ale co z sondażami? We wszystkich widać, że bez Konfederacji partia Kaczyńskiego nie sformuje rządu większościowego. PiS liczy na benefity płynące z systemu d'Hondta – to znaczy, że ktoś nie wejdzie do Sejmu, tak jak lewica w 2015 r. A skorzysta z tego największy. Tym ktosiem, który polegnie pod progiem wyborczym, może być PSL albo ugrupowanie Hołowni, ewentualnie Korona Grzegorza Brauna.

Skądinąd PSL już nerwowo szuka partnera do listy wyborczej. Wicemarszałek Piotr Zgorzelski kazał strukturom nawiązywać kontakty z Konfederacją. Napisał na platformie X: „Dwa lata w polityce to po prostu epoka. Uważam, że nasza koalicja powinna zapracować na kolejną kadencję, a jeżeli zabraknie nam głosów, trzeba rozmawiać z liberalną częścią Konfederacji". Odpowiedź z oficjalnego konta tej partii była drwiąca i negatywna, ale wcale nie ma pewności, czy część mentzenowska (liberalna) nie ulegnie jakiejś pokusie.

Fot. @SławomirMentzen/x.com

eprasa.pl 848ef1d67b

I to by była dobra wiadomość dla PiS. Tam jest bowiem kalkulacja, że wynik tej partii to poniżej 231 posłów dających większość, ale powyżej 215 mandatów. Resztę trzeba będzie dobrać. Wiadomo, że deal z PSL będzie trudny do zaakceptowania dla narodowców Bosaka, a w Konfederacji ma miejsce skrywany, lecz ostry konflikt między Mentzenem a marginalizowanym Bosakiem. Warto tu zauważyć, że ten ostatni dystansuje się – na tyle, ile może – od awantur z PiS.

Korzystną okolicznością dla Prawa i Sprawiedliwości jest też to, że nie tylko Mentzen jest przereklamowany. Podobnie jest z całym ugrupowaniem. Coraz więcej prawicowych wyborców zauważa, że Konfederacja pozostaje partią recenzentów, ale nigdy nie była sprawdzona w realnym działaniu. To oczywiście błahostka, ale ostatnio prawicowi internauci żywo drwili z newsa o tym, że słynny pub Mentzena przynosi straty. Ale poważniejszym sprawdzianem jest znikoma obecność Konfederacji w samorządach. Jest tam słabsza od wszystkich, nawet od ledwo dychającej Lewicy.

Obecnie, po wyborach samorządowych w 2024 r., radnych sejmikowych, którzy wystartowali z listy Konfederacja i Bezpartyjni Samorządowcy (KiBS), jest 6 w skali całego kraju. Radnych sejmikowych z PiS – 239. Czyli 43 proc. wobec 1 proc. radnych związanych z Konfederacją. W radach powiatów jest 5 radnych KiBS wobec 2080 z PiS. Ta piątka wygląda nędznie w porównaniu z wieloma listami regionalnymi i lokalnymi, bo np. lista taka jak Mazowiecka Wspólnota Samorządowa zdobyła 14 mandatów. W radach miast i gmin jest 17 członków z KiBS i 3069 z PiS. Nawet Lewica miała wyraźnie lepszy wynik – 86 radnych w skali całej Polski.

Konfederacja ma zerową reprezentację wśród prezydentów miast, burmistrzów i wójtów – z jednym wyjątkiem. W Bełchatowie prezydentem miasta jest Patryk Marjan, członek partii Nowa Nadzieja, ale wybory samorządowe wygrał, startując z własnego komitetu. Skądinąd pokonał wtedy dotychczasową prezydent miasta związaną z PiS. To jedyne zwycięstwo było bardzo fetowane przez całą Konfederacją, co jest znakiem tego, że liderzy ugrupowania postrzegają znikomą reprezentację w samorządach jako wielki problem.

UMIZGI DO NAWROCKIEGO

W tej trudnej sytuacji Konfederacja podpiera się Karolem Nawrockim jako niby swoim prezydentem. To też kolejny przejaw słabości – na zasadzie „konia kują, żaba nogę podstawia". Nawrocki jest z pewnością jakąś szansą dla Konfederacji, ale na zasadzie mediatora. Ale w sytuacji konfliktowej trudno oczekiwać, aby prezydent zerwał z partią, która wystawiła go w wyborach prezydenckich. Nawrocki raczej nie zapomniał tego, że Mentzen przyjął go w Toruniu chłodno i obcesowo, a Trzaskowskiego naprawdę ciepło.

> Konfederacja podpiera się Karolem Nawrockim jako niby swoim prezydentem. To też kolejny przejaw słabości – na zasadzie „konia kują, żaba nogę podstawia"

W debacie publicznej słychać opinię, że jeśli chodzi o poglądy, to „Nawrocki jest bardziej konfederacki niż pisowski". Czy to dobra wiadomość dla Konfederacji? Tylko do pewnego momentu. Prezydent może występować we wspomnianej roli mediatora. Zapewne weźmie w obronę mniejszą Konfederację przed większym PiS, gdyby partia Kaczyńskiego grała nie fair, wykorzystując swoją przewagę. Ale będzie pośredniczył tylko wtedy, gdy będzie to kłótnia wewnątrz prawicowej rodziny. Przecież Nawrocki nie stanie po stronie Konfederacji, gdyby ta zawarła jakiś układ z Donaldem Tuskiem. W sprawie szczegółu, ale symbolicznego, czyli wypowiedzi o wyższości Millera nad Morawieckim, trudno oczekiwać od prezydenta (z jego całym życiorysem), aby pozytywnie reagował na taki przejaw historycznej ignorancji.

Jeśli w przypadku konfliktu z PiS Konfederacja jawnie stanie po stronie Tuska, to wtedy ta „konfederackość" Nawrockiego będzie dla niej przekleństwem. Wtedy dynamiczny Nawrocki wyssie z niej cały antysystemowy elektorat. „Pan prezydent, wtedy kandydat, podpisał się pod wszystkimi ośmioma punktami deklaracji toruńskiej Sławomira Mentzena. Więc tak naprawdę podpisał się pod tymi wszystkimi kluczowymi punktami, które różnią Konfederację od praktyki rządzenia Prawa i Sprawiedliwości" – emocjonował się niedawno Przemysław Wipler.

Ale to znaczy, że Nawrocki weźmie ten program – razem z wyborcami – bez żadnego pokwitowania. To, co w tym programie jest atrakcyjne dla szerokich mas wyborców, stanie się wtedy hasłem obozu złożonego z PiS i środowisk wokół prezydenta Nawrockiego. A Konfederacja zostanie „jak Himilsbach z angielskim".

Wypominanie, że bez poparcia Konfederacji Nawrocki nie zostałby prezydentem wtedy będzie już bez znaczenia. Bo konfederaccy Indianie w swej masie pójdą za antysystemowym Nawrockim, a konfederaccy wodzowie zostaną ze znacznie okrojonym elektoratem. Już dzisiaj, czytając konta w mediach społecznościowych, widać, że wyborcy Konfederacji są zachwyceni nowym prezydentem. Szczególnie dotyczy to tych, o których już wspominaliśmy, czyli ludzi, którzy kiedyś obrazili się na PiS. Dzisiaj ich zaufanie do Menztena jest bardzo niskie (ale za to dobrze oceniają Bosaka), a Nawrocki stał się dla nich ikoną antysystemowego radykalizmu.

Tych ludzi widać w mediach społecznościowych. Są tam aktywni, inicjują debaty i wpływają na nastroje w swoich środowiskach. W tzw. realu stykają się z nimi posłowie PiS. I widzą różnicę – niedawno ci sami ludzie mieli do nich pretensje za niedostateczny antysystemowy radykalizm i naciskali na nich, aby zawiązać koalicję z Konfederacją. A teraz narzekają na Mentzena. Dla polityków PiS to znaczący sygnał.

eprasa.pl 848ef1d67b

Modelka i państwowe spółki

Supermodelka Anja Rubik mocno zaangażowała się w walkę z PiS i wspieranie dzisiejszej władzy. Teraz jej znajomi i biznesowi partnerzy dostają posady w spółkach skarbu państwa

Fot. fr_Kosma/Shutterstock.com

epr.esa.pl 848ef1d67b

ŁUKASZ WRÓBLEWSKI

Ona walczy o edukację seksualną dla każdego Polaka. Oni w pocie czoła pilnują interesów strategicznych państwowych przedsiębiorstw. Ona wie, że nie można dopuścić do powrotu PiS, dlatego kibicuje obecnej władzy. Komu kibicują oni, nie wiemy – wiadomo jednak, że swoje błyskotliwe kariery w spółkach Skarbu Państwa rozpoczęli dopiero po dojściu do władzy koalicji 13 grudnia.

„Sprawdźcie, dlaczego prawnicy z nieznanej dotąd kancelarii Bąbol, Bzowski, Klimek z Radomska zaczęli wchodzić do rad nadzorczych ważnych spółek i czy jakiś związek ma z tym popierająca Tuska supermodelka Anja Rubik" – napisał do nas kilka tygodnik temu czytelnik. Sprawdziliśmy, a efekty tej pracy przedstawiamy poniżej.

ANJA Z PARYŻA

Anna Helena Rubik urodziła się w Rzeszowie. Jako dziecko mieszkała z rodzicami (oboje są lekarzami weterynarii) w Grecji, Kanadzie i Republice Południowej Afryki. Po powrocie do Polski Rubikowie osiedli w Częstochowie, a Ania zainteresowała się modelingiem. Gdy miała 13 lat, wzięła udział w konkursie Elite Model Look, jako 15-latka chodziła już na paryskich pokazach mody. Przeniosła się do stolicy Francji na stałe, zaczęła się posługiwać imieniem Anja, a jej kariera nabierała rozpędu dosłownie z miesiąca na miesiąc. Szczyt nadszedł w 2010 r., kiedy Rubik znalazła się na trzecim miejscu rankingu najlepszych modelek świata. Polka ponad 40 razy trafiła na okładki magazynu „Vogue", prezentowała ubrania najbardziej znanych światowych projektantów, była gwiazdą kampanii reklamowych największych marek. W 2014 i 2015 r. „Forbes" wymieniał ją w gronie najlepiej zarabiających modelek świata z przychodami wynoszącymi ok. 3,5 mln dol. rocznie.

Kursując między Paryżem, Londynem i Nowym Jorkiem, Anja Rubik z przerażeniem nasłuchiwała wieści z Polski. Do władzy nad Wisłą doszło wszak straszne PiS i zaczęło cofać nasz kraj do średniowiecza. Supermodelka postanowiła walczyć. Wraz z będącymi obecnie u władzy politykami i setkami innych celebrytów wychodziła na ulice, protestując przeciwko krwiożerczym, antykobiecym rządom skrajnej prawicy.

„Nie mogę sobie wyobrazić, żeby Polki nie miały tych samych praw, co kobiety na całym świecie. To przykre, bo Polska była w dobrym momencie. Cofamy się" – mówiła podczas warszawskiej manifestacji Strajku Kobiet 8 marca 2017 r. Demonstrowano wówczas w obronie „pełni praw reprodukcyjnych, państwa wolnego od zabobonów, wdrożenia i stosowania konwencji antyprzemocowej i poprawy sytuacji ekonomicznej kobiet".

„10 lat temu miałyśmy więcej praw, byłyśmy bardziej swobodne. W rządzie większość stanowią mężczyźni, a pani premier nie stoi po naszej stronie. To przykre, że musimy wykorzystywać ten dzień, święto kobiet, do protestów. Chcę wspierać kobiety i dać im otuchy" – przekonywała supermodelka.

Następne lata to kolejne demonstracje, dziesiątki wywiadów i setki słów potępienia dla zbrodni PiS. Anja Rubik oficjalnie popierała kandydatów ówczesnej opozycji (np. Rafała Trzaskowskiego w wyborach prezydenckich 2020 r.), organizowała także działania profrekwencyjne, mające zachęcać młodych ludzi i kobiety do udziału w wyborach.

Jesienią 2023 r. jej fundacja SEXEDPL wyprodukowała filmy, w których pokazywano, że „są politycy i polityczki, którzy chcą decydować o tym, jak powinno wyglądać nasze prywatne życie, jeszcze bardziej ograniczać nasze prawa reprodukcyjne, czy mówić nam, kogo możemy kochać". Scenariusze klipów były, by tak rzec, dość łopatologiczne. Mamy np. etiudę o zabierającej się do seksu parze. Są całusy, przytulasy, jest intymnie przygaszone światło. Mężczyzna wyciąga z szafki nocnej prezerwatywę. Nagle w łóżku pojawia się obca, zapięta pod szyję kobieta, która nożyczkami przecina „gumkę". „Skoro jest pan gotowy na to, to chyba jest pan też gotowy na dziecko, prawda? – pyta zła kobieta. – A pani co do tego? – dziwi się młoda bohaterka filmu. – To pani nie wie? Wygrałam wybory!" – oznajmia baba z nożyczkami.

Z bezpiecznego seksu nici. Żeby to zmienić, trzeba było zagłosować 15 października. Dzięki m.in. tej i wielu innym kampaniom prowadzonym przez rozmaite fundacje i fundacyjki – zagłosowali. Nastąpiła zmiana, nikt już nie będzie zabierał młodym Polakom prezerwatyw!

MECENASI Z RADOMSKA

Radomsko leży pomiędzy Łodzią a Częstochową i liczy nieco ponad 40 tys. mieszkańców. Nie znajdziemy go w rankingu najbogatszych polskich gmin, nie ma go też na listach tych najbiedniejszych. Nie jest super, nie jest źle, a mimo to Radomsko należy do najszybciej wyludniających się miast w województwie łódzkim.

„Szykuję się do wyjazdu do Skandynawii. Sama nie wiem, czy bardziej wkurza mnie kraj, czy Radomsko. Choć Radomsko to dla mnie kraj do trzeciej potęgi, wszystkie wynaturzenia w takim małym mieście się kumulują" – mówiła Emilia, jedna z bohaterek opowiadającej o Radomsku książki „Lokalsi. Nieoficjalna historia pewnego samorządu". Jej autor Andrzej Andrysiak jest wydawcą „Gazety Radomszczańskiej", jednego z najbardziej znanych lokalnych mediów w Polsce. W ostatnim czasie Andrysiak wielokrotnie opisywał kancelarię prawną Bąbol, Bzowski, Klimek. Po pierwsze dlatego, że jest największa w mieście, po drugie – z powodu karier robionych w spółkach Skarbu Państwa przez jej wspólników.

W latach 90. radca prawny Mariusz Bąbol był sędzią w miejscowym Sądzie Rejonowym. Radczyni Urszula Klimek pełniła funkcję prezesa tego sądu. Adwokat Paweł Bzowski był prokuratorem. Kancelarię założyli w 2001 r. Jak czytamy w „Gazecie Radomszczańskiej", po zwycięstwie obecnego prezydenta Radomska Jarosława Ferenca nad kandydatem PiS w przedterminowych wyborach w 2016 r. „kancelaria

eprasa.pl 848ef1d67b

Ludzie

Dwóch prawników z Radomska zostało członkami rad nadzorczych firm kontrolowanych przez państwo

Którędy droga?

Po zmianie władzy w kraju dwóch radomszczańskich prawników z kancelarii Bąbol Bzowski Klimek trafiło do rad nadzorczych firm kontrolowanych przez państwo. **Paweł Bzowski został szefem rady koncernu medialnego Polska Press, Mariusz Bąbol członkiem rady Nitroerg**, producenta materiałów wybuchowych do użytku cywilnego. Orlen, właściciel Polska Press, nie wyjaśnia, jak wytypowano tę kandydaturę. KGHM, właściciel Nitroerg, milczy

Andrzej Andrysiak

Piąta rada nadzorcza w spółkach skarbu państwa dla radomszczańskich prawników z kancelarii BBK

Mocni w radach

Od objęcia rządów przez koalicję Platformy Nowej Lewicy i Trzeciej Drogi **prawnicy z radomszczańskiej kancelarii** Bąbol Bzowski Klimek **zasiedli już w pięciu radach nadzorczych** spółek skarbu państwa. W kwietniu **Paweł Bzowski** został członkiem kolejnej - spółki Orlen Oil, kontrolowanej przez paliwowego giganta.

Andrzej Andrysiak

„Gazeta Radomszczańska" jako pierwsza opisała kariery robione w spółkach Skarbu Państwa przez prawników z BBK

BBK praktycznie zmonopolizowała usługi prawne dla miejskiego samorządu". Z 8,7 mln zł, które Radomsko wydało do 2024 r. na usługi prawne, 4,5 mln trafiło do BBK, reszta do 22 innych kancelarii prawnych.

Po przejęciu władzy w kraju przez Platformę Obywatelską prawnicy z Radomska nagle zaczęli być doceniani także na arenie ogólnopolskiej. W marcu 2024 r. Paweł Bzowski został przewodniczącym rady nadzorczej Polska Press, największego wydawcy regionalnych portali i gazet w Polsce. Spółka należy do ORLENU, który w czasach rządów PiS odkupił ją od Niemców. W kwietniu 2025 r. Bzowski wszedł w skład rady nadzorczej ORLEN OIL, firmy zajmującej się m.in. produkcją olejów samochodowych.

Od kwietnia 2024 r. Mariusz Bąbol zasiada w radzie nadzorczej wchodzącej w skład Grupy KGHM firmy NIETROERG. To jeden z największych w Europie producentów materiałów wybuchowych. W czerwcu 2024 r. powierzono mu funkcję członka rady nadzorczej innej spółki KGHM, katowickiego Biprometu. Zajmuje się ona projektowaniem i realizacją inwestycji przemysłowych, przede wszystkim w branży energetycznej i metalurgicznej. Najbardziej prestiżową posadą Bąbola jest z pewnością praca w radzie nadzorczej TAURONU, z którym prawnik z Radomska związał się we wrześniu ub.r.

BIZNES NA JANA PAWŁA II

Przed 2024 r. ani Bąbol, ani Bzowski nie mieli do czynienia z nadzorowaniem spółek Skarbu Państwa. Nie wiadomo także o ich doświadczeniach w branżach medialnej czy materiałów wybuchowych. Skąd więc błyskawiczne awanse?

> Po przejęciu władzy w kraju przez Platformę prawnicy z Radomska nagle zaczęli być doceniani także na arenie ogólnopolskiej. Sypnęły się lukratywne posady, choć nie wiadomo, by przed 2024 r. mieli do czynienia z nadzorowaniem spółek Skarbu Państwa

Oficjalnie: są świetnymi fachowcami, spółki zatrudniają właśnie takich, można się rozejść. „Gazeta Radomszczańska" bezczelnie poszukiwała jednak drugiego dna, jakichś patronów obu mężczyzn, kogoś, kto zarekomendował prawników z Radomska.

„Rozmawialiśmy z osobami związanymi z obecną władzą, jaki mógł być tryb wyboru. Bo jeśli nie konkurs, nie oferty, to może rekomendacja? Pojawiły się dwa potencjalne nazwiska: posła Koalicji Obywatelskiej okręgu piotrkowskiego Adriana Witczaka oraz Cezarego Grabarczyka, byłego posła, ministra, obecnie szefa struktur Platformy Obywatelskiej w województwie łódzkim" – czytamy w artykule pod tytułem „Którędy wiodła ta droga" z maja 2024 r.

Zarówno Witczak, jak i Grabarczyk odżegnywali się od jakichkolwiek związków ze sprawą. Witczak potwierdził, że zna Bąbola, ale to wszystko. Grabarczyk zapewniał, iż utrzymuje z Bąbolem relacje czysto towarzyskie, a z Pawłem Bzowskim nie ma kontaktu od kilku lat.

Andrzej Andrysiak podaje w swoich tekstach jeszcze jeden trop.

„Gdy Orlen jako właściciel Polska Press podejmował decyzję o wytypowaniu Bzowskiego na przewodniczącego rady nadzorczej, obowiązki prezesa paliwowego koncernu pełnił Witold Literacki. Wcześniej przez wiele lat związany z Orlenem. Literacki był p.o. prezesa od 6 lutego do 10 kwietnia 2024 r. Trafił tam wprost ze stanowiska przewodniczącego rady nadzorczej miejskiej spółki PGK Radomsko. Obsługą prawną PGK zajmuje się między innymi wspólnik kancelarii BBK Mariusz Bąbol" – czytamy w „Gazecie Radomszczańskiej".

eprasa.pl 848ef1d67b

O Anji Rubik nikt dotąd nie mówił w tym kontekście. Co ją wiąże z Radomskiem, Bąbolem i Bzowskim? Np. pieniądze. Od października 2022 r. supermodelka jest prezesem zajmującej się reklamą spółki Nyeleti Creatives. Wspólnikami są w niej jej ojciec, Andrzej Rubik, oraz Mariusz Bąbol, pełniący także funkcję prokurenta. Siedziba Nyeleti Creatives znajduje się w Radomsku przy al. Jana Pawła II 3/5. Pod dokładnie tym samym adresem mieści się kancelaria Bąbol, Bzowski, Klimek.

Jak supermodelka i jej tata wpadli na pomysł biznesu z Bąbolem? Nie wiemy. Wiemy za to, że córka radomszczańskiego mecenasa Anna Bąbol jest dobrą znajomą i wieloletnią współpracowniczką Anji Rubik. Pracowały razem m.in. przy projektach promującej „edukację seksualną" fundacji SEXEDPL, którą Rubik założyła i której prezesuje.

Przykład? Film pod tytułem „Przyjemność z seksu", wyprodukowany – jak czytamy w opisie na YouTube – w ramach serii sześciu rozmów, w których omawiane były „ważne kwestie związane z seksem – m.in. seks oralny, masturbacja czy seksting". Anja Rubik wymieniana jest jako autorka dzieła, Anna Bąbol jako jej asystentka.

„Była moją prawą ręką przy tym projekcie. Zarywała noce, pracując nieustannie – zawsze opanowana i profesjonalna" – tak dziękowała Bąbol jej szefowa w książce „#sexed.pl. Rozmowy Anji Rubik o dojrzewaniu i seksie". Tutaj radomszczanka pełniła funkcję menedżerki przedsięwzięcia. Wychwalany w mainstreamowych mediach poradnik dla młodzieży stał się bestsellerem. Można było się z niego dowiedzieć m.in. jak „pokochać swoją cipkę", nie złapać choroby wenerycznej oraz powiedzieć rodzicom o swoim homoseksualizmie. Obszerny rozdział poświęcono aborcji.

„Wybór metody aborcji zależy w dużej mierze od wieku ciąży. Jej przerwanie wykonuje się najczęściej farmakologicznie. Najprościej mówiąc, w aborcji farmakologicznej stosuje się tabletki wywołujące skurcze, z którymi usuwany jest zarodek. Takie środki można zażyć przy lekarzu lub w domu, zgodnie z instrukcją lekarza. Aborcję chirurgiczną wykonuje się w gabinecie. Jest to odessanie zarodka/płodu przy użyciu strzykawki lub małej pompki, w znieczuleniu miejscowym. Jeśli ciąża trwa dłużej niż 3 miesiące, przed zabiegiem podawane jest znieczulenie ogólne. Najbezpieczniej jest wykonać aborcję na jak najwcześniejszym etapie ciąży" – tłumaczyła lekarka Natasza Blek.

„Jak czują się kobiety po aborcji?" – pytała Rubik. „Przeżywają różne stany, ale uczuciem najczęściej zgłaszanym po aborcji jest ulga" – wyjaśniała jej rozmówczyni.

Supermodelka dobrze czuła się w obecności Anny Bąbol także prywatnie. Świadczą o tym ich liczne zdjęcia ze wspólnych imprez i podróży. Misję Anji Rubik, co widać w mediach społecznościowych, gorąco popierają członkowie rodzin Bąboli i Bzowskich. Zgrana paczka.

WSZYSCY MILCZĄ

Zapytaliśmy e-mailowo Mariusza Bąbola i Pawła Bzowskiego o kulisy ich znajomości z Anją Rubik, a także o to, czy relacja z popierającą obecną władzę supermodelką mogła w jakiś sposób przyczynić się do ich karier w państwowych spółkach. Pytania powtórzyliśmy SMS, próbowaliśmy też telefonicznie w kancelarii. Bez skutku. Chcieliśmy też uzyskać informacje i komentarz w tej sprawie od Anji Rubik. Wysłaliśmy pytania do fundacji SEXEDPL, napisaliśmy SMS do jej menedżerki. Nikt nie odpowiedział.

> Po wyborach wygranych przez koalicję 13 grudnia najsłynniejsza polska modelka mogła wreszcie odetchnąć pełną piersią. Rząd Tuska jeszcze na dobre nie zaczął działać, a Rubik już spotkała się z minister Nowacką

Po wyborach wygranych przez koalicję 13 grudnia najsłynniejsza polska modelka mogła wreszcie odetchnąć pełną piersią. Rząd Donalda Tuska jeszcze na dobre nie zaczął działać, a Rubik już spotkała się z szefową resortu edukacji Barbarą Nowacką. Panie omówiły „kwestie związane z edukacją, bezpieczeństwem i programem szkolnym".

„To była dla Nas ważna i bardzo obiecująca rozmowa. Zaledwie parę tygodni temu taka dyskusja z MEN byłaby nierealna. Bardzo się cieszymy, że mimo tak napiętego grafiku i zaledwie tydzień po objęciu stanowiska znalazła Pani Ministra dla Nas czas" – pisała w mediach społecznościowych Rubik.

Wiosną br. fundacja modelki ruszyła z „Lekcjami bez tabu", programem dla nauczycieli i rodziców przygotowanym przez ekspertów z dziedziny psychologii, ginekologii, seksuologii i prawa. „To aż 70 gotowych scenariuszy zajęć dla klas 4–6 oraz 7–8, a także uczniów szkół ponadpodstawowych" – informowała telewizja TVN. Entuzjazm Anji Rubik wobec Nowackiej i rządu wprawdzie już nieco opadł (bo wprowadzona przez władzę edukacja zdrowotna jest niewystarczająco nowoczesna, no i wciąż nie ma swobodnego dostępu do aborcji), ale supermodelka wie, że nie można pozwolić PiS wrócić do władzy.

„Jeśli odpuścimy w tej drugiej turze, to czeka nas scenariusz, w którym nie ma postępu, nie ma dialogu ani empatii. Te wybory to nie moment na obrażanie się" – błagała w jednym z nagrań przed drugą turą ostatnich wyborów prezydenckich.

Nie wybłagała. Jak będzie w 2027 r.? Czy „profrekwencyjne" kampanie przyniosą skutek i na jaki pomysł tym razem wpadnie Anja Rubik? A jeśli się nie uda? Co będzie z edukacją seksualną, co będzie z prawami kobiet? No i czy po ewentualnej zmianie władzy umiejętności prawników z Radomska nadal będą tak pilnie potrzebne w spółkach Skarbu Państwa? Pożyjemy, zobaczymy.

eprasa.pl 848ef1d67b

Uczeń wyprany z wiedzy

Dzieci finansowych elit kształcą się w wiedzy, kulturze, dyscyplinie. To zupełnie inny świat niż ten, który dziś proponują nam MEN i IBE. To tak, jakby ktoś chciał oddzielić świat elit i pracowników, usuwając klasę średnią, by przypadkiem nie wyrósł z niej ktoś, kto będzie podważał zasady nowo kształtowanego układu społecznego

Z Jolantą Dobrzyńską, członkinią Rady do spraw Rodziny, Edukacji i Wychowania przy prezydencie Andrzeju Dudzie, rozmawia Dorota Łosiewicz

Fot. Przemysław Keler/KPRP, Shutterstock

Za większością zmian wprowadzanych przez Ministerstwa Edukacji Narodowej stoi Instytut Badań Edukacyjnych. To IBE otrzymał od resortu zlecenie przygotowania założeń nowej podstawy programowej i profilu absolwenta. Dlaczego akurat ten instytut?

Jolanta Dobrzyńska: Dobre pytanie. Ten instytut przez wiele lat sprawował wyłącznie funkcję pomocniczą, nie był instytutem naukowym. Teraz przyznano mu znacznie wyższą rangę. W większości te same osoby, które pracowały tam od lat, zajmują się czymś, co jest najważniejsze w edukacji, czyli ustawieniem całej oświaty szkolnej pod względem programowym. To bardzo dziwne. Gdyby tradycja tego instytutu była prawdziwie naukowa, wówczas nie byłoby zaskoczenia. Po zmianie władzy okazało się, że instytut, w którym brakuje ludzi z tytułami naukowymi, zajmuje się kwestiami kluczowymi dla polskiej edukacji.

eprasa.pl 848ef1d67b

Na stronie IBE czytamy: „Jednym z kluczowych dokumentów opracowanych przez IBE PIB jest Profil absolwenta i absolwentki. To punkt odniesienia dla wszystkich zmian w podstawach programowych. Profil wskazuje, jakie kompetencje są dziś najważniejsze i w jakich obszarach szkoła może wspierać uczniów. To on wyznacza kierunek reformy i inspiruje do nowego myślenia o edukacji". Czym jest ten profil?

Tworzenie takiego profilu nigdy wcześniej nie było potrzebne, ponieważ szkoła miała podstawę programową. Teraz się okazuje, że będzie inaczej. Podstawa programowa ma być podporządkowana jakiemuś „Profilowi absolwenta" i przeredagowana zgodnie z tym profilem. Ta zmiana jest już projektowana na poziomie ustawy prawo oświatowe. To znaczy, że w nowelizacji tej ustawy przyjętą podstawą pracy programowej polskich szkół będzie dokument wypracowany przez IBE. „Profil absolwenta" staje się dokumentem nadrzędnym w odniesieniu do innych. Choć nie jest aktem prawnym, staje się dokumentem decydującym dla wprowadzanych zmian. Mówi on, jakie obszary kształcenia ma zawierać szkoła, jakie kompetencje powinien posiadać uczeń. „Profil absolwenta" ma doprowadzić do zmiany podstawy programowej w taki sposób, aby wiedza obiektywna i przedmioty zostały zastąpione przez nieoczywiste, formatujące ucznia miękkie kompetencje oraz „sprawczość" – zupełnie nowe pojęcie w edukacji. W „Profilu absolwenta" jest też mowa o wartościach, ale to wszystko pozostaje niezwykle niespójne. Dokument składa się z wycinków różnych opracowań. Nie mamy w Polsce wypracowanej polityki edukacyjnej, jakieś jej fragmenty bierzemy z Zachodu, ale to nie tworzy spójnej całości. Jednak za zachodnimi programami idą spore pieniądze. I to pewnie one stoją za pomysłem „Profilu absolwenta".

Jak rozumiem, celem szkoły ma nie być już przekazywanie wiedzy, lecz kształtowanie konkretnych kompetencji?

Kompetencje od lat wypierają wiedzę poprzez konstrukcję podstaw programowych formułowaną na rzecz tzw. umiejętności. Efekt w postaci upadku poziomu kształcenia widać gołym okiem. I to jest wpływ globalnej polityki edukacyjnej. W transformacji edukacji, która jest przeprowadzana na całym świecie, dla szkoły wyznacza się nowe cele. I to będzie zupełnie inna szkoła, niż ta, którą znamy do tej pory. Zresztą w wielu krajach to się już dokonało. Najważniejszy do tej pory cel szkoły, czyli nauczanie, już nie będzie kluczowy. Wyznacza się nowy, bardzo dokładnie opisany w opracowaniach zagranicznych – chodzi o budowę społeczeństwa inkluzywnego z pomocą szkoły. W dokumentach ponadnarodowych społeczeństwo inkluzywne przewija się dziesiątki, o ile nie setki razy. Poprzez organizację wewnętrzną i kształtowanie uczniów szkoła ma doprowadzić do budowy tego społeczeństwa. Wszystko jest ustawione pod ten cel. Wychowanie, które było drugim celem szkoły, w ogóle zniknęło z dokumentów. Dziś nikt, mówiąc o nowej koncepcji szkoły, nie wspomina o wychowaniu. Zamiast tego używa się określenia „kształtowanie postaw i przekonań uczniów". To groźny termin. Wychowanie to dbałość o wszechstronny rozwój człowieka. Sformułowanie „kształtowanie postaw i przekonań" zakłada formatowanie ucznia w określonym kierunku. „Profil absolwenta" może być zmieniany, nie jest bowiem aktem prawnym. Nowa szkoła nie chce już rozwoju człowieka – chce kształtować według odgórnie narzuconej wizji.

Jaka to wizja?

Znajdujemy ją w wielu ponadnarodowych dokumentach. Oprócz budowy społeczeństwa inkluzywnego chodzi o wmontowanie człowieka w rynek pracy. Do tej pory celem edukacji – co zapisano w prawie oświatowym – było wspieranie dziecka w rozwoju ku pełnej dojrzałości w sferze emocjonalnej, fizycznej, intelektualnej, duchowej, społecznej. Teraz celem edukacji ma być sformatowanie młodego człowieka jako pracownika pod potrzeby rynku pracy. Czyli zamiast kompletnego, dojrzałego człowieka mamy stworzyć zasób siły roboczej. Nie ma tu miejsca na wartości, samodoskonalenie, rozwój osobisty, kształtowanie silnej woli. Uczeń przestaje być podmiotem systemu szkolnego, a zaczyna być traktowany jako produkt epoki i element przyszłego rynku pracy.

Jeśli dobrze rozumiem, szkoła przestanie towarzyszyć rodzicom w wychowaniu i nie będzie ich już wspierać w tym dziele, ale ma stworzyć określony „produkt"?

O to właśnie chodzi. Tego ma uczyć polska szkoła, to kryje „Profil absolwenta", którego wytyczne mają zostać narzucone wszystkim polskim uczniom. Mamy jeszcze trzeci cel, czyli uczniowski „dobrostan". Uczniowie nie powinni czuć się źle podczas tego formatowania. Mamy tu pozory troski o ucznia, które w istocie są dla niego zagrożeniem. Uczeń będzie kształtowany i w dodatku ma być z tego zadowolony. Sformatowane mają być nie tylko postawy, lecz także przekonania, a przecież do tej pory były one wynoszone z domu rodzinnego.

A jaki ma być dokładnie ten sformatowany produkt? Czym jest pojawiająca się w „Profilu absolwenta" sprawczość, o której pani mówiła?

Jesteśmy na początku tej drogi, a „Profil absolwenta" jest głęboko niespójny i pozostaje zlepkiem życzeń. Pod pojęciem „sprawczości" mieści się poczucie przynależności do wspólnoty i nastawienie na samorozwój. Jest też mowa o samoregulacji – cóż to jest? – i przekonaniu o własnej skuteczności. Jeśli mówimy o sprawczości, to powinna być mowa o skuteczności, a nie o samym przekonaniu dotyczącym skuteczności. Jeśli zaś chodzi o rozwój własny, to ten pozostaje w indywidualnej gestii ucznia. Jak to będzie wyglądało w praktyce, dowiemy się, gdy poznamy podstawę programową na kolejne lata, a to ma się stać jeszcze we wrześniu. W „Profilu absolwenta" mamy jeszcze coś takiego, jak „kompetencje przekro-

eprasa.pl 848ef1d67b

jowe", które mają być realizowane we wszystkich przedmiotach. Dużą uwagę przywiązuje się do współpracy w grupie i dbania o inne osoby. Jak wynika z różnych opisów, społeczeństwo inkluzywne ma dbać samo o siebie, powoływać różne organizacje, by zharmonizować własne współżycie i współistnienie. Tak jakby państwo i organizacja państwowa nie były do niczego potrzebne. Zmiany zachodzące w szkole są podporządkowane nieznanej w Polsce wizji edukacji, która wynika z ponadnarodowych dokumentów i opracowań. To wizja przebudowy społeczeństwa w skali globalnej. Z jednej strony mamy przygotowanie uczniów do Europejskiego Obszaru Edukacyjnego, ale z drugiej musimy wejść na poziom globalny, przygotowany przez ONZ i jego agendy. Polskie władze podpisały wiele zobowiązań. „Profil absolwenta" jest prawdopodobnie realizacją jednego z nich. A trzeba pamiętać, że z realizacji zobowiązań Polska jest rozliczana, rządy muszą składać szczegółowe sprawozdania. Choćby z edukacji włączającej, która ma teoretycznie zaspokoić potrzeby wszystkich uczniów, nawet z największymi dysfunkcjami, kosztem całej reszty. To element zmian wprowadzanych w poszczególnych krajach, gdzie na końcu łańcucha społecznych przeobrażeń mamy społeczeństwo inkluzywne. Szkoła w znikomym stopniu będzie się zajmowała przekazywaniem wiedzy. Kompetencje matematyczne, językowe i cyfrowe mają być kształtowane na niskim poziomie, który pozwala człowiekowi zaledwie funkcjonować w społeczeństwie. Ogranicza się myślenie, rozumowanie na rzecz usprawnienia codziennego funkcjonowania.

Rodzice się na to godzą?

Problem w tym, że część rodziców aprobuje takie podejście. Często słyszymy: „Po co dziecku wiedza, która nie będzie mu do niczego potrzebna?". Ale do tej pory szkoła służyła nie tylko przekazywaniu wiedzy, lecz także rozwojowi intelektu. Dziś słyszymy od szefowej MEN, że szkoła będzie uczyła wyłącznie w paradygmacie „co i jak", czyli będzie przekazywała informację i uczyła, jak ją wykorzystać. Natomiast rozwój intelektu człowieka, który predestynuje go do innych, wyższych prac niż robotnik umysłowy, wymaga działania także w innych paradygmatach: „dlaczego, po co". To jest pytanie o przyczyny i skutki, myślenie logiczne, które zupełnie wypada. To będzie pełna zapaść edukacyjna i tego nie da się już odkręcić. Kraje, które poszły w tym kierunku, nie były w stanie naprawić swojej oświaty.

> Po zmianie władzy okazało się, że instytut, w którym brakuje ludzi z tytułami naukowymi, zajmuje się kwestiami kluczowymi dla polskiej edukacji

Komu najbardziej zależy na takim formatowaniu uczniów, o jakim pani mówi?

Podmiotom wielkiego biznesu, korporacjom. One nie potrzebują pracownika o szerokiej wiedzy, ale takiego, który dobrze żongluje informacją w ograniczonym zakresie. Gdy czytamy „Profil absolwenta", wyraźnie widać to żonglowanie informacją. Informacje nie składają się na wiedzę. Ogranicza się kształcenie ogólne, a podstawy programowe są ujęte w formę typową dla kształcenia zawodowego. W podstawie czytamy: „uczeń porównuje, przedstawia". Kiedyś podstawa programowa była pisana problemowo, tematycznie, zagadnienia były ujmowane szeroko. Dziś wszystko sprowadza się do przekazania i przekształcenia informacji. I tak dostosowuje się ucznia do potrzeb rynku.

Jak w tym kontekście rozumieć zapowiedzi IBE dotyczące niemal likwidacji lektur obowiązkowych?

Cały czas chodzi o ograniczenie kształcenia ogólnego i kulturowego. Historia i język polski, cała humanistyka to kształcenie ogólne. Dlatego mamy takie uderzenie w ten obszar – przyszłemu pracownikowi korporacji takie kształcenie do niczego nie jest potrzebne, a nawet może przeszkadzać. Ten przyszły korporacyjny świat jest mocno oddzielany od kształcenia elit na Zachodzie. W szkołach elitarnych, z zaporowym czesnym, gdzie uczą się dzieci najzamożniejszych rodziców, kształcenie wygląda tak jak w dawnej, przyzwoitej szkole. Te dzieci dostają się potem na elitarne uczelnie. Dzieci finansowych elit kształcą się w wiedzy, kulturze, dyscyplinie. To jest zupełnie inny świat niż ten, który dziś się nam proponuje. To tak, jakby ktoś chciał oddzielić świat elit i pracowników, usuwając klasę średnią, by przypadkiem nie wyrósł z niej ktoś, kto będzie podważał zasady nowo kształtowanego układu społecznego. To jest projekt globalny. IBE i MEN doskonale się w to wpisują, m.in. dlatego, że to przeważnie projekty lewicowe, a ponieważ lewica doszła do władzy, nastąpiło przyspieszenie w realizacji tej agendy. Wpływy zachodnie, za którymi szły zachodnie programy i fundusze, powoli przesuwały Polskę w tym kierunku od lat 90. To, co widzimy teraz, jest tylko przyspieszeniem projektu przebudowy polskiej edukacji.

Czy temu procesowi można się jeszcze przeciwstawić?

Tylko teraz, bo potem będzie bardzo trudno. Zmiany wchodzą w każdą dziedzinę życia szkoły, są wręcz niewyobrażalne. Potrzebna jest wiedza rodziców o zachodzącym kierunku zmian i opór społeczny. Sprzeciw wielu Polaków dotyczący edukacji zdrowotnej zatrzymał ją jako przedmiot obowiązkowy przynajmniej na rok. A przecież przedmiot ten to zaledwie jaskółka zmian, które nadciągają.

eprasa.pl 848ef1d67b

Natalia de Barbaro

Popychacze Tuska

Tylko kilka osób ma dostęp do premiera. Co ciekawe, tworzą one wokół niego świat przypominający ten z niemieckiego filmu „Good Bye Lenin!”

Igor Ostachowicz

Premier Donald Tusk najczęściej siedzi zamknięty w gabinecie i rzadko kogoś do siebie dopuszcza. Rozmawia tylko z kilkoma osobami. Wśród jego najbliższych współpracowników znajduje się wieloletni spec od PR Igor Ostachowicz, który w czasach pierwszych rządów Platformy kreował przekaz rządu i dbał o „słuch społeczny” Tuska. Jest w tym gronie były rzecznik rządu i prawa ręka premiera – Paweł Graś. Do tego nielicznego towarzystwa wchodzą Agnieszka Rucińska, była dziennikarka Polskiego Radia, oraz psycholog i mentorka szefa rządu Natalia de Barbaro. Nie mogło w nim zabraknąć ministra w Kancelarii Prezesa Rady Ministrów Macieja Berka, szefa jego kancelarii Jana Grabca oraz rzecznika rządu Adama Szłapki.

Otoczenie Tuska jest hermetyczne i dba o to, żeby nikt inny nie miał wpływu na szefa. Ci z Koalicji Obywatelskiej, którzy szydzą ze ścisłego dworu obecnego premiera bądź zazdroszczą tym, którzy w nim się znaleźli, twierdzą, że ta wąska grupa tworzy wokół niego fikcyjny świat.

STANISŁAW JANECKI

Taki jak w niemieckim filmie „Good Bye Lenin!” Wolfganga Beckera. Jest jesień 1989 r. Matka Alexa Kernera Christiane, towarzyszka odznaczana i nagradzana w NRD, zapada w śpiączkę po zawale serca. Kiedy budzi się latem 1990 r., lekarz przestrzega, że jakiekolwiek podniecenie może być dla niej śmiertelne. Alex i jego przyjaciele wmawiają więc kobiecie, że NRD nadal istnieje i tak inscenizują fikcyjną rzeczywistość wokół niej, by nie dowiedziała się prawdy. W 2025 r. dwór Tuska tworzy wokół niego fikcję, w której on może wszystko, a przeciwnicy są słabi i skłóceni. A co najważniejsze, dwór szefa rządu podzielił się rolami.

RUCIŃSKA I DE BARBARO

O dworze obecnego premiera najwięcej mówią „zazdrośnicy” dający do zrozumienia, że niektóre osoby znalazły się w nim na wyrost, choć nie znaczy to, że nie są użyteczne. Taką osobą jest była dziennikarka Agnieszka Rucińska. Ma ona doradzać Donaldowi Tuskowi, jak się zachowywać wobec mediów i reporterów. Ponoć stworzyła dla niego listę dziennikarzy, których powinien traktować nieprzyjaźnie i opryskliwie, a nawet wrogo, oraz tych przyjaznych, którym dawkuje się newsy, a potem oni się odwdzięczają, atakując inne media i tłumacząc premiera.

Rucińska ma też wpływ na to, jak Donald Tusk się ubiera, jaki styl prezentuje podczas różnych wydarzeń. Jest jedną z nielicznych osób, od których szef rządu zawsze odbiera telefony, nawet bardzo późno w nocy. Ona też najpóźniej wychodzi z willi premiera przy ul. Parkowej, choć kryje się za tym tylko to, że najczęściej gra rolę „pani domu” bądź „gospodyni”. Plotki głoszą, że jest nielubiana przez Małgo-

Fot. Michał Wargin/East News Warszawa, Michał Żebrowski/DDTVN/East News

eprasa.pl 848ef1d67b

rzatę Tusk, żonę szefa rządu. Dlaczego? Bo oglądając telewizyjne relacje z działalności męża, może zobaczyć Rucińską dosłownie wszędzie i zawsze blisko.

Wtajemniczeni twierdzą, że największy wpływ na Donalda Tuska mają Natalia de Barbaro i Igor Ostachowicz, którzy *de facto* pociągają za sznurki.

De Barbaro, psycholog społeczna, socjolog i trenerka umiejętności społecznych, pisze ponoć szczegółowe scenariusze publicznych wystąpień Tuska. Podpowiada mu, jakie chwyty zastosować, w jakich momentach robić kontrapunkty, jak panować nad emocjami zebranych. To ona ma odpowiadać za koncepcję walki dobra ze złem, którą Tusk prezentuje od pierwszego publicznego wystąpienia po powrocie do polskiej polityki (na początku lipca 2021 r.). To de Barbaro ma namawiać Tuska, by w każdym wystąpieniu atakował PiS i odnosił się do rządów tej partii. Ona też prowadzi z premierem sesje terapeutyczne, gdy ten ma „doła" czy się „wścieka". W ogóle koncepcja przecieków do mediów o „wściekaniu" się szefa rządu ma być jej autorstwa. „Wściekanie się" rozładowuje złe emocje, a przede wszystkim pokazuje różnice między świetnym szefem i nieudolnymi urzędnikami, którzy nie tylko go irytują, lecz przede wszystkim zawodzą.

De Barbaro odbyła wiele rozmów, w których szef rządu opowiadał jej o sobie. Potem pojechała nawet do Trójmiasta, gdzie poznała go poprzez opowieści rodziny i przyjaciół. Powstał nawet spot, w którym Tusk opowiada o swoim życiu: o tym, że wcześnie stracił ojca, o tym, że matka pracowała w szpitalu. Miał wzbudzać współczucie i chyba wzbudził, gdyż po emisji notowania Tuska w tydzień skoczyły z 6 do 17 proc.

Natalia de Barbaro była strategiem kampanii prezydenckiej Donalda Tuska w 2005 r. Pomagała mu w przygotowaniach do wyborów, a po porażce z Lechem Kaczyńskim doradzała w sprawie zmiany podejścia do polityki, m.in. w kontekście wykorzystywania podziałów społecznych i budowania narracji bazującej na emocjach, co polityk sam uznał za przełom w swojej karierze. Choć de Barbaro nie pełni formalnej funkcji w trzecim rządzie Tuska, pozostaje z nim blisko związana. Na jego życzenie w 2025 r. pomagała Rafałowi Trzaskowskiemu (kandydatowi KO na prezydenta RP) w przygotowaniach do debat wyborczych, m.in. przed spotkaniem w Końskich, gdzie wspierała go psychologicznie w radzeniu sobie ze stresem.

OSTACHOWICZ, BEREK, GRAŚ, GRABIEC

Igor Ostachowicz, wieloletni współpracownik Tuska, był jego najbliższym doradcą i spin doktorem w latach 2007–2014 (zatrudniony jako podsekretarz i sekretarz stanu w KPRM), odpowiedzialnym m.in. za komunikację i strategię medialną. Po powrocie Tuska na stanowisko premiera w grudniu 2023 r. Ostachowicz nie objął formalnego stanowiska w rządzie, ale pozostaje najbardziej zaufanym doradcą strategicznym, osobą do zadań specjalnych. Na życzenie szefa rządu w 2025 r. zaangażował się w kampanię prezydencką Rafała Trzaskowskiego, pomagając w jej organizacji i strategii przed drugą turą wyborów.

Ostachowicz przygotowuje dla Tuska tematy, które ten wplata w swoje wystąpienia: analogie historyczne, odwołania do konkretnych postaci i cytatów, opinie o historycznych osobistościach i ich „dokonaniach". Ogólnie Ostachowicz myśli za Tuska i buduje coś, co potem premier przedstawia jako własny bagaż kulturowy.

Spory wpływ na Tuska ma też minister Maciej Berek, który dostarcza premierowi interpretacji prawa, w tym konstytucji, i pisemnie wskazuje mu, jak daleko może się posunąć w publicznych wystąpieniach, akceptując łamanie prawa, a wręcz do tego namawiając. Koncepcja „demokracji walczącej" ma być właśnie autorstwa Berka. To on podsunął Tuskowi i Bodnarowi prace Karla Loewensteina, twórcy koncepcji streitbare Demokratie.

Jan Grabiec i Paweł Graś mają za zadanie przynoszenie Donaldowi Tuskowi plotek, przede wszystkim obyczajowych. Każdy z nich przedstawia charakterystyki różnych osób (zarówno z koalicji rządzącej, jak i z opozycji) pod kątem haków i kompromitujących sytuacji, jakie są tematem plotek. Przy czym Graś ma się specjalizować w tematach „kto z kim i kiedy", a Grabiec zbiera ekstrawaganckie „ekscesy". Dostarczane Tuskowi plotki zmieniają go. Na ludzi, którym kiedyś zazdrościł bądź uważał za trudnych przeciwników, zaczął patrzeć z lekceważeniem, wyobrażając ich sobie w żenujących czy nawet obscenicznych sytuacjach, w jakich występują w tych plotkach. Im okropniejsze opowiastki o rywalach, tym lepiej, bo burzą one poważny wizerunek przeciwnika. Jest takie wzorcowe wyobrażenie podsuwane politykom przez psychologów czy specjalistów marketingu, gdzie politycznego rywala wyobraża się z „opuszczonymi gaciami" albo w innej żałosnej sytuacji i wtedy pryska wszelki lęk przed nim. Dzięki temu nabiera się nie tylko pewności siebie, lecz także spektakularnie lekceważy rywala.

W plotkach Donald Tusk dostrzega groźną broń. Nie muszą mieć wiele wspólnego z prawdą, byleby malowniczo opisywały jakieś szczegóły, nawet kompletnie zmyślone. Bliscy współpracownicy Tuska twierdzą, że gdy rozmawia on z Pawłem Grasiem, plotki o politykach (także z własnej partii i koalicji) wypełniają nawet 90 proc. takich „posiedzeń". I premier ma potem dobry humor, szczególnie gdy w rozmowach, np. z kobietami, wtrąca jakieś elementy usłyszane w dostarczanych mu historyjkach. Tusk stał się swego rodzaju nałogowcem, gdy chodzi o nowe plotki. A każdy, kto mu ich dostarczy, zyskuje w oczach szefa.

Główna rola Adama Szłapki to zastępowanie szefa, gdy niekorzystne dla niego jest osobiste występowanie w jakiejś sprawie. Wtedy Grabiec ma za zadanie „niczego nie powiedzieć".

ODLOT

Problemem Donalda Tuska nie jest to, że korzysta z usług i pomocy zaufanych współpracowników. Problemem jest to, co oni z nim robią. A robią trzy rzeczy.

Po pierwsze, znajdują i eksponują u niego to, co najgorsze. Po drugie, w znacznym stopniu go infantylizują, opowiadając plotki bądź „niestworzone" historie, a one premiera „jarają", dlatego domaga się następnych. Po trzecie, otaczają szefa rządu iluzją i fikcją, w którą ten coraz częściej wierzy. A gdy ta fikcja zostaje obnażona, Donald Tusk nie wiąże jej ze sobą. On żyje w innym świecie. I coraz bardziej „odlatuje".

eprasa.pl 848ef1d67b

Miasteczko lemingów

Mieszkańcy Miasteczka Wilanów żyją w zamkniętej bańce. I nie chodzi tylko o świat wirtualny: internet, telewizję, przekaz propagandowy, lecz także o otaczającą ich rzeczywistość. Ktoś, kto nie wychyli się poza swoją dzielnicę, ten się nie dowie, że w Polsce są kolorowi imigranci, że jest dużo biedy i przestępczości. Zdaje się, że wielu tego nie wie

KONRAD KOŁODZIEJSKI

O Miasteczku Wilanów ostatnio znowu zrobiło się głośno za sprawą supermarketu Dino, który miał jakoby powstać w sercu tego uważanego za drogie i elitarne warszawskiego osiedla. Jego mieszkańcy byli podobno oburzeni, że tuż obok planuje się otwarcie dyskontu kojarzonego głównie z prowincją. Taki sklep miał obniżać prestiż dzielnicy. „Kto tam będzie kupował? U nas nie ma takich klientów" – cytowano głosy zdegustowanych lemingów. „To przecież wygląda jak kurnik" – oburzał się ktoś inny. A złośliwcy drwili w internecie, że skoro mieszkańcy Miasteczka uciekli ze wsi, to teraz wieś postanowiła przyjechać do nich. Bogaci warszawiacy są wściekli, a reszta Polski ma z nich ubaw po pachy – podsumowano trafnie na jednym z portali.

Potem się okazało, że spory o market owszem są, ale ma on powstać w zupełnie innej, willowej części Wilanowa. I że miejscowym chodzi nie tylko o kwestie estetyczne, lecz także o potencjalne problemy komunikacyjne.

Tak czy owak konflikt wokół Dino miał przede wszystkim oblicze klasowe. Wielkomiejska, zamożna leminżeria, której symbolem jest Miasteczko Wilanów, starła się tu z ubogimi „chamami" z prowincji. Jednak rzeczywistość nieco odbiega od tego schematu. Bo ani prowincjusz nie jest tak ubogi i „chamski", jak się nam wmawia, ani też wilanowski leming wcale nie jest tak elitarny, za jakiego uchodzi. Wystarczy wybrać się z wizytą do Miasteczka Wilanów i sprawdzić to osobiście.

Fot. Liudmyla Kazakova

eprasa.pl 848ef1d67b

ODRĘBNY BYT

Przez kilkadziesiąt lat na wilanowskich błoniach, a więc tam, gdzie dziś znajduje się Miasteczko Wilanów, rozciągały się bezkresne pola kapusty, rzepaku i rozmaitych zbóż. Były to bowiem eksperymentalne uprawy należące do SGGW – wyższej uczelni rolniczej, której kampus znajdował się nieopodal, na Ursynowie. Pamiętam swoje wyprawy z psem w latach 80. na wilanowskie pola. Nie opuszczając administracyjnych granic Warszawy, można było tam poczuć zapach prawdziwej wsi – dla mieszczucha zawsze stanowiło to nie lada atrakcję (o psie nawet nie wspominając). Dlatego gdy na początku tego stulecia rozpoczęto tam budowę nowego osiedla, było mi żal tych przestrzeni.

SGGW sprzedała malownicze pola spółce Prokom Investments należącej do Ryszarda Krauzego, a ten postanowił zbudować tam miasteczko dla bogatej klienteli. Nowe osiedle miało być inne niż peerelowskie blokowiska, miało się też różnić od niezbyt estetycznej zabudowy z lat 90. W tym celu do Polski ściągnięto zagranicznego architekta, aby stworzył unikalną jak na polskie warunki koncepcję. Guy C. Perry – pół-Amerykanin, pół-Francuz, ochoczo wziął się do roboty, miał tu bowiem okazję, która nie przytrafia się architektom i urbanistom zbyt często – stworzenia całego miasta od podstaw.

Nazwa Miasteczko Wilanów nie jest przypadkowa. Założeniem projektu było zbudowanie w pełni funkcjonalnego miasta w mieście i to się w dużym stopniu udało. Miasteczko Wilanów nie jest klasyczną dzielnicą Warszawy – to raczej odrębny byt, pod wieloma względami odizolowany od reszty stolicy. Rodowity warszawiak ma poczucie, jakby znalazł się w obcym mieście. Przynajmniej ja się tak tutaj czułem, gdy po raz pierwszy od wielu lat wpadłem do Miasteczka, aby rozejrzeć się po okolicy na potrzeby niniejszego artykułu. Jedyne, co przypominało mi, że ciągle jestem w Warszawie, to rejestracje samochodów i komunikacja miejska.

„Miasteczko jest samowystarczalne, bo wszystkie codzienne potrzeby możemy realizować na miejscu. Mamy tu szkoły, przedszkola, sklepy, szpital, kawiarnie i restauracje. Jeśli ktoś nie widzi takiej konieczności, może się stąd w ogóle nie ruszać" – mówił w rozmowie z „Newsweekiem" agent nieruchomości z Wilanowa.

To prawda, ale tylko pod warunkiem, że nasze potrzeby nie są zbyt wyrafinowane. W Miasteczku nie znajdziesz bowiem żadnej instytucji kultury (przynajmniej ja na taką nie trafiłem), nie ma księgarni (oprócz jednego Empiku), antykwariatów ani niczego, co jest niezbędne do życia przeciętnemu inteligentowi. Co ciekawe, nie ma też wszechobecnych banków. Jest za to mnóstwo salonów piękności, winiarni i „kraftowych" stomatologów. Istnieje nawet „centrum planowania rodziny", gdzie dokonuje się zabiegów wazektomii i rewazektomii (cena – 25 tys. zł). Sporo nam to mówi o przekroju społecznym (oraz intelektualnym) osiedla.

Złośliwie można podsumować, że typowy mieszkaniec Miasteczka raczej nie czyta książek, a wolny czas spędza na piciu wina, poprawianiu swojej urody lub korygowaniu potencji seksualnej.

MIASTO PRZYJEZDNYCH

Warszawa uchodzi za jedno z najbardziej platformerskich miast w Polsce. To w ogromnym stopniu zasługa Miasteczka Wilanów, które jest – co trudno sobie wyobrazić – znacznie bardziej platformerskie niż reszta Warszawy. Miasteczko pozostaje ogólnokrajową stolicą Platformy, porównywalną tylko z wrocławskim Jagodnem.

W 2010 r. Bronisław Komorowski zdobył tu rekordowe poparcie (84 proc.), a rok później PO w wyborach do Sejmu zgarnęła prawie 70 proc. głosów. W 2019 r. Platforma otrzymała 54 proc., a w 2023 r. – 52 proc. (dla porównania – PiS zebrało tylko 15 proc. głosów). W tegorocznych wyborach prezydenckich Rafał Trzaskowski miał 54 proc. poparcia w pierwszej turze i 78 proc. w drugiej (Karol Nawrocki – odpowiednio 12 i 22 proc.).

Z czego to wynika? Przede wszystkim ze wspomnianego już przekroju społecznego osiedla. I choć nikt nie prowadzi takich statystyk, dużą część jego mieszkańców stanowią relatywnie bogaci pracownicy międzynarodowych korporacji, informatycy, menedżerowie, prawnicy, przedstawiciele wolnych zawodów, przedsiębiorcy – tacy, którym udało się przetrwać wyścig szczurów. A zatem ustabilizowani finansowo, z pospłacanymi kredytami i odchowanymi dziećmi, ale już nie pierwszej młodości – zwykle po czterdziestce lub nawet pięćdziesiątce. Słowem: typowi wyborcy Tuska i PO. To oni nadają ton całemu osiedlu i to do nich próbują równać pozostali mieszkańcy.

Warto też zauważyć, że Miasteczko Wilanów to miasto przyjezdnych. Tu każdy skądś pochodzi, bo dzielnica jest młoda. Przy czym przybyszów z innych dzielnic Warszawy jest relatywnie niewielu, sporo za to ludzi z całej Polski, często z niewielkich miejscowości i wsi. To dość charakterystyczna grupa osób, którym udało się odnieść finansowy sukces, beneficjentów III RP. Przyjechali do stolicy 20–30 lat temu w poszukiwaniu lepszego życia, na studia i do pracy. Stopniowo wspinali się po kolejnych szczeblach kariery, otrzymywali awanse, lepsze płace, aż wreszcie mogli się ustabilizować. Potem do głów uderzyła im woda sodowa i przeistoczyli się w wielkich panów z wielkiego miasta. Z roszczeniową postawą wobec otoczenia i wielką pogardą do każdego, kto w ich mniemaniu stoi niżej w hierarchii (czyli ma mniej pieniędzy). Oraz – przede wszystkim – z gigantycznym kompleksem własnego pochodzenia.

SIŁA KOMPLEKSÓW

Awantura o Dino nie była pierwszym objawem tego kompleksu. Gdy w Miasteczku powstawał sklep Pepco, „elitarni" mieszkańcy głośno protestowali („nie po to zainwestowałem na Wilanowie, żeby mieszkać obok czegoś takiego"). A gdy – jeszcze podczas budowy osiedla – wytyczano ulice i jedną z nich nazwano Kazachską, domagali się – na szczęście bezskutecznie – zmiany nazwy na bardziej europejską i prestiżową.

Miejscowi opowiadają, że to właśnie tej grupie najbardziej przeszkadza tramwaj na Wilanów (sztandarowa inwestycja Trzaskowskiego), bo oni nie korzystają przecież z transportu publicznego, wręcz się nim brzydzą. Podczas budowy trasy miało dochodzić do karczemnych awantur na ulicy z powodu korków. Właściciele największych i najdroższych aut wciskali się bowiem na chama z bocznych uliczek, nie zwracając uwagi na zasady ruchu drogowego. Podobne reguły panują w Rosji, gdzie pierwszeństwo ma zawsze ten, kto jeździ większym i droższym autem.

A skoro już jesteśmy przy naszych sąsiadach ze Wschodu, to trudno by było nie

eprasa.pl 848ef1d67b

dostrzec całkiem sporej ukraińskiej diaspory na Wilanowie. Przy czym ma ona dwie twarze. Z jednej strony są to zahukani pracownicy usług, ekspedientki, kurierzy, nianie, a z drugiej – ostentacyjnie bogaci najemcy lub właściciele drogich apartamentów. Ci drudzy nie odczuwają żadnego respektu przed swoimi polskimi sąsiadami, co budzi irytację i złość „elity". Bo „elita", mimo że głosuje na PO, kocha różnorodność i jest tolerancyjna, to szczerze nie znosi Ukraińców. Miasteczko Wilanów miało przecież należeć tylko do fajnopolaków. I trzeba powiedzieć, że pod innymi względami to się udało.

WILANOWSKA BAŃKA

Mieszkańcy Miasteczka żyją w zamkniętej bańce. Przy czym nie chodzi tylko o świat wirtualny: internet, telewizję, przekaz propagandowy – ale o otaczającą ich rzeczywistość. Ktoś, kto nie wychyli się poza swoją dzielnicę, ten się nie dowie, że w Polsce są kolorowi imigranci, że jest dużo biedy i przestępczości. Zdaje się, że wielu tego nie wie. Nie da się bowiem wiele zauważyć z okien swojego samochodu, a tylko w ten sposób mieszkańcy osiedla przemieszczają się po Warszawie.

Być może trudno w to uwierzyć, ale Miasteczko Wilanów to oaza spokoju na tle Warszawy i wielu innych miast w Polsce. Imigrantów – poza Ukraińcami, nielicznymi kurierami oraz malowniczymi sprzedawcami w azjatyckich sklepach – praktycznie tu nie znajdziesz. Kilka lat temu było tak w całym kraju, teraz jest już tylko w bogatych, odizolowanych osiedlach. Wielokulturowość to tutaj miły, marginalny folklor. Jak więc można oczekiwać od mieszkających tu ludzi oburzenia na imigrację? Świat za ich oknem wydaje się potwierdzać to, co mówią im rozmaite tefaueny i inne liberalne media. Nie ma problemu z imigracją. To wymysł prawicowych faszystów.

Co ciekawe, tych ostatnich też musi być trochę w Wilanowie (przypomnijmy – 22 proc. głosów na Karola Nawrockiego), bo na wieczornej mszy w dzień powszedni w tutejszej Świątyni Opatrzności Bożej zebrało się kilkadziesiąt osób. To całkiem sporo jak na takie miejsce i na taki dzień.

Sama świątynia, nazywana pogardliwie przez lokalnych lemingów „wyciskarką" (ze względu na kształt kopuły), jest tu jedynym kościołem parafialnym. Jej monumentalna fasada, wieczorem ładnie podświetlona, góruje nad całą dzielnicą, dając nadzieję, że nie wszystko jest stracone.

Zastanawiająca jest także duża liczba biało-czerwonych flag wywieszonych na budynkach, często z mieszkań. Może są one ilustracją teorii prof. Zybertowicza o wyspach polskości, może są dowodem jego optymistycznej wizji, że i po drugiej stronie są patrioci – inni niż my, ale również przywiązani do własnego kraju i jego symboliki? Szukałem prostszych wytłumaczeń, ale jedyne, co mi przyszło do głowy, to przypuszczenie, że wywieszając polskie flagi, miejscowi chcą odciąć się od swoich ukraińskich sąsiadów.

> Wielu miejscowych chce uchodzić za „elitę", więc rozpowiada na lewo i prawo, jak tu jest prestiżowo i drogo. I oburza się, gdy chcą im otworzyć Dino. A potem i tak idą tam na zakupy

Miasteczko Wilanów, obliczone na 20–30 tys. mieszkańców, ciągle rośnie, ale już mniej dynamicznie niż kiedyś. Coraz mniej osób stać na zakup mieszkania, widoczny jest również niż demograficzny. Liczne przedszkola i żłobki pustoszeją, choć gwarantują opiekę psychologów, dentystów oraz kuszą kursami majsterkowania i innymi atrakcjami. Są nawet żłobki z nauką angielskiego. Jednak przy czesnym powyżej 2 tys. zł i spadającej liczbie dzieci wiele z nich będzie musiało upaść.

WYKREOWANA ELITARNOŚĆ

Mimo że jestem warszawiakiem, w Miasteczku Wilanów byłem może ze trzy razy w życiu. I choć nie przeprowadziłbym się tutaj (bo to jednak *de facto* inne miasto), to moje ogólne wrażenia są całkiem pozytywne. Architektonicznie osiedle jest całkiem zgrabne – trochę domów inspirowanych modernistycznymi kamienicami, ładne pierzeje ulic, szerokie chodniki, uporządkowane parkowanie, ścieżki rowerowe. Wiele rzeczy jest tu wzorcowych, zwłaszcza na tle innych dzielnic.

Jest też sporo zieleni, całkiem bujnej, a nie rachitycznej jak na innych osiedlach apartamentowców. Są dwa niewielkie, urokliwe parki – z wodą, fontannami, hamakami. Jest wreszcie mnóstwo zadbanych ławek – rzecz niespotykana już w Warszawie. Przy czym niewiele tu spaceruje starszych osób, przeważają głównie ludzie koło czterdziestki. Rzuca się także w oczy mała liczba psów.

Charakterystyczny jest też spokojny ruch drogowy (przynajmniej gdy ja tam byłem), zero hałaśliwych motocykli czy rajdów ulicznych będących plagą warszawskich ulic.

Poza tym trudno tu dostrzec jakąkolwiek elitarność. Przechodnie na ulicach do bólu przeciętni (z całym szacunkiem), żadne superkreacje, żadne superciała. Być może ci wyfiokowani jeżdżą autami, ale samochody są tu podobnej klasy jak wszędzie w Warszawie.

Mam wrażenie graniczące z pewnością, że elitarność Miasteczka Wilanów jest sztucznie wykreowanym tworem marketingowym. Że wielu miejscowych chce uchodzić za „elitę", więc rozpowiada na lewo i prawo, jak tu jest prestiżowo i drogo. I oburza się, gdy chcą im otworzyć Biedronkę, Pepco czy ostatnio Dino. A potem i tak idą tam na zakupy.

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 848ef1d67b

Ostatni ludzie
z ostatniego pokolenia

MACIEJ WALASZCZYK

Trzydziestolatkowie – od dzieciństwa przekonywano ich ze mają prawo do szczęścia tu i teraz. Miały im w tym pomóc nowe technologie. W konsekwencji są niestabilni emocjonalnie, samotni, mający poczucie bezsensu swojego życia

Młodzi urodzeni w końcówce lat 90. i później – współcześni dwudziestokilkulatkowie, a maksymalnie ludzie około trzydziestki. Rzeczywiście są inni. Problemy, które dotykały również ich poprzedników, nie zostały przez nich przezwyciężane, ale rozciągają się w czasie, nasilają, trudno im z nich wyrosnąć, znaleźć twardy grunt stabilizacji i odpowiedzialności nie tylko za dzieci, których nie mają, lecz także za siebie samych. Oni dorastali już w świecie nowoczesnych technologii, a więc internetu i smartfonów, a do tego w pełnym dóbr konsumpcyjnych i jeszcze szybszych zmian społecznych krajobrazie oznaczającym ciągłe naruszanie ostatnich stabilnych fundamentów naszej cywilizacji – małżeństwa i rodziny, Kościoła i zasad głoszonych przez chrześcijaństwo, a także narodowej lojalności.

Ich rodzice wmawiali im – powtarzając za głównym nurtem mediów – że są uprzywilejowaną generacją wolności, nieograniczonych możliwości, globalnej wioski i tygla kulturowego, w którym w końcu porzucą balast przeszłości. Rzecz jasna konsekwencje tego miały być wyłącznie pozytywne, zgodne z nowoczesną wiarą nowoczesnego człowieka, że każde jutro jest lepsze niż dziś i wczoraj. A oni oczywiście uwierzyli, że absolutna wolność i swoboda wyboru to podstawowe zasady zarówno w życiu prywatnym, jak i w pracy.

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 848ef1d67b

Mają „realizować siebie", swoje aspiracje bez względu na wszystko i nic nie może stanąć im na przeszkodzie. Każdy normalny człowiek wie, że to niemożliwe.

Dzisiaj grupa ludzi urodzonych mniej więcej po 1997 r. stanowi prawie 2,5 mln Polaków, a na rynku są oni co czwartym pracownikiem. To pokolenie zazębia bardzo umowne cechy ludzi klasyfikowanych jako generacja Y, a więc tzw. milenialsów, oraz przede wszystkim zoomerów, a więc grupę określaną jako generacja Z. To dzieci ery cyfryzacji, globalnego kapitalizmu, wszechobecnych mediów, szkoły nastawionej na rozwiązywanie testów kompetencji, a nie formowanie człowieka. To pokolenie epoki wdzierającej się wszędzie reklamy i konsumpcji oraz demokratyczno-liberalnego porządku politycznego, rozumianego w większości krajów jako ciąg nieustannych wyborów, kampanii i rządów walczących o władzę za pomocą swoich partii politycznych. Ich życie jest skupione na pieniądzach i próbach robienia kariery, a więc na sobie, swoich ambicjach, swoich potrzebach, forsowaniu własnego zdania i poczucia wartości. Tak wychowywał ich system edukacyjny, którego celem nie było już klasyczne kształtowanie ich tożsamości (przykładowe matury z matematyki), ale wprowadzanie w przyszłości nowych pracowników konsumentów na globalnym rynku pracy. Tak uformowani są wobec niego bezradni, nie kwestionują go i nie próbują zmieniać, ceniąc sobie przede wszystkim możliwość ciągłego rozwoju zawodowego, „elastyczność" pracy, możliwość dodatkowych dni wolnych. Pokoleniu zoomerów nie posiada przecież dzieci, więc nie planuje urlopu z rodziną.

GENERACJA ZOOMERÓW

Jeden z użytkowników platformy X prowokacyjnie udostępnił swój wpis na ich temat: „Masa ludzi samotnych, żyjących tylko dla siebie, niewiedzących w sumie, kim są i po co żyją. To pokolenie ludzi, którzy jeszcze nie dorośli, a już zaczynają się starzeć". Trafił w czuły punkt, gdyż stał się bardzo popularny i zyskał wiele komentarzy. Pełnych całkiem trafnych intuicji i obserwacji: „Ludzie nie mają teraz »bazy« religii, która byłaby drogowskazem. I tak żyją sobie bez głębszych sensu i celów, miałko, nastawieni na konsumpcjonizm, to im przynosi chwilową radość. Umrą sami w czterech ściankach i nic po nich nie zostanie, amen" – napisał jeden. Inny dodał, także trafnie: „Tacy ludzie to idealni klienci, potrzebują wszystkiego dla siebie. Dlatego taka postawa jest wspierana przez główny ściek. Niestety 30 lat to zwłaszcza dla kobiet pewna granica. Najsmutniejsze, że wielu ludzi, którzy chcieliby mieć rodziny, nie potrafią się dobrać w pary". A kolejny napisał: „Bez podstawowej komórki społecznej, jaką jest pełna rodzina, wywraca się cała cywilizacja, na jakiej wyrosła Europa. Ciekawe, gdzie nas to zaprowadzi".

Te absolutnie trafne obserwacje można jedynie uzupełnić. Zoomerzy nie lubią nudy, chcą, żeby ciągle coś się działo, mają problem z organizacją własnej pracy – zaczynają wiele zadań jednocześnie, ale potem mają problem z ich dokończeniem. Ma to swoje konsekwencje – nie szukają stabilizacji zawodowej, więc zmiana pracy, która jest udręką normalnych rodzin zmuszanych przez system ekonomiczny do mobilności, nie jest dla nich problemem. Jeśli w aktualnym miejscu pracy coś im nie pasuje, porzucają ją i szukają czegoś nowego.

To egoistyczne pokolenie selfie, które niemal w całości korzysta z mediów społecznościowych i w ten sposób kontaktuje się ze znajomymi. Nieustannie dodają zdjęcia, zostawiają wpisy, komentarze, informują, co robią, obśmiewają, adorują. Nie znają intymności i prywatności, są nieszczęśliwi, gdy nie są obserwowani. Czy są optymistami? Zdaniem specjalistów to pokolenie jest raczej pesymistycznie, a jego wysoka integracja z sieciami społecznościowymi daje im obraz płynnego i niestabilnego świata, ciągle powtarzających się kryzysów gospodarczych. Które – powiedzmy sobie szczerze – wcale nie są takie poważne i nigdy nie przypominały zapaści końca doby PRL. Pokolenie to uważa jednak, że zakosztuje mniejszego dobrobytu i bezpieczeństwa finansowego niż ich rodzice, a także skutków zagrożeń klimatycznych i geopolitycznych. Do tego ludzie ci rzeczywiście doświadczyli wydarzenia bezprecedensowego w najnowszej historii, a więc długotrwałych lockdownów („nowa normalność") związanych z pandemią.

Niestety jest to również pokolenie o wiele mniej romantycznie niż ich rodzice i dziadkowie. Jest chłodne, nieczułe, na swój sposób „asertywne". Zdaniem psychologów najprawdopodobniej ze względu na bardzo wczesny kontakt z pornografią dostępną w internecie (przeglądanie filmów pornograficznych na smatfornach w czasie przerw lekcyjnych), doświadczenia udziału w cynicznych grach serwisów randkowych oraz „wirtualnych randkach". By dopełnić obrazu, to także skutek inspirowanych feministycznym neopurytanizmem ram prawnych, które sprawiają, że szczególnie mężczyźni są ostrożni w swoich w relacjach z kobietami. Mogą być przecież oskarżeni o molestowanie.

CZY RZECZYWIŚCIE SĄ INNI?

W latach 90. Aleksander Sołżenicyn głosił krytyczne sądy o Zachodzie, do którego przybył jako polityczny emigrant z totalitarnego Związku Sowieckiego. Zwrócił m.in. uwagę, że wewnętrzne życie duchowe zostało zastąpione potokiem niekończących się informacji. Każda kolejna generacja jest po prostu ofiarą upadku kultury i obyczajowości, instytucji rodziny, szkoły, zakwestionowania wszystkiego co konstytuuje naszą tożsamość i człowieczeństwo. Doświadczali tego także młodzi z pokolenia X, a więc urodzeni pod sam koniec lat 70., a potem kolejni. Nastolatkowie lat 90. także byli dziećmi swoich czasów, odurzeni telewizją, filmami wideo, grami komputerowymi, dorastali przy dźwiękach muzyki techno i grunge'u, swoje inicjacje seksualne przeżywali w cieniu zagrożeniu AIDS, byli świadkami „końca historii" i eksplozji bezrobocia, a wchodząc w wiek dorosły, doświadczyli nadejścia ery internetu i telefonów komórkowych.

Swoją młodość wspominają dziś z nostalgią, bo była bardziej beztroską niż ta, której doświadczają zoomerzy, spędzona na nocnych rozmowach z przyjaciółmi, namiętnym słuchaniu muzyki, imprezowaniu między alkoholem a beztroskim testowaniem miękkich narkotyków. Ich też przekonywano, że

eprasa.pl 848ef1d67b

ich marzenia są możliwe do zrealizowania w świecie, który stawał się coraz mniejszy, bardziej dostępny, globalny i bez granic. Rzeczywistość szybko zweryfikowała tę utopijną wizję. Okazało się, że wielu z nich może liczyć najwyżej na tzw. gównianą pracę, np. w roli telemarketera lub przedstawiciela handlowego na rynku hurtowym. Również im mogła się już przytrafić trudność w nawiązywaniu stabilnych związków romantycznych, a potem brak dzieci, rodziny, perspektyw i godności. Na zachodzie dla większości z nich dorosłość oznaczała uwiezienie w klasie społecznej pomiędzy ustatkowaną ekonomicznie burżuazją a rzeczywistością masowej imigracji. Dzisiaj generacja 50-latków szuka wyjścia w radykalnych rozwiązaniach politycznych, popieraniu partii spoza obecnego systemu.

KONSEKWENCJE POLITYCZNE

Zmiany pokoleniowe zawsze niosą za sobą przełomowe wydarzenia, rewolucje. Jednak określenie zoomerów mianem „młodzi gniewni" brzmi raczej śmiesznie i na wyrost. Ich wybory polityczne są niestabilne – tak jak życie, które prowadzą i wartości, które traktują jak zakupy w supermarkecie albo w sieci. Co jakiś czas prawica jest pouczana, by zmieniła narracje i priorytety, szczególnie te związane z językiem, próbami odbudowy porządku społecznego. Tylko że raz te cele są głośno kwestionowane przez młode pokolenie, gdy do głosu dochodzi bezwzględna agresywna lewica. Czy mogą się więc stać wyrazem konserwatywnego buntu? Bo faktycznie demonstrują oni swój polityczny gniew fragmentarycznie, sieciowo, mają różnych wrogów, często się zmieniających. Gniew jest zindywidualizowany, rozproszony, a w konsekwencji jałowy i bezsilny. Ludzie mają bowiem tendencję do dokonywania wyborów z powodów kulturowych i socjologicznych, a nie tylko materialnych. A ich kulturą jest postmodernizm.

Tu też zdezaktualizowały się niektóre pewniki, bo aż do końca XX w. niemal politycznym aksjomatem było stwierdzenie, że młodzi ludzie skłaniają się ku lewicy. Ten pewnik był często podsumowywany słynnym powiedzeniem błędnie przypisywanym Churchillowi, że kto za młodu nie był socjalistą, jest łajdakiem bez serca, a jeśli w wieku 30 lat nie przechodzi na prawicę, jest po prostu głupcem. Idea ta sugerowała, że dojrzałość popycha ludzi na prawo, ku sprawdzonym wzorcom życia. Jednak wraz z nadejściem nowego stulecia założenie to zaczęło ewoluować. Rzeczywiście, młodzi wyborcy zaczęli się zwracać ku powstającym w Europie partiom „populistycznej prawicy", co interpretowano jako fakt, że wobec demoliberalnego *status quo* stała się ona bardziej radykalna niż dawna lewica, która została częścią rządzącego establishmentu. Młodzi ludzie po prostu podążali za najbardziej radykalnym nurtem. I zjawisko to jest dziś doskonale rozpoznawalne od USA przez Francję, Niemcy i Polskę. Jednak nie wiadomo, co się stanie, jeśli ugrupowania tej nowej prawicy przejmą na trwałe władzę. Prawdopodobnie niestabilna życiowo, posiadająca kruchą tożsamość generacja młodych szybko się rozczaruje. Przecież obiecywano im, że wszystko muszą dostać natychmiast, że szczęście jest gwarantowane w wersji instant, a do tego nie kosztuje wysiłku, zapobiegliwości, bólu.

> Ich rodzice wmawiali im – powtarzając za głównym nurtem mediów – że są uprzywilejowaną generacją wolności, nieograniczonych możliwości, globalnej wioski i tygla kulturowego, w którym w końcu porzucą balast przeszłości. Rzecz jasna konsekwencje tego miały być wyłącznie pozytywne, zgodne z nowoczesną wiarą nowoczesnego człowieka, że każde jutro jest lepsze niż dziś i wczoraj. A oni oczywiście uwierzyli, że absolutna wolność i swoboda wyboru to podstawowe zasady zarówno w życiu prywatnym, jak i w pracy

Wraz z poprzednimi pokoleniami porzucony został porządek ufundowany na wierze w Boga, w którym jego obecność w teraźniejszości uświęcała trudy życia, pracę, z pokorą przyjęte cierpienie, a nawet biedę. Ten stabilny świat z powodzeniem zastąpiły utopie – nie tylko lewicowe, ale właśnie globalny, także ten cyfrowy, informacyjny kapitalizm. Obiecały one to, czego kiedyś oczekiwano dopiero po zakończeniu dobrego życia. Współczesna kultura za pośrednictwem mediów, edukacji przekonała ich, że sens ludzkiego działania winien ostatecznie obejmować jedynie ziemską przyszłość. Filozof Robert Spaemann twierdził, że współczesna utopia sprawia, iż społeczeństwa zamieniają się w celowe i racjonalne organizacje mające poprawiać warunki ziemskiego bytowania. Jednak życie w nich, nawet jeśli lepsze i piękniejsze, samo w sobie nie posiada już sensu. Pojawia się więc opisany przez Nietzschego „ostatni człowiek", który „wynalazł szczęście". „Nikt się nie bogaci i nikt nie biednieje, bo jedno i drugie jest zbyt uciążliwe. Czy ktoś chce jeszcze rządzić? Czy ktoś chce kogoś słuchać? To zbyt uciążliwe. Nie ma pasterza i nie ma stada. Każdy chce tego samego i wszyscy są tacy sami. Kto czuje inaczej, ten dobrowolnie idzie do domu wariatów".

eprasa.pl 848ef1d67b

Sprawa księdza Dominika

W katolickiej opinii publicznej wrze wokół nowego skandalu obyczajowego, w centrum którego znalazł się założyciel Wojowników Maryi

Wszystko zaczęło się od artykułu opublikowanego w „Gazecie Wyborczej". W tekście opatrzonym iście tabloidowym tytułem „Zamiast do Jezusa zaprowadził ją do łóżka" dziennikarz Piotr Żytnicki opowiada historię Agaty (imię zmienione), która twierdzi, że popularny salezjanin, kaznodzieja i założyciel ruchu Wojownicy Maryi ks. Dominik Chmielewski uwiódł ją i „wykorzystał seksualnie".

Agata opowiada, jak poznała ks. Dominika w marcu 2024 r. podczas prowadzonych przez niego w Warszawie rekolekcji. Przeżywała wówczas kryzys życiowy. Musiała uciec od męża, którego rodzice znęcali się nad nią psychicznie.

Kobieta twierdzi, że ks. Chmielewski inicjował kontakty poprzez media społecznościowe. Następnie, jak opowiada Agata, kilkukrotnie zapraszał ją do klasztoru i robił wszystko, żeby ją uwieść, co, jak czytamy, w końcu mu się udało.

GORAN ANDRIJANIĆ

„WYKORZYSTAŁ MOJE ZAUFANIE"

„To on wykorzystał moje zaufanie. Pierwszy się do mnie odezwał, wybadał i rozkochał. Realizował plan z premedytacją. Ja szukałam duchownego przewodnictwa, bez kontaktu fizycznego" – cytuje Agatę „Wyborcza".

Kobieta podkreśla, że do pełnego współżycia seksualnego nie doszło tylko dlatego, że ona nie chciała tego typu zbliżenia. Przez ok. pół roku było za to „kilkanaście kontaktów oralnych".

Agata postanowiła zakończyć relację z ks. Chmielewskim po spowiedzi, którą odbyła u innego kapłana. Podkreślała, że jest zakochana, spowiednik wyjaśnił jej, że jest wykorzystywana.

Mniej więcej w tym czasie kobieta dowiedziała się, że sam ks. Chmielewski opowiedział o wszystkim swoim przełożonym w Zgromadzeniu Salezjańskim, a także poddał się pokucie. Agata poinformowała salezjanów o całej historii, a następnie ujawniła ją publicznie – w „Gazecie Wyborczej". Z artykułu wynika, że Agata i jej otoczenie nie widzą w bulwersującej sprawie bolesnego upadku księdza, ale raczej sytuację, która powinna się zakończyć dla kapłana więzieniem. Reprezentujący kobietę prawnik Artur Nowak, człowiek od lat zaangażowany w brutalną niekiedy kampanię przeciwko Kościołowi katolickiemu, dostrzega w zachowaniu ks. Chmielewskiego nadużycie stosunku zależności. Jest to przestępstwo zagrożone karą do trzech lat pozbawienia wolności.

„ŚWIADOMA I DOBROWOLNA DECYZJA"

Oto jedna strona historii – ta pochodząca od osoby, która postrzega siebie jako ofiarę. W samym tekście „Wyborczej" – trzeba przyznać – mamy też drugą stronę. Wprawdzie w artykule nie wypowiada się sam ks. Chmielewski, ale robią to jego bracia.

Dziennikarz Piotr Żytnicki cytuje ks. Grzegorza Grubę, rzecznika inspektorii salezjańskiej w Pile, który potwierdził, że Chmielewski zgłosił się do przełożonych, jeszcze zanim zrobiła to Agata.

Ks. Gruba powiedział, że ks. Chmielewski zaprzeczył, by „doszło między stronami do współżycia seksualnego", a w zgromadzonym materiale „brak dowodów przeciwnych", a więc takich, które wskazywałyby, że kapłan kłamie.

Salezjanie podkreślają, że relacja ks. Chmielewskiego i Agaty „bez wątpienia naruszyła normy moralne oraz kanoniczne". Jednocześnie zapewniają, że „na podstawie zebranego mate-

Fot. Dominik Chmielewski/Facebook

eprasa.pl 848ef1d67b

riału nie potwierdzono wystąpienia nadużycia w rozumieniu prawa powszechnego, bo relacja była efektem świadomej i dobrowolnej decyzji dwojga dorosłych osób".

W dniu, w którym „Wyborcza" opublikowała artykuł, salezjanie wydali też własne oficjalne oświadczenie. Ks. Gruba powtórzył w nim to, co powiedział w artykule, ale dodał też kilka nowych, ważnych faktów.

„Zgromadzenie potraktowało sprawę wynikającą ze zgłoszenia bohaterki przedmiotowej publikacji z należytą powagą i odpowiedzialnością. Dla bezstronności sprawa nie była rozstrzygana w zgromadzeniu, ale została przekazana do Torunia, do sądu biskupiego. W ramach tego postępowania dokonano szeregu kluczowych czynności, w tym przesłuchano obie strony, zgromadzono i przeanalizowano przedstawione materiały dowodowe, przesłuchano świadków oraz pozyskano opinie specjalistów" – czytamy w oświadczeniu.

„Z przykrością odnotowujemy, że wiele okoliczności faktograficznych przedstawionych w publikacji »Gazety Wyborczej« nie tylko nie znajduje potwierdzenia w materiale zgromadzonym w toku postępowania, ale wręcz pozostaje z nim w jaskrawej sprzeczności. W związku z tym władze Zgromadzenia rozważają podjęcie odpowiednich kroków prawnych zmierzających do rzetelnego i zgodnego z faktami wyjaśnienia sprawy" – dodał ks. Gruba.

WYMOWNY FAKT

Mamy zatem sytuację, w której wciąż do końca nie ustalono w sposób niepodważalny przez żadną ze stron, co się właściwie wydarzyło. Według swoich braci ks. Chmielewski naruszył prawo moralne i kanoniczne, nie jest natomiast jasne, w jaki sposób to zrobił.

Nie pozostaje bez znaczenia, czy relacja między kapłanem a Agatą rozwijała się tak, jak twierdzi kobieta, czy w jakiś inny sposób. Tak samo nie jest bez znaczenia, kto mówi prawdę o naturze ich relacji seksualnej – kobieta z artykułu czy ks. Chmielewski (dochodzenie diecezjalne przyznało rację salezjaninowi).

Jeszcze jedna rzecz jest tu niezwykle istotna. Z tekstu „GW" wynika, że to nie pierwszy przypadek „uwiedzenia kobiety" przez ks. Chmielewskiego i że potwierdzili to salezjanie. Tymczasem w oficjalnym oświadczeniu zakon w ogóle nie wspomina o wcześniejszych zdarzeniach. A od tego, czy mamy do czynienia z ciągłą praktyką, czy niezwykle bolesnym, ale jednorazowym upadkiem duchownego, zależy wszak wiele.

Nasi rozmówcy, którzy doskonale znają zakon salezjanów i sposób jego funkcjonowania, mówią, że fakt, iż Chmielewski nie został ukarany surowszym wyrokiem i może np. prowadzić rekolekcje, jest wymowny. „Salezjanie są bardzo wyczuleni na wszelkie ewentualne niemoralne zachowania swoich zakonników" – mówią nam.

„To zgromadzenie, którego głównym charyzmatem jest duszpasterstwo nieletnich i ma bardzo rozwinięty system rozwiązywania przypadków dotyczących ewentualnych przestępstw seksualnych. Kapłani wiedzą doskonale, że tolerowanie takich rzeczy zagraża ich pracy duszpasterskiej. Fakt, że po śledztwie ks. Chmielewski nie został wysłany do jakiegoś zamkniętego klasztoru, mówi sam za siebie. Jeśli mamy z tego wnioskować, nic poważnego się nie stało" – mówią nasi rozmówcy.

Uczciwość nakazuje, by przed wydaniem ostatecznej oceny poczekać na wyniki ewentualnego śledztwa prokuratury, a następnie, jeśli pojawią się oficjalne zarzuty, na wyrok sądu. Nie przeszkadza to jednak komentatorom w formułowaniu osądów, które mają raz na zawsze zdyskredytować słynnego salezjanina.

CHODZI O WSPÓLNOTĘ

Nic dziwnego, bo działalność Chmielewskiego zawsze stanowiła wielką przeszkodę dla ideologów tzw. Kościoła otwartego. Salezjanin przeszkadzał im duchowością, która kładła silny nacisk na walkę z grzechem. Przeszkadzał im również założeniem Wojowników Maryi, wspólnoty, która przywraca męskość do katolickiej duchowości poprzez oparcie się na nabożeństwach maryjnych i teologii św. Ludwika de Montfort. Trzy lata temu w liberalnych kręgach katolickich rozpętała się prawdziwa kampania przeciwko salezjaninowi (oskarżono go o herezję), która zakończyła się teologicznym napomnieniem ze strony episkopatu, choć niektórzy teologowie nadal uważają je za niesprawiedliwe i przesadne.

> Uczciwość nakazuje, by przed wydaniem ostatecznej oceny poczekać na wyniki ewentualnego śledztwa prokuratury, a następnie, jeśli pojawią się oficjalne zarzuty, na wyrok sądu

Teraz ci sami, którzy go wtedy atakowali, chcą do końca wykorzystać fakt, że – jak twierdzi „Gazeta Wyborcza" – ksiądz przestał żyć zasadami, których broni z ambony. Bolesne było przyglądanie się, jak komentatorzy rozkoszowali się gazetowym tekstem rozpoczynającym nową serię ataków na Chmielewskiego, sami nie szczędząc mu nowych ciosów.

To, co jest teraz ważne, to przyszłość Wojowników Maryi, wspólnoty, którą założył salezjanin (w marcu 2023 r. został odwołany z funkcji jej lidera, co również było efektem kampanii przeciwko niemu).

„Fenomenem tej wspólnoty jest niebywały przekrój społeczny: od byłych gangsterów po mechaników, kucharzy, artystów, adwokatów, lekarzy, a także księży. Ich opowieści to historie zmartwychwstania. Wielu z tych mężczyzn udało się wyciągnąć niemal z piekła" – powiedziała mi w wywiadzie Joanna Bątkiewicz-Brożek, autorka wspaniałej, opublikowanej w ub.r. książki o Wojownikach Maryi.

Jest całkiem prawdopodobne, że ataki na ich założyciela najbardziej odbiją się na szeregowych członkach wspólnoty. Możliwe też, że ci sami ludzie, którzy podnieśli głowy po skandalu z udziałem ks. Chmielewskiego, już przygotowują nowe kampanie, szykując się, by rzucić kamieniem w kolejne osoby.

Jeśli tak się stanie, bardzo ważne jest, aby nasi pasterze, nasi biskupi i księża, stanęli w obronie atakowanych. Nie można ich zostawiać samych sobie.

eprasa.pl 848ef1d67b

Putin, Trump czy Zełenski. Kto okaże się słabszy?

MAREK BUDZISZ

Trwają rozgrywki na najwyższym szczeblu, których celem jest nie tylko zakończenie wojny na Ukrainie, lecz także przyszłość polityczna, a w niektórych przypadkach może nawet życie głównych aktorów światowej sceny

Na konferencji prasowej podsumowującej niedawną wizytę w Chinach Władimir Putin powiedział dziennikarzom, że wierzy w przedłużenie aktywnego życia nawet do 150 lat. Jego zdaniem współczesna biotechnologia i medycyna, w tym „chirurgiczna wymiana organów", pozwalają ludzkości mieć nadzieję, że aktywne życie będzie trwać dłużej niż obecnie, „a nawet człowiek zbliży się do nieśmiertelności". Rosyjski prezydent dodał też – a po wcześniejszych deklaracjach jego słowa nabrały zupełnie innego znaczenia – że „trzeba myśleć" o tym, iż w 2050 r. liczba osób po 65. roku życia będzie większa niż 5-, 6-letnich dzieci. Sformułowanie „trzeba myśleć" warto interpretować dosłownie – to Putin ma zamiar zajmować się tą kwestią za 25 lat, co oznacza, że 73-letni polityk ma zamiar rządzić Rosją do setki, a może dłużej.

Temat ten poruszyli dziennikarze po tym, jak w Pekinie zarejestrowano – a nagranie ujawnił Bloomberg – rozmowę Putina z Xi Jinpingiem na temat możliwości przedłużenia życia. Nie ma wątpliwości, że obaj politycy myślą o przedłużeniu własnej egzystencji, a nie poprawie perspektyw ich poddanych. Chiński przywódca miał nawet powiedzieć, że teraz, mając 70 lat, „wciąż jest się dzieckiem", z czym zgodził się jego rozmówca. Jeśli zatem ktoś miał nadzieję, że z powodu wieku świat niedługo rozstanie się z Putinem, to rosyjski prezydent najwyraźniej ma na ten temat inne zdanie.

Jest to o tyle istotne, że jeszcze w marcu br. Wołodymyr Zełenski oświadczył, iż rosyjski prezydent „wkrótce umrze" i wówczas zakończy się trwająca wojna. Jeśli jednak te prognozy się nie sprawdzą i Putin, który w 2024 r. – jak pisał brytyjski „The Times" – uruchomił tajny program badawczy nad starzeniem się komórek ludzkiego ciała, zdoła przedłużyć swoje życie, wojna może trwać. Chyba że ukraiński prezydent miał na myśli inny scenariusz niż naturalne zejście z tego świata rosyjskiego przywódcy.

Fot. White House

eprasa.pl 848ef1d67b

Eliminacja Putina może się okazać niezbędna dla zawarcia pokoju, bo ten stale zaostrza warunki, po spełnieniu których mógłby usiąść do stołu negocjacyjnego. Po wizycie w Pekinie powiedział, że „może spotkać się z Zełenskim" w Moskwie, bo taką prośbę sformułował Donald Trump, a Putin chciałby ją spełnić, problemem jest wszakże brak legitymacji ukraińskiego prezydenta. Putin powiedział dziennikarzom, że w ukraińskim prawodawstwie „co prawda są regulacje" zabraniające przeprowadzania wyborów w czasie wojny, ale równolegle w konstytucji określono czas prezydenckiej kadencji na pięć lat i nie ma tam zapisów o jej przedłużeniu w warunkach nadzwyczajnych.

W interpretacji Moskwy Zełenski nie jest już prezydentem, bo jego kadencja się skończyła. Z faktu, że w świetle zapisów prawa nie można przeprowadzić wyborów ze względu na wojnę, nie wynika, iż automatycznie następuje przedłużenie rządów obecnej głowy państwa i aby zawrzeć pokój, Ukraińcy muszą najpierw wybrać nowego prezydenta oraz wypowiedzieć się w referendum na temat kwestii terytorialnych. Innymi słowy obie strony konfliktu – zarówno Rosjanie, jak i Ukraińcy – dochodzą do wniosku, że przeszkodą w zawarciu sprawiedliwego i trwałego pokoju jest prezydent drugiego państwa. Nie wróży to szybkich i skutecznych negocjacji.

PRÓBA PRZEWROTU PAŁACOWEGO

Co ciekawe, usunięcia Zełenskiego chce – jak się wydaje – nie tylko Putin. Także w otoczeniu Trumpa nie są „zadowoleni" z postawy ukraińskiego przywódcy. Shaun Walker, kijowski korespondent brytyjskiego dziennika „The Guardian", ujawnił, że po pamiętnej awanturze w Białym Domu J.D. Vance kilkakrotnie próbował skontaktować się z gen. Załużnym, byłym dowódcą ukraińskich sił zbrojnych, a obecnie ambasadorem w Londynie. W świetle tych informacji amerykański wiceprezydent „szukał następcy" Zełenskiego i dzwonił w tym celu. Powołując się na rozmowy z anonimowymi przedstawicielami administracji Zełenskiego, Walker napisał też, że Załużny po konsultacjach z Kijowem „nie odebrał telefonu" i sugerował coś w rodzaju „spisku" mającego doprowadzić do zmian politycznych na Ukrainie.

W świetle interpretacji brytyjskiego dziennika – a trzeba pamiętać, że jest to gazeta lewicowa, najdelikatniej rzecz ujmując niesympatyzująca z Trumpem i jego ekipą – J.D. Vance celowo zachowywał się prowokacyjnie w Białym Domu podczas wizyty Zełenskiego, aby wywołać skandal dyplomatyczny i kryzys w relacji między obydwoma państwami, a w kolejnym kroku chciał, popierając Załużnego, doprowadzić do „przewrotu pałacowego" w Kijowie.

Co ciekawe, usunięcia Zełenskiego chce – jak się wydaje – nie tylko Putin. Także w otoczeniu Trumpa nie są „zadowoleni" z postawy ukraińskiego przywódcy

To, że pierwsza faza operacji nie zakończyła się sukcesem, nie oznacza, iż w Waszyngtonie zdecydowano o jej zakończeniu. Na Ukrainie wcale nie jest odosobniony pogląd, że działania NABU, specjalnej prokuratury antykorupcyjnej, są inspirowane przez amerykańską ambasadę i mają na celu skompromitowanie najpierw ludzi z otoczenia Zełenskiego, a w konsekwencji jego samego.

Mustafa Dżemilew, lider mniejszości tatarskiej na Ukrainie i deputowany do Rady Najwyższej, powiedział publicznie, że poparł niedawną i kontrowersyjną nowelizację ustawy o NABU właśnie z tego powodu. Jego zdaniem prokuratura antykorupcyjna „jest pod wpływem czynników zewnętrznych, w tym prezydenta USA Donalda Trumpa" i zmniejszenie jej niezależności było konieczne, bo w przeciwnym razie Ukraina zostałaby zmuszona do zawarcia niekorzystnego dla niej pokoju z Rosją, a narzędziem presji byłyby dochodzenia prokuratury antykorupcyjnej. Podobne tezy od dłuższego już czasu wygłasza też Julia Tymoszenko, była premier, liderka partii Batkiwszczyna.

Ukraiński portal Texty opublikował wyniki analiz, w świetle których administracja Zełenskiego zorganizowała trwającą kampanię dyskredytowania prokuratury antykorupcyjnej, co oznacza, że zakulisowa rywalizacja wcale się nie skończyła, a na dodatek w mediach zaobserwowano wysyp artykułów na temat najnowszego sondażu prezydenckiego przeprowadzonego przez ośrodek Reiting.

Komentatorzy zaczęli się zastanawiać, po co nadawać taki rozgłos badaniom preferencji wyborczych, jeśli Ukraina nie planuje w najbliższym czasie przeprowadzać głosowania. Zwracają też uwagę na wyniki, w świetle których Zełenski zdobyłby 35,2 proc. głosów, a Załużny może liczyć na 25,3 proc. Inni się praktycznie nie liczą, bo były prezydent Poroszenko, trzeci w tym rankingu, ma 5,3 proc. poparcia. Jednak w wyborach do Rady Najwyższej sytuacja wygląda zupełnie inaczej i umowna partia Załużnego mogłaby liczyć na 23,7 proc. głosów, a stronnictwo Zełenskiego – na 19,7 proc.

Zdaniem ukraińskich komentatorów temu sondażowi nadano rozgłos, bo pośrednio ujawnia on kształt „politycznego dealu", który ludzie Zełenskiego chcą zawrzeć z Załużnym. Były generał miałby zostać liderem największej frakcji w ukraińskim parlamencie i speakerem Rady Najwyższej, a obecny prezydent mógłby wówczas liczyć na poparcie potencjalnie najgroźniejszego rywala. Oczywiście nic jeszcze nie jest przesądzone, ale te spekulacje nadają inny wymiar informacjom o telefonie Vance'a do Załużnego.

PŁONĄCY KREML?

Jeśli Amerykanie nie zmartwiliby się, gdyby pozycja Zełenskiego uległa osłabieniu, a może nawet na Bankowej – czyli tam, gdzie mieści się siedziba

eprasa.pl 848ef1d67b

ukraińskiego prezydenta – zaczęto by witać nowego gospodarza, to na co liczy obecny prezydent, wieszcząc „odejście Putina"?

Wydaje się, że na Flamingo, czyli najnowszą rakietę manewrującą produkowaną przez rodzimą firmę Fire Point. Zełenski określił ją mianem „najbardziej udanej spośród tych rodzajów broni, które służą na Ukrainie", a producent informuje, że ma ona zasięg 3 tys. km i jest zdolna do przenoszenia głowicy bojowej o wadze 1150 kg. Ukraińska firma, która notabene powstała w 2022 r., a dziś zatrudnia 2,2 tys. osób, deklaruje, że już w październiku zwiększy skalę produkcji do siedmiu pocisków dziennie. Dziś Fire Point produkuje przede wszystkim duże drony dalekiego zasięgu i to jej konstrukcje niszczą 70 proc. celów na dalekich tyłach Rosjan.

Jeśli zatem Ukraina już za miesiąc będzie miała 300 rakiet Flamingo i perspektywy ich miesięcznej produkcji na poziomie 200 sztuk, a dodatkowo co najmniej 3 tys. ciężkich dronów dalekiego zasięgu, to może zacząć zmasowane ataki na cele w Rosji. Już obecnie w wyniku uderzeń przy użyciu systemów bezzałogowych Ukraińcy poważnie uszkodzili 17 proc. rosyjskich zdolności do przerobu i eksportu ropy naftowej. Jeśli do gry wejdzie Flamingo, te zdolności jeszcze wzrosną. Irina Terech, prezes firmy, w czasie niedawnej wizyty w Polsce informowała, że rakiety te są przeznaczone przede wszystkim do atakowania celów stałych, budynków i dużych instalacji przemysłowych. Jeśli budynków, to może zobaczymy płonący Kreml, a strona ukraińska rozpocznie polowanie na Putina?

Nawiasem mówiąc, ukraińska prasa poinformowała, że Fire Point również jest objęta dochodzeniem antykorupcyjnego NABU. Co prawda nie dotyczy ono produkcji Flamingo, lecz dronów dalekiego zasięgu, ale niektórzy komentatorzy są zdania, iż obie sprawy się łączą, i w ten sposób Amerykanie sygnalizują niezadowolenie z tego, że Ukraina weszła w posiadanie broni umożliwiającej choćby zmasowany atak na Moskwę. W przeszłości zarówno Biden, jak i Trump wielokrotnie zabraniali Zełenskiemu atakowanie celów na rosyjskich tyłach, uważając to za działanie zbyt eskalacyjne.

Rząd Danii niespecjalnie przejął się oskarżeniami korupcyjnymi formułowanymi przez NABU i właśnie poinformował o wspólnym przedsięwzięciu polegającym na budowie fabryki paliwa stałego do rakiet Flamingo nieopodal duńskiej bazy F-16. Może w tym przypadku znaczenie ma też konflikt między Kopenhagą a Waszyngtonem na tle przyszłości Grenlandii i pani premier Mette Frederiksen wytrwale dąży do zwiększenia niezależności swego kraju również od amerykańskiego sojusznika?

> Ukraińskie rakiety Flamingo będą używane po to, aby zmienić rachunek sił i w związku z tym kalkulacje polityczne związane z trwająca wojną

* * *

Rakieta Flamingo z pewnością nie jest cudowną bronią, dzięki której Ukraina wygra wojnę z Rosją. Pociski te będą jednak używane po to, aby zmienić rachunek sił i w związku z tym kalkulacje polityczne związane z trwająca wojną. Jeśli straty rosyjskie zaczną rosnąć, a mowa o celach w głębi Rosji, Putin będzie to musiał wytłumaczyć obywatelom, a co więcej – odpowiedzieć na nową sytuację. Paradoks polega wszakże na tym, że nie bardzo może. Nie zwiększy skokowo liczebności nacierającej armii ani nie pomnoży cudownie shahedów atakujących ukraińskie miasta. Będzie miał jedyną możliwość utrzymania kontroli eskalacyjnej, czyli może odwołać się do rosyjskiego potencjału jądrowego. W tym wypadku nie chodzi o „spopielenie" Kijowa, a o sygnalizacyjne użycie taktycznego – czyli o niewielkiej mocy – ładunku. Ofiar w ludziach może nawet w ogóle nie być, ważne jest bowiem pokazanie determinacji Kremla i gotowości do przekraczania kolejnych czerwonych linii.

O ile jednak brak odpowiedzi na ukraińskie ataki flamingami może być dla Putina ryzykowny ze względu na sytuację wewnętrzną, o tyle użycie broni jądrowej, nawet taktycznej, może pogorszyć relacje z ważnymi dla Rosji państwami. Chodzi przede wszystkim o Chiny, które już kilkanaście miesięcy temu stanowczo wypowiedziały się przeciw takiemu scenariuszowi. Jeśli Putin da się sprowokować Zełenskiemu, to Pekin może zwiększyć presję na rzecz zakończenia wojny i nawet doprowadzić do zawieszenia broni.

Ten wzrost roli Chin nie jest na rękę Donaldowi Trumpowi i dlatego stara się on rozładowywać zagrożenie. Z jednej strony deklaruje gotowość „dopuszczenia" na Ukrainę chińskich żołnierzy, którzy mogliby wejść w skład kontyngentu pokojowego, a z drugiej małymi krokami zmienia stanowisko Waszyngtonu w sprawie amerykańskiego udziału w tzw. koalicji chętnych. Jeśli to Trump miałby być tym politykiem, który godzi się na misję Chińczyków, zachowałby rolę „ojca pokoju" dla siebie i rozgrywającego dla Ameryki. Gdyby Pekin samodzielnie chciał doprowadzić do zakończenia wojny, sytuacja uległaby zmianie na niekorzyść Stanów Zjednoczonych.

Zmiana amerykańskiego nastawienia w sprawie koalicji chętnych – bo niedawno Trump nie tylko dopuścił udostępnienie niektórych zdolności, lecz także nie wykluczył udziału lotnictwa i prywatnych firm wojskowych ze Stanów Zjednoczonych – ma z kolei na celu „uspokojenie" Europejczyków, aby nie byli oni zbyt aktywni i uznali nadrzędną rolę Stanów Zjednoczonych w procesie pokojowym. Innymi słowy – zaczęły się rozgrywki na najwyższym szczeblu, których celem jest nie tylko zakończenie wojny, lecz także przyszłość polityczna, a w niektórych przypadkach może nawet życie głównych aktorów światowej sceny.

eprasa.pl 848ef1d67b

Socjaliści prowokują Amerykę

Wygląda na to, że europejska lewica prze do otwartego i ostrego konfliktu z kluczowymi interesami USA. To duża i doniosła zmiana dla Europy

JAN ROKITA

Dotąd europejscy socjaliści, socjaldemokraci i lewoliberałowie twardo stali na froncie wojny ideologicznej z Donaldem Trumpem oraz ruchem nowej amerykańskiej prawicy, traktując tego prezydenta jako zagrożenie dla pokoju i demokracji, a jego obóz polityczny uznając za ideowy konglomerat szaleństwa i obskurantyzmu. To wszystko dobrze wiadomo również u nas, w Polsce, gdzie dla większości lewicowych i centrolewicowych frakcji skupionych w szerokim obozie Donalda Tuska obecny amerykański prezydent nie od dziś odgrywa swoistą rolę propagandowego straszydła, niebezpiecznego zarówno dla świata, jak i dla naszego kraju.

Ale jak dotąd czym innym była w Europie permanentna ideologiczna konfrontacja z Trumpem i amerykańską prawicą, a czym innym kwestia stosunku do Ameryki jako takiej. Na europejskiej lewicy agresywnie antyamerykańskie były tylko partie skrajne, takie jak niemieccy postkomuniści z Die Linke albo francuscy goszyści spod znaku Jean-Luca Melenchona. Ci – owszem – kontynuowali dziedzictwo nienawiści względem amerykańskiego kapitalizmu i domagali się wystąpienia Europy z NATO oraz zaprowadzenia protekcjonistycznych barier, przede wszystkim wobec amerykańskich gigantów technologicznych. Ale nigdy dotąd nie był to główny nurt europejskiej demokratycznej lewicy.

Fot. Dati Bendo/EP

eprasa.pl 848ef1d67b

Zwłaszcza starzy socjaliści i socjaldemokraci w Niemczech, Włoszech czy Francji w praktycznej polityce bywali nawet bardziej proamerykańscy niźli część europejskiej lewicy. Tak było np. we Francji, gdzie na prawicy silna była (i jest do dziś) antyamerykańska fobia, dawno temu upowszechniona tam przez de Gaulle'a.

UKŁAD Z TRUMPEM

Coś jednak się zaczęło zmieniać od czasu sławnej umowy unijno-amerykańskiej, jaką 27 lipca 2025 r. zawarła z Trumpem Ursula von der Leyen w imieniu całej unijnej Europy. Po tej umowie szefowa Komisji Europejskiej zebrała w państwach europejskich niemal same negatywne recenzje.

Von der Leyen jest od dawna krytykowana w Unii za to, że skutecznie potrafiła rozszerzyć zakres swojej władzy, przekształcając *de facto* funkcję przewodniczącej KE w coś na kształt nieformalnego „europejskiego urzędu kanclerskiego" z władczymi uprawnieniami wobec całego kontynentu. Może najwyraźniej było to widać wtedy, gdy von der Leyen w asyście premierów kilku wybranych unijnych krajów podejmowała polityczne wyprawy do państw śródziemnomorskich, aby tam podpisywać układy dotyczące przepływu migrantów albo na własną rękę, ale w imieniu Europy, składała wiążące zobowiązania militarne wobec Ukrainy. W jednym i drugim przypadku było bowiem jasne, że zarówno migracje, jak i militaria to kwestie wykraczające nie tylko poza mandat przewodniczącej Komisji, lecz także poza traktatowe kompetencje Unii Europejskiej.

To wszystko doprowadziło zresztą nie tak dawno do precedensowego głosowania w Parlamencie Europejskim nad wotum nieufności wobec niemieckiej przewodniczącej.

Gdy idzie jednak o lipcowy układ podpisany w szkockim Turnberry, trudno postawić szefowej Komisji zarzut przekroczenia uprawnień. Oczywiście kontekstem politycznym tej umowy jest wojna na Ukrainie oraz kwestia politycznego i militarnego parasola USA nad unijną Europą i Ukrainą, o który Ursula von der Leyen zabiega z godnym uznania przekonaniem i gorliwością. W tej mierze von der Leyen jest zresztą klasyczną reprezentantką atlantyckiej szkoły myślenia starej niemieckiej chadecji, której wierni byli Adenauer, Kohl i Merkel: obopólna więź militarna i gospodarcza z USA stanowiła dla nich niekwestionowalną podstawę myślenia o Europie.

Ale kontekst kontekstem, a formalnie układ z Turnberry jest dwustronną umową handlową, którą – zgodnie z unijnymi traktatami – mogła zawrzeć tylko Komisja Europejska, gdyż wszystkie kraje członkowskie zrzekły się na rzecz Brukseli swej suwerenności handlowej. Formalnie działanie von der Leyen było zatem bez zarzutu.

> Podatek cyfrowy, wymogi cenzury informacyjnej na platformach cyfrowych oraz wielomiliardowe kary za nieuczciwą konkurencję koncernów big tech mają stanowić podstawowe narzędzia nowego, europejskiego antyamerykanizmu

Legalne, co jednak nie znaczy, że politycznie słuszne. Przeciw umowie podpisanej przez von der Leyen podniosła się potężna fala zarzutów i pretensji, wspierana przez wiele europejskich mediów.

Zaczęło się już od tego, że szefowa Komisji Europejskiej wraz ze swymi współpracownikami zgodziła się na to, aby przylecieć do Trumpa przebywającego akurat w Szkocji w należącym doń znanym klubie golfowym Trump Turnberry. Zdaniem krytyków, miało to być celowe upokorzenie Europy przez Amerykę, tym bardziej symboliczne, że – jakby na to nie patrzeć – Turnberry leży w kraju, który nie tak dawno wystąpił z Unii, bo nie był w stanie wytrzymać narzucanych przez Brukselę regulacji.

Wokół tej symboliki upokorzenia Europy przez Amerykę ogniskują się także inne, poważniejsze zastrzeżenia krytyków układu. Po pierwsze, ma on łamać reguły wolnego handlu przyjęte przez WTO, gdyż jego istotą są zakazane przywileje handlowe, jakich Europa udziela Ameryce. Po drugie, ma on być dla Unii praktycznie niewykonalny, co czyni nieuchronnymi przyszłe karne retorsje handlowe Ameryki wobec Europy. No i po trzecie, najważniejsze – ma on być nierównoprawny, co w sensie politycznym znaczy, że von der Leyen doprowadziła do kompromitującej kapitulacji handlowej Unii Europejskiej.

PRESTIŻ I RÓWNOPRAWNOŚĆ

Każdy z tych zarzutów ma oczywiście jakieś uzasadnienie. Bruksela upiera się, że w ostatecznym rozrachunku układ z Turnberry będzie zgodny z regulacjami WTO, ale wśród poważnych ekspertów od handlu nikt raczej w to nie wierzy.

Pascal Lamy, niegdyś sławny komisarz unijny, a potem przez wiele lat szef WTO, dowodzi, iż jednostronny przywilej w postaci zgody na pobieranie 15 proc. cła od całego eksportu unijnego, jaki otrzymują Stany Zjednoczone, łamie świętą „zasadę najwyższego uprzywilejowania", wedle której przywilej handlowy nadany jednemu krajowi musi zostać rozszerzony na wszystkie inne.

Faktem jest też, że szefowa Komisji złożyła w imieniu Unii ogólną deklarację o dokonaniu zakupów energetycznych w USA na kwotę 750 mld dol. oraz unijnych inwestycji w USA na kwotę 600 mld dol. To właśnie do tego nawiązywał Trump podczas spotkania z prezydentem Karolem Nawrockim, mówiąc: „Unia płaci nam biliony dolarów i jest z tego bardzo zadowolona".

eprasa.pl 848ef1d67b

Zważywszy, że Nawrocki reprezentował w Białym Domu jedno z państw unijnych, sytuacja ta była – prawdę mówiąc – dość komiczna.

Kluczowa jest tu jednak kwestia prestiżu i równoprawności, gdyż to wokół niej toczy się kampania przeciw Turnberry. Ci, którzy formułują ów argument, uważają, że świadczy o tym dobitnie fakt, iż von der Leyen zgodziła się na stosowanie 15-proc. cła przez Amerykę wobec Unii, zarazem zobowiązując się do usunięcia 10-proc. cła stosowanego dotąd przez UE. A zgodziła się na to pod dwojaką presją Waszyngtonu: *primo* – żeby nie osłabiać strategicznej solidarności Ameryki z Unią i Ukrainą, *secundo* – bo Trump zastosował celny szantaż w postaci 27,5-proc. ceł na unijne, czyli *de facto* niemieckie, samochody eksportowane do USA. Tymczasem należało napiąć europejskie bicepsy i uświadomić Ameryce, iż nakładając retorsje na rynek z 450 mln klientów, sama sobie wyrządzi szkodę. Tyle że o takim sposobie rozmawiania z Trumpem nie chciał nawet słyszeć chadecki rząd w Berlinie, przerażony wizją karnego wycofania amerykańskich żołnierzy z terytorium Niemiec i upadku niemieckiego przemysłu samochodowego, dla którego USA są kluczowym rynkiem zbytu.

Pragmatyzm niemieckich chadeków wywarł niewątpliwy wpływ na decyzję o podpisaniu układu z Turnberry. Ale w gruncie rzeczy cała ta argumentacja o prestiżu Europy, 450-mln rynku europejskim i kapitulacji von der Leyen traci sens, jeśli tylko rozumieć przyczynę całego celno-handlowego zamieszania wywołanego przez Trumpa. Zresztą sama szefowa Komisji jasno nazwała tę przyczynę w trakcie lipcowego spotkania z Trumpem w jego szkockim klubie golfowym. Powiedziała wtedy, iż nowy układ „ma służyć przywróceniu równowagi handlowej między USA i Europą".

I to właśnie ta oczywista i zdroworozsądkowa konstatacja wzbudziła najwięcej pretensji i potępień postępowania von der Leyen ze strony socjalistów i całej unijnej lewicy. Europejska lewica nie chce bowiem przyjąć do wiadomości, iż w ciągu wielu lat narastał patologiczny dla międzynarodowego handlu stan rzeczy, w którym USA uzależniały się od importu przemysłowego z Chin i Europy, doprowadzając do ruiny własny przemysł i klientyzując się wobec swoich partnerów. Że taki stan nie może trwać wiecznie, jak już dawno pisali co roztropniejsi znawcy gospodarki, np. w Polsce były minister Stefan Kawalec.

NIE DLA ROSYJSKIEJ RULETKI

Gdyby głosowanie nad wnioskiem o wotum nieufności dla von der Leyen miało się teraz odbyć w Parlamencie Europejskim, wiele wskazuje na to, iż szefowa Komisji mogłaby w jego wyniku stracić posadę.

Oto bowiem kluczowa dla niej frakcja Europejskich Socjalistów i Demokratów obwieszcza, iż kategorycznie odrzuca kapitulancki układ zawarty z Ameryką, a w europarlamencie będzie dążyć do jego obalenia. Oznajmiła to właśnie szefowa lewicowej frakcji w Parlamencie Europejskim Iratxe Pérez, ale widać, że cała rzecz jest szeroko uzgodniona pomiędzy głównymi partiami europejskiej lewicy, gdyż z krytyką zarówno układu z Turnberry, jak i „proamerykańskiego odchylenia" von der Leyen wystąpili lewicowi politycy piastujący czołowe funkcje unijne: szef Rady Europejskiej António Costa i pierwsza wiceszefowa Komisji Teresa Ribera.

Zapowiada się więc ciekawa unijna batalia o ocalenie Turnberry i von der Leyen, w której szefowa Komisji musi szukać ratunku u konserwatystów z frakcji EKR, czyli u włoskiej premier Giorgii Meloni i Jarosława Kaczyńskiego. Nie sposób powiedzieć, jaki będzie tego rezultat, ale Meloni i Kaczyński to być może najbardziej „atlantyccy" w swoich poglądach liderzy partyjni w Unii.

Co ciekawe, unijna lewica szykuje się do frontalnego uderzenia nie tylko w Trumpa, lecz także w podstawowe interesy USA. Socjaliści chcą bowiem, aby zamiast ugody z Ameryką, Unia ostro walnęła w interesy amerykańskich gigantów technologicznych. Tzw. podatek cyfrowy, który ma być tak pomyślany, aby uderzać w interesy amerykańskiego biznesu, wymogi cenzury informacyjnej na platformach cyfrowych oraz wielomiliardowe kary za nieuczciwą konkurencję koncernów big tech mają stanowić podstawowe narzędzia nowego europejskiego antyamerykanizmu.

Jest jasne, co to w praktyce oznacza, zwłaszcza odkąd Trump za kluczową ambicję swej prezydentury uznał przekształcenie Ameryki w imperium technologiczne, które właśnie dzięki potędze i wpływom Google, Microsoftu, Palantira, Space X czy OpenAI zapewni sobie polityczną przewagę nad resztą świata. Ostatnio prezydent napisał: „To musi się skończyć, i to NATYCHMIAST! Ostrzegam wszystkie kraje, które wprowadzają podatki cyfrowe, przepisy, zasady i regulacje, że jeśli te dyskryminujące działania nie zostaną zniesione, jako prezydent Stanów Zjednoczonych nałożę wielkie dodatkowe cła na eksport z tych krajów do USA".

W tej nowej antyamerykańskiej kalkulacji europejskiej lewicy jest jeszcze coś, co z polskiej perspektywy musi się wydać szczególnie doniosłe. Socjaliści, a także wielu lewicowych liberałów, po raz pierwszy tak wyraźnie mówią, iż nie akceptują już logiki, wedle której amerykańskie gwarancje bezpieczeństwa dla Europy wymagają respektu albo czasem uległości UE wobec interesów USA. „Jesteśmy zakładnikami amerykańskiej ochrony militarnej i strategicznej" – mówi zdegustowany z tego powodu Pascal Lamy. A socjaliści żądają zerwania przez Europę z owym statusem „zakładnika".

Najwyraźniej europejska lewica chce sprowokować Waszyngton, sprawdzając, czy w sytuacji wrogiej polityki europejskiej jest on naprawdę gotów cofnąć – albo przynajmniej ograniczyć – gwarancje bezpieczeństwa dla Europy. Trzeba przyznać, że choć polityka europejskich chadeków i szefowej Komisji Europejskiej co rusz może budzić odruchy sprzeciwu, to w jednej fundamentalnej sprawie von der Leyen zachowuje zimną krew i zdrowy rozsądek. Nie chce nawet słyszeć o jakiejś „rosyjskiej ruletce", w której stawką byłoby osłabienie więzi z Ameryką i wystawienie Europy na strategiczne ryzyko.

eprasa.pl 848ef1d67b

Niemcy pójdą w kamasze?

„Ludziom wmawiano przez 30 lat, że armia nie jest tak naprawdę potrzebna. Ciężko to teraz zmienić". W Niemczech to powszechna opinia. Choć Bundeswehra pilnie potrzebuje rekrutów, politykom brakuje odwagi, by przywrócić pobór

ALEKSANDRA RYBIŃSKA

Fot. ©Bundeswehr/Marco Dorow

Selma jest znana z zabawnych filmików na TikToku. Tina Neumann udziela na YouTube porad dotyczących makijażu i pokazuje swoje postępy na siłowni. Szef kuchni z Kolonii Can Akpinar gotuje wyszukane dania, a Bawarczyk Tizian Häger próbuje swoich sił jako komik i sportowiec. W zeszłym roku cała czwórka młodych influencerów wyruszyła wraz z Bundeswehrą w podróż po 18 koszarach i bazach wojskowych. Robili pompki, rozpalali ogień, czołgali się w błocie, przepływali rzeki i skakali ze spadochronem. Prawdziwe wojskowe reality show oraz część kampanii marketingowej Bundeswehry rozpoczętej po agresji Rosji na Ukrainę. Kampanii, która teraz nabrała tempa.

Bundeswehra prezentuje się w niej jako plac zabaw dla poszukiwaczy przygód, miejsce spotkań z naturą oraz spełnienie marzeń entuzjastów technologii. Poszukiwani: chętni 17-latkowie, a także starsi. W zasadzie ktokolwiek, bo braki personelu są znaczne. W każdym razie Selma, Tina, Can i Tizian robili, co mogli, by przedstawić służbę wojskową jako serię ekscytujących wydarzeń. Mówili, że „widzieli niesamowite czołgi", zachwycali się, że latanie helikopterem jest „fajne", choć „niebezpieczne", a okręty podwodne wydawały im się „czaderskie". Influencerzy zostali nawet podzieleni na dwie ekipy i musieli walczyć ze sobą w różnych zadaniach o nagrody.

NIE STRASZYĆ POKOLENIA Z

Niemieckie media, szczególnie te lewicowo-liberalne, wyśmiały serię o wdzięcznej nazwie „The Explorers" („Odkrywcy") jako „infantylną". „Brakuje tu zupełnie odniesień do polityki. Żołnierz ma umrzeć za kraj. Nie ma tu o tym ani słowa. Jest tylko zabawa i przygoda" – wyzłośliwiał się tygodnik „Die Zeit". Za to w „The Explorers" były aluzje do „dobrego" patriotyzmu. Lepszego od tego, który promuje Alternatywa dla Niemiec (AfD). Takiego fajnopatrioty-

eprasa.pl 848ef1d67b

zmu, skrojonego w sam raz pod pokolenie Z. A tych najlepiej nie straszyć ponurą wizją krwawych starć na polu bitwy. Dlatego Inspektor Generalny Bundeswehry Carsten Breuer lubi mówić podczas spotkań o „tym słowie na K", zamiast wypowiedzieć je wprost: Krieg („wojna"). Wojna to coś, o czym wychowani w pacyfizmie Niemcy woleliby zapomnieć, ale od ponad trzech lat toczy się ona na Ukrainie.

EPOKOWA ZMIANA

Były już kanclerz Olaf Scholz zapowiedział „Zeitenwende" („epokową zmianę") w niemieckiej polityce, także obronnej, a obecny kanclerz Friedrich Merz chce uczynić Bundeswehrę najsilniejszą armią w Europie. Aby to osiągnąć, nowa ochotnicza służba wojskowa ma przyciągnąć do niej dziesiątki tysięcy młodych ludzi. „Bezpieczeństwo – podkreślił kanclerz podczas posiedzenia gabinetu 27 sierpnia, gdy pakiet reform Bundeswehry został przyjęty przez rząd – jest naszym priorytetem politycznym". „To przesłanie dla obywateli i sygnał dla sojuszników" – dodał.

Bundeswehra chce pozyskać ok. 100 tys. nowych wyszkolonych rezerwistów. Oznaczałoby to podwojenie obecnego stanu osobowego rezerw. Ponadto liczebność sił czynnych ma wzrosnąć z obecnych 180 do 260 tys. żołnierzy. W ocenie ekspertów to bardzo ambitny plan, przy którego realizacji króluje głównie „nadzieja". Bo skąd wziąć tych rekrutów?

KASA I ATRAKCJE

Pobór został zawieszony w 2011 r. i na razie nikt nie ma (politycznej) odwagi, by do niego powrócić, jak uczyniła to Szwecja w 2017 r. Minister obrony Boris Pistorius obiecuje więc potencjalnym ochotnikom „atrakcyjne" wynagrodzenie w wysokości 2,3 tys. euro netto miesięcznie na start. No i w ruch poszli marketingowcy. Agencja Castenow, która od 2015 r. jest partnerem Bundeswehry, wymyśliła kampanię pod tytułem „Bo potrafisz" („Weil du es kannst"), promując na plakatach – w optyce gry Minecraft – służbę w wojsku, włącznie ze zdjęciami rozpikselowanych żołnierzy i sprzętu wojskowego. Czynnych żołnierzy zachęca się ponadto do chwalenia się służbą w mediach społecznościowych. W pozytywnym tonie. W stylu influencerów. Widzimy ich podczas ćwiczeń na siłowni czy spotkaniach z prezydentem, a nawet na urlopie. „Ludzie, muszę wam pokazać coś niesamowitego" – zachęca młoda żołnierka Aileen-Tina na TikToku. Za nią w kadrze pojawia się czołg. „Nadali temu czołgowi moje imię. Czy to nie wspaniałe?" – pyta podekscytowana. Post zebrał tysiące lajków. Dowódca czołgu Joshua K. ma szeroki zasięg na TikToku jako CinematicSergeant. Jego filmiki wyglądają jak fragmenty gry wideo. Widzowie podążają za K. jego czołgiem i załogą przez lasy i pola, zza ekranu dobiegają echa komunikatów radiowych. Bo ta służba ma być ekscytująca. Pełna „fajnych" momentów, które młodzież lubi przecież kolekcjonować.

Ale Bundeswehra walczy z konsekwencjami „zmian demograficznych i społecznych". Należą do nich spadająca liczba absolwentów szkół i uniwersytetów oraz rosnące zapotrzebowanie na umiejętności z zakresu matematyki, informatyki, nauk przyrodniczych i technologii. Do tego dochodzą „nie mniej ważne oczekiwania pokolenia Z, które pragnie dużej elastyczności i swobody w życiu zawodowym".

A życie żołnierza często oznacza koszary, służbę z dala od rodziny i kilkumiesięczne wyjazdy za granicę. I oczywiście wczesne wstawanie. Na to potencjalni rekruci skarżą się najczęściej. Oprócz tego, że w niektórych koszarach na ścianach jest pleśń, a w pokojach nie ma internetu. By wyjść naprzeciw ich potrzebom, Bundeswehra rozpoczęła pilotażowy projekt Zero-800. Od kwietnia rekruci 26. Pułku Spadochronowego w Merzig w Kraju Saary śpią o godzinę dłużej i rozpoczynają zmianę o 8.00 rano. Dopiero gdy przyzwyczają się do codziennego życia w Bundeswehrze, będą musieli wstawać wcześniej.

NIE TYLKO WOJSKO MA PROBLEMY

W 2022 r. liczba podań o przyjęcie do służby wojskowej spadła o 11 proc. – do ok. 44 tys., z czego Bundeswehra przyjęła prawie 18,8 tys. Tyle że 3970 z nich zwróciło mundury – 3510 z własnej woli, a 460 z powodu nieprzydatności. W rezultacie jedna piąta nowych rekrutów nie przetrwała pierwszych sześciu miesięcy i odeszła ze służby. Wobec braku przywrócenia poboru Bundeswehra ma się stać „atrakcyjniejsza", jak podkreślił szef MON Boris Pistorius. A to nie jest łatwe, bowiem oznacza, że wojsko musi konkurować o pracowników z innymi branżami.

Niemiecka gospodarka kurczy się od dwóch lat i zmaga się z ciągłym niedoborem fachowców. Chociaż w ostatnim czasie bezrobocie nieznacznie wzrosło – jak pisze agencja Bloomberg – prawdopodobnie wkrótce

eprasa.pl 848ef1d67b

ponownie spadnie, biorąc pod uwagę zapowiedziane przez koalicję z CDU i SPD miliardowe inwestycje w infrastrukturę. Niemieckie społeczeństwo się starzeje, należy więc znaleźć nie tylko tych dodatkowych kilkadziesiąt tysięcy żołnierzy, by zwiększyć liczebność armii, lecz także wypełnić miejsca po tych odchodzących co roku na emeryturę.

W 2024 r. liczba podań o przyjęcie do służby wojskowej wprawdzie wzrosła o 18,5 proc., ale liczba żołnierzy w czynnej służbie zmalała – jak donosi tygodnik „Der Spiegel" – o 340 osób. Dlaczego? „Bo ponad 20 tys. mężczyzn i kobiet opuściło Bundeswehrę. Osiągnęli koniec służby lub byli niezadowoleni" – czytamy.

W swej walce o rekruta niemiecka armia nie stroni nawet od porównań do Bundesligi – ostatnia kampania plakatowa czyniła aluzję do mistrzostw Europy kobiet w piłce nożnej, które odbyły się w lipcu: „Dołącz do drużyny!" – głosiły plakaty. A na nich żołnierki w mundurach stojące na stadionie piłkarskim. W Bundeswehrze służy ponad 24 tys. kobiet (stan na listopad 2024 r.). Z tendencją rosnącą. Jak szacują eksperci, niebawem będą one stanowiły 15 proc. personelu. Kobiety mogą służyć w Bundeswehrze dopiero od 2001 r.

CHCIEĆ NIE ZNACZY MÓC

Wielu generałów często wraca jednak myślami do okresu jeszcze wcześniejszego, czyli zimnej wojny. W 1985 r. żołnierzy było aż 495 tys. – dziś liczba wręcz niewyobrażalna. Potem nastąpił upadek komunizmu i domniemany koniec historii, a co za tym idzie, cięcia – zarówno personelu, jak i środków finansowych. W ostatnich latach pełnomocnicy Bundestagu do spraw Bundeswehry głównie donosili w swych raportach o zepsutym sprzęcie, brakujących hełmach i skarpetkach. Teraz ma się to zmienić. W tym roku wydatki na obronność Niemiec wrosną z 51,95 mld do ok. 62,4 mld euro, uzupełnione kwotą 24 mld euro z tzw. specjalnego funduszu (Sondervermögen). W 2029 r. Niemcy chcą wydawać na wojsko już ponad 150 mld euro, czyli 3,5 proc. PKB.

W teorii brzmi to dobrze. Ale w praktyce Bundeswehra wciąż bardziej przypomina związek zawodowy żołnierzy, w którym forsuje się szkolenia na temat gender i LGBT+, niż dobrze wyposażoną armię. Dobrym przykładem realnych trudności niemieckiej armii jest świeżo utworzona na Litwie 45. Brygada Pancerna. Docelowo – w 2027 r. – ma ona liczyć 5 tys. żołnierzy. Na razie jest ich kilkuset. Brakuje uzbrojenia, mieszkań, żłobków i szpitali. A także niemieckich żołnierzy, którzy chcieliby w przyszłości zamieszkać na Litwie. Pewne jest to, że spełnienie tego sojuszniczego zobowiązania w ramach NATO będzie drogo kosztowało. Utworzenie brygady to wydatek rzędu 5 mld euro, a jej utrzymanie wyniesie 1 mld euro rocznie. Dlatego minister spraw zagranicznych Johann Wadepuhl zadeklarował w mediach, że kraju „nie stać" na to, by niemieccy żołnierze uczestniczyli w misji stabilizacyjnej na Ukrainie. Mimo odmiennych deklaracji Merza podczas rozmów tzw. koalicji chętnych oraz prezydenta Ukrainy Wołodymyra Zełenskiego z prezydentem USA Donaldem Trumpem w Waszyngtonie. W skrócie: chcieć nie znaczy móc.

> Bundeswehra chce pozyskać ok. 100 tys. nowych, wyszkolonych rezerwistów. Oznaczałoby to podwojenie obecnego stanu osobowego rezerw. Ponadto liczebność sił czynnych ma wzrosnąć z obecnych 180 do 260 tys. żołnierzy. Pytanie tylko, skąd ich wziąć?

TRUDNY POWRÓT DO POBORU

Dlatego niektórzy, np. Stowarzyszenie Rezerwistów, wzywają do natychmiastowego powrotu do poboru oraz wprowadzenia go dla kobiet. „Biorąc pod uwagę zagrożenie, poleganie wyłącznie na dobrowolnym udziale jest lekkomyślnym stawianiem na przyszłość" – stwierdził płk André Wüstner, przewodniczący związku żołnierzy Bundeswehry. Eksperci wskazują tymczasem na brak infrastruktury i sprzętu w armii, niezbędnych w przypadku przywrócenia poboru. Poborowych nie byłoby gdzie umieścić ani komu szkolić. Rządowa reforma Bundeswehry dopiero trafi do Bundestagu, gdzie można się spodziewać ostrej debaty.

Wyniki badań opinii publicznej także nie są zbytnio zachęcające. Według sondażu przeprowadzonego przez instytut badania opinii publicznej Forsa dla „RedaktionsNetzwerk Deutschland" zaledwie 16 proc. Niemców jest „zdecydowanie" gotowych bronić kraju, a kolejne 22 proc. deklaruje, że „prawdopodobnie" by to zrobiło. Zdecydowana większość, bo aż 59 proc. nie chwyciłaby za broń. Wśród kobiet odsetek ten wzrasta do 72 proc. Jednocześnie ponad jedna czwarta (27 proc.) uważa, że w ciągu najbliższych pięciu lat Niemcy zostaną zaatakowane i jest to „bardzo" lub „raczej" prawdopodobne. Ponadto większość młodych ludzi w Niemczech sprzeciwia się obowiązkowej służbie wojskowej. Takie są wyniki badania „Youth Trend Study 2025", zaprezentowanego w kwietniu przez Instytut Badań nad Pokoleniami w Augsburgu. Wynika z niego, że 81 proc. przedstawicieli tzw. pokolenia Z (15–30 lat) nie byłoby gotowe oddać życia za ojczyznę. Ponadto 69 proc. stwierdziło, że nie broniłoby kraju. Młodzi ludzie jako główne argumenty przeciwko służbie wojskowej podawali samostanowienie i wolność osobistą. Zgodnie z mottem: „Nie pozwolę, żeby ktokolwiek mówił mi, co mam robić w życiu". Na to nie pomagają nawet najlepiej skrojone kampanie marketingowe.

eprasa.pl 848ef1d67b

Odsiecz wiedeńska

– niewiele brakowało, aby do niej nie doszło

„Bóg i Pan nasz na wieki błogosławiony dał zwycięstwo i sławę narodowi naszemu, o jakiej wieki przeszłe nigdy nie słyszały" – tak pisał do swojej żony Marysieńki król Jan III Sobieski po pokonaniu wojsk imperium osmańskiego pod Wiedniem

Fot. Vatican Museums

STANISŁAW PŁUŻAŃSKI

Jan III Sobieski stał się bohaterem, który uchronił Europę przed turecką inwazją. Mało kto pamięta, że do wyprawy wcale nie było tak blisko – na drodze stały brak pieniędzy, opór części szlachty, nieufność Austriaków czy podwójna gra Francuzów. Sprzeczne interesy władców Europy stawiały całą operację pod znakiem zapytania. Jak wyglądały kulisy politycznych negocjacji i dlaczego odsiecz była cudem nie tylko na polu bitwy?

TURECKA ARMIA POD WIEDNIEM

1683 r. okazał się momentem krytycznym w historii Europy. Imperium osmańskie, które od niemal czterech stuleci prowadziło nieprzerwaną ekspansję, znów ruszyło na północ. Państwo tureckie powstało pod koniec XIII w. na terenie Anatolii i rozpoczęło szybki podbój. Od połowy XIV w. systematycznie zajmowało Bałkany, podporządkowując sobie Grecję kontynentalną, Bułgarię, Serbię i w 1453 r. zdobywając Konstantynopol. W XVI w. sięgnęło po znaczną część Węgier, a księstwa naddunajskie – Mołdawia i Wołoszczyzna – uznały zwierzchność sułtana. W kolejnych dekadach imperium rozszerzyło panowanie także na Bliski Wschód i Afrykę Północną, a w 1669 r. odebrało Wenecji Kretę.

W drugiej połowie XVII w. imperium osmańskie było u szczytu potęgi – kontrolowało ogromne obszary trzech

eprasa.pl 848ef1d67b

kontynentów i dysponowało jedną z najliczniejszych armii świata. Głównym przeciwnikiem Osmanów byli wówczas Habsburgowie, których nie udało się całkowicie pokonać. Pierwsze oblężenie Wiednia miało miejsce w 1529 r., jednak Sulejman Wspaniały ostatecznie odstąpił od zdobycia miasta.

W 1682 r. na Węgrzech wybuchło powstanie Emeryka Thökölyego, który uznał zwierzchnictwo sułtana. To właśnie ta sytuacja stała się dla Porty dogodnym pretekstem do zorganizowania nowej wielkiej wyprawy, której celem było zdobycie siedziby rodu Habsburgów i dalsza ekspansja na zachód.

Armia wielkiego wezyra Kary Mustafy licząca ponad 100 tys. żołnierzy stanęła pod murami Wiednia. Upadek miasta otworzyłby Osmanom drogę w głąb kontynentu i zachwiałby równowagą sił w całej Europie. Miasto broniło się z determinacją, lecz cesarz Leopold I nie miał wystarczających sił, by samodzielnie odeprzeć atak. Część niemieckich książąt była zależna od króla francuskiego Ludwika XIV i nie spieszyła z pomocą. W tej dramatycznej sytuacji cesarz był zmuszony szukać sojuszników, a wzrok skierował ku Janowi III Sobieskiemu – doświadczonemu dowódcy mającemu za sobą wiele starć z Turkami.

OSŁABIONA POLSKA

Rzeczpospolita była wówczas państwem wyczerpanym i wewnętrznie podzielonym. Jeszcze na początku stulecia uchodziła za jedno z największych mocarstw Europy – triumfy pod Kircholmem czy Kłuszynem świadczyły o sile jej armii i pozycji na świecie. XVII wiek przyniósł jej pasmo wojen, które nadwątliły potencjał gospodarczy, militarny i polityczny. Powstanie Chmielnickiego, potop szwedzki, wojny z Moskwą, Siedmiogrodem, Tatarami i kolejne najazdy obróciły kraj w ruinę. Straty ludności, zniszczenia miast i upadek handlu były katastrofalne, a państwo długo nie potrafiło się podnieść.

Dodatkowy cios w tym trudnym momencie zadała polskiej historii właśnie Turcja. Po utracie Kamieńca Podolskiego w 1672 r. Rzeczpospolita została zmuszona zawrzeć upokarzający traktat w Buczaczu. Na jego mocy zgodziła się oddać Osmanom całe Podole i część Ukrainy, a także płacić im coroczny haracz w wysokości 22 tys. dukatów. Był to dowód słabości państwa, które zaledwie 100 lat wcześniej uważano za filar ładu europejskiego. Sejm nie zaakceptował jednak warunków pokoju i walki z Turcją były kontynuowane.

Niecały miesiąc później hetman Jan Sobieski odniósł wielkie zwycięstwo pod Chocimiem, które stało się punktem zwrotnym jego kariery i wkrótce otworzyło mu drogę do korony. W 1674 r. objął tron, ale dziedzictwo, które przejął, było ciężarem trudnym do udźwignięcia. Skarbiec świecił pustkami, wojsko nie mogło liczyć na regularne finansowanie, a mechanizm polityczny bazujący na *liberum veto* coraz częściej paraliżował sejmy. Każda decyzja wymagała mozolnych negocjacji i zgody niechętnej podatkom szlachty, co w praktyce uniemożliwiało prowadzenie ofensywnej polityki międzynarodowej.

> Bitwa trwała 12 godzin, lecz jej finał – potężna szarża – rozstrzygnął losy Wiednia w ciągu kilkudziesięciu minut. Jeszcze tego samego dnia Jan III Sobieski wysłał do papieża słynny list zaczynający się od słów: „Venimus, vidimus, Deus vicit" – „Przybyliśmy, zobaczyliśmy, Bóg zwyciężył"

Sobieski znalazł się więc w paradoksalnej sytuacji. Z jednej strony władał krajem rozdrapywanym przez wewnętrzne konflikty i niezdolnym do sprawnej odbudowy po dekadach wojen. Z drugiej – mógł odwoływać się do chocimskiego zwycięstwa i kreować się na tego, który zatrzymał turecką ekspansję oraz przywrócił nadzieję na odbudowę potęgi Rzeczypospolitej. Jednak każda jego inicjatywa wymagała walki nie tylko z wrogami zewnętrznymi, lecz także z oporem wewnętrznym, który zagrażał powodzeniu nawet najważniejszych przedsięwzięć.

GRA MOCARSTW

Los Wiednia zależał nie tylko od działań wojskowych, lecz także od wielkiej polityki europejskiej. Największym rywalem Habsburgów była Francja dążąca do dominacji na kontynencie. Polityka „reunionów" Ludwika XIV doprowadziła do zajęcia m.in. Strasburga i Księstwa Dwóch Mostów, a każdy turecki sukces oznaczał dla niego osłabienie Austrii.

Również część książąt niemieckich nie była skora do wspierania cesarza – ze względu na zależność od Francji bądź troskę o własne interesy. Polska stanęła przed trudnym wyborem. Początkowo Jan III Sobieski próbował budować koalicję z Francją i Szwecją, lecz francuska dyplomacja utrzymująca dobre stosunki z Turkami nie chciała zrywać z nimi relacji. Rozważano też porozumienie polsko-habsbursko-rosyjskie, ale ani Moskwa, ani Wiedeń nie były nim wtedy zainteresowane. Dopiero gdy potężna armia turecka ruszyła na północ, cesarz Leopold I zrozumiał, że nie zdoła się obronić bez wsparcia Rzeczypospolitej.

1 kwietnia 1683 r. zawarto przymierze polsko-austriackie, antydatowane na 31 marca, by uniknąć primaaprilisowych skojarzeń. Jego gwarantem został papież Innocenty XI, który obiecał finansowe wsparcie dla polskiej wyprawy. Ustalono, że obie strony będą udzielać sobie pomocy w razie tureckiego najazdu, a utrzymanie wojsk polskich wspomogą subsydia od cesarza i kurii rzymskiej.

ZDĄŻYĆ PRZED UPADKIEM MIASTA

Na początku 1683 r. w Adrianopolu zatknięto buńczuki wojenne, obwieszczające nową wyprawę sułtana. Wiosną armia osmańska pod wodzą wielkiego wezyra Kary Mustafy wyruszyła na

eprasa.pl 848ef1d67b

północ. W Belgradzie dołączyły do niej posiłki z prowincji bałkańskich, a następnie wyznaczono cel kampanii – Wiedeń. Latem pod austriacką stolicę dotarła potężna armia, której liczebność szacowano na 120–150 tys. ludzi – największa, jaką Turcy wystawili w XVII w.

16 lipca Osmanowie podeszli pod miasto i rozpoczęli oblężenie. Cesarz Leopold I, świadomy własnej bezsilności, opuścił stolicę i schronił się w Pasawie. Wiedeń został sam. Dowódca garnizonu hrabia Ernst Rüdiger von Starhemberg dysponował początkowo ok. 16 tys. żołnierzy i silną artylerią. Miasto przez dwa miesiące odpierało szturmy, bombardowania i podkopy saperów. Głód, choroby i straty w walce zredukowały siły obrońców do niespełna 5 tys. We wrześniu Turcy zdobyli rawelin i przyczółki w dwóch bastionach. Kapitulacja wydawała się bliska.

Tymczasem w Polsce Jan III Sobieski, wezwany przez cesarza i papieża do wypełnienia traktatu sojuszniczego, rozpoczął przygotowania do wyprawy. 29 lipca wyruszył z Krakowa z ok. 27 tys. żołnierzy, w tym 24 chorągwiami husarii. Nie czekając na spóźniające się posiłki litewskie, ruszył przez Śląsk i Morawy ku Austrii. Marsz był trudny – brakowało zaopatrzenia, a ludność skarżyła się na ciężary przemarszu. Sam Sobieski w listach do Marysieńki wspominał o chorobach i opóźnieniach grożących fiaskiem całej operacji.

3 września sprzymierzone wojska spotkały się w Tulln nad Dunajem. Tam Sobieski przejął komendę nad całą armią, licząca łącznie ok. 70 tys. żołnierzy, w tym 31 tysięcy kawalerii. Polacy, Austriacy i kontyngenty niemieckie skoncentrowały się na prawym brzegu Dunaju, a plan Sobieskiego – zepchnięcie Osmanów pod mury Wiednia i frontalny atak ze strony wzgórza Kahlenberg na skraju Lasu Wiedeńskiego – został przyjęty jednogłośnie.

BITWA

O świcie 12 września 1683 r. rozpoczęła się bitwa. Od strony Dunaju do ataku ruszyły wojska niemiecko-austriackie. Walki były zacięte i trwały niemal cały dzień. W tym samym czasie Polacy przebijali się przez gęste lasy i strome zbocza. Sobieski osobiście rozstawiał regimenty piechoty i artylerii, które osłaniały ruchy jazdy. Dopiero ok. południa udało się zająć wzgórza otaczające Wiedeń od północy i zachodu.

Przełom nastąpił późnym popołudniem. Sobieski wysłał przodem piechotę i artylerię, aby oczyściły przedpole z janczarów. Po kilku godzinach walk droga dla kawalerii stanęła otworem. Jako pierwsza ruszyła chorągiew husarska Zbierzchowskiego, dokonując rozpoznania i potwierdzając możliwość uderzenia. Ok. godziny 18.00 ze wzgórz na osmańskie pozycje runęła główna szarża – blisko 20 tys. jeźdźców.

Atak poprowadził sam król. Najcięższe walki toczyły się na lewej flance, gdzie nacierały austriackie wojska księcia Karola Lotaryńskiego. Ale decydująca rola przypadła Polakom, atakującym na prawym skrzydle. Trzon uderzeniowy stanowiła husaria, której impetu Osmanowie nie zdołali wytrzymać. W rozsypkę poszli najpierw Tatarzy, potem spahisi, a w końcu także janczarzy. W tureckim obozie wybuchła panika. Kara Mustafa próbował jeszcze ratować sytuację, lecz wkrótce sam opuścił pole bitwy. Cała armia osmańska rozpadła się i w popłochu rzuciła do ucieczki. Sprzymierzeni zdobyli obóz z ogromnymi zapasami żywności, broni i amunicji.

Bitwa trwała 12 godzin, lecz jej finał – potężna szarża – rozstrzygnął losy Wiednia w ciągu kilkudziesięciu minut. Jeszcze tego samego dnia Jan III Sobieski wysłał do papieża słynny list zaczynający się od słów: „Venimus, vidimus, Deus vicit" – „Przybyliśmy, zobaczyliśmy, Bóg zwyciężył".

SKUTKI ODSIECZY I DZIEDZICTWO SOBIESKIEGO

Zwycięstwo pod Wiedniem w 1683 r. przyniosło Janowi III Sobieskiemu nieśmiertelną sławę. Szarża husarii pod Wiedniem na trwałe weszła do legendy, stając się jednym z najważniejszych mitów polskiego oręża i źródłem dumy narodowej w czasach późniejszych klęsk.

Polityczne skutki okazały się jednak skromne dla Polski. Najwięcej zyskała Austria, wypierając Turków z Węgier i umacniając swoją pozycję. Bezpośrednio po bitwie powstała Liga Święta – koalicja antyturecka pod patronatem papieża. Rozpoczęła się długa wojna, w której Polska, Austria, Wenecja i Rosja toczyły walki z różnym skutkiem. Sobieski, mimo kilku wypraw na Mołdawię, nie odniósł znaczących sukcesów.

Ostatecznym zwieńczeniem konfliktu był traktat w Karłowicach zawarty w 1699 r., już po śmierci Jana III Sobieskiego. Rzeczpospolita odzyskała utracone ćwierć wieku wcześniej Podole z twierdzą w Kamieńcu. Był to sukces, choć niewspółmierny do poniesionych kosztów. Odsiecz wiedeńska nie przyniosła też trwałego zbliżenia z Habsburgami. Choć Polska uratowała ich stolicę, Austriacy szybko zaczęli prowadzić politykę sprzeczną z interesami Rzeczypospolitej.

Bez wątpienia jednak odsiecz wiedeńska pozostaje jednym z najwspanialszych triumfów polskiego oręża. Z perspektywy czasu należy to uznawać za ostatni błysk dawnej potęgi I Rzeczypospolitej, nie zaś jako punkt zwrotny jej historii. Wszak wynik wielkiej bitwy nie uchronił państwa przed upadkiem. 100 lat później Austria – obok Rosji i Prus – brała już udział w rozbiorach Polski, która pod Wiedniem uratowała jej istnienie.

(NIE)PAMIĘĆ

Na wzgórzu Kahlenberg, skąd Sobieski poprowadził wojska do ataku, do dziś nie ma pomnika upamiętniającego walkę Polaków. Choć w 2013 r. wmurowano kamień węgielny, przygotowano cokół i zebrano potrzebne pieniądze, budowa utknęła w martwym punkcie. Jedną z podawanych przyczyn jest obawa władz Wiednia przed reakcją mniejszości tureckiej. W tle jest też ogólna tendencja do marginalizowania znaczenia bitwy z 1683 r. i roli Sobieskiego. Sam cokół był już kilkakrotnie dewastowany.

Na wzgórzu stoi za to pomnik ukraiński, ufundowany na cześć Kozaków walczących w wojnie z Osmanami. W 330. rocznicę bitwy wiedeńskiej Austriacy nie pozwolili na uroczysty przejazd polskiej jazdy. Oficjalnym powodem miało być bezpieczeństwo mieszkańców, dodatkowo protestowały grupy ekologów i pacyfistów. Trudno jednak nie dostrzec ironii – potomkowie wiedeńczyków, których w 1683 r. ocaliła polska husaria, dziś się mają bać koni przypominających o tamtym zwycięstwie...

eprasa.pl 848ef1d67b

O żydowskiej policji w czasie wojny

Czy za pomocą przysłowiowych nożyczek można tak poprzycinać zeznania świadków tragedii Holokaustu, by dowodzić z góry założonych tez? Można. Pokazują to prace Barbary Engelking i Jana Grabowskiego

PIOTR GONTARCZYK

Chaim Wolgelertner przeżył Zagładę w okupowanej Polsce. Po latach wspominał o żydowskiej policji w Działoszycach: „Twór ten – nawet zanim ujawniło się jego prawdziwe oblicze – wzbudzał nieufność większości ludności, zwłaszcza jak wstąpili doń członkowie niższych sfer i cały półświatek. Służba Porządkowa bardzo szybko posiadła dużą władzę i stała się postrachem ludzi. Uległością i butą starała się przypodobać swym panom, gestapowcom. Podczas każdej akcji i wykonywania rozkazów jej funkcjonariusze wyróżniali się okrucieństwem. Także i w obecnym wysiedleniu nie siedzieli z założonymi rękami. I jeśli kiedyś jakiś historyk żydowski zechce spisać dzieje tych dni i dojdzie do rozdziału »Ordnungsdienst«, zarumieni się ze wstydu". Równie krytyczne opinie zawierają inne świadectwa ocalałych, stawiając funkcjonariuszy żydowskiej policji w jak najgorszym świetle.

Przed problemem opisania działalności tej formacji stanęła grupka adeptów „polskiej szkoły badań Holokaustu" z Janem Grabowskim i Barbarą Engelking na czele, afiliowanych przy Polskiej Akademii Nauk. W różnych publikacjach tego środowiska podjęto tytaniczne wysiłki, aby marginalizować albo w ogóle usuwać z historii działalność żydowskiej policji. Wiele znanych akcji OD eliminowano z cytowanych źródeł, a wątpliwe „zasługi" tej formacji przypisywano czasem Niemcom, ale przede wszystkim Polakom.

GRABOWSKI W WĘGROWIE

Najbardziej konsekwentnie problem działalności żydowskiej policji rozwiązał Jan Grabowski w książce „Dalej jest noc". Stwierdził: „W każdym z gett poza Judenratem powołano też do życia Żydowską Służbę Porządkową, czyli policję, składającą się z kilku lub kilkunastu funkcjonariuszy" (t. II, s. 404). Pisząc powyższe, powołał się na książkę Tadeusza Wangrata „Polska i powiat węgrowski w przededniu i w czasie II wojny światowej" (Węgrów 2010) i wskazał stronę nr 100. Po sprawdzeniu okazało się, że są tam inne informacje: „Aby wszystkie rozporządzenia były wykonywane, powołana została policja żydowska, która gorliwie wypełniając narzuconą im funkcję, uczestniczyła na równi w prześladowaniu i mordowaniu swoich współbraci. [...] Policjanci-Żydzi pilnowali, by nikt nie wychodził poza teren getta. Wyposażeni w pałki gumowe, bili nimi rodaków, którzy nie stosowali się do hitlerowskich zarządzeń i przepisów".

Lokalny konspirator, Jan Stola, którego opracowanie znał Grabowski, napisał o Węgrowie: „Do pilnowania, by

Fot. BE&W

eprasa.pl 848ef1d67b

nikt z Żydów nie wychodził poza jego [getta] obręb, powołali Niemcy policję żydowską. [...] Policjanci ze specjalnymi opaskami, w czapkach kroju angielskiego z zielonym otokiem – nałożone na nich przez okupanta hitlerowskiego obowiązki prześladowania i pomocy w mordowaniu swych braci – wypełniali gorliwie. Wyposażeni byli w pałki gumowe, których – jak widziałem – nie szczędzili, bijąc nimi przekraczających hitlerowskie przepisy i zarządzenia". Co prawda w artykule Grabowskiego policja żydowska jest, ale nie wiadomo, czym się zajmuje. Kto więc pilnował Żydów w getcie?

Grabowski wyjaśnia: „Do wysiedlenia getto w Węgrowie pozostawało gettem w zasadzie otwartym, co wcale jednak nie znaczyło, że jego opuszczenie było rzeczą łatwą i bezpieczną. Nad szczelnością niewidocznych granic »dzielnicy żydowskiej« czuwali bowiem nie tylko polscy i niemieccy policjanci, lecz także wspomniani wcześniej »gapie«, których uwadze niewiele mogło ujść" (t. II, s. 407). Wiadomo – ktoś musiał pilnować getta w Węgrowie. Ale Grabowski zwolnił z tego obowiązku żydowską policję, a jej zadania powierzył Niemcom, „granatowej" policji i okolicznym polskim mieszkańcom.

Warto dodać, że OD odegrała ważną rolę w trakcie mordów i deportacji węgrowskich Żydów we wrześniu 1942 r. W czasie powojennego procesu lokalnych strażaków Janina Krysiak zeznała: „Za okupacji cały czas mieszkałam przy mogiłkach i nie widziałam ani razu, aby strażacy prowadzili tam Żydów. Żydów prowadzali tam [na rozstrzelanie] niemcy, ukraińcy i żydowska policja". Klementyna Bobruk powiedziała: „Mieszkałam koło mogiłek żydowskich i widziałam, że na kierkut prowadzali Żydów Niemcy, Ukraińcy i policja żydowska". Chil Szejnberg opowiadał: „Widziałem, jak strażacy, żydowska milicja, granatowa policja, żandarmeria i Ukraińcy z Treblinki zajęli wszystkich Żydów, spędzili wszystkich na rynek w Węgrowie". Edward Szerymanow dodawał: „Pierwsza akcja rozpoczęła się we wrześniu i październiku 1942 r. i polegała na tym, że wszystkich Żydów spędzano na rynek i samochodami odwozili ich do Treblinki [...] czynni byli żandarmi, żydowska policja i granatowa policja".

Wszystkie te zeznania zostały pominięte w „Dalej jest noc". Tym samym „wyczyszczenie" obrazu działalności OD w powiecie węgrowskim zostało dokonane.

HISTORIA À LA ENGELKING

Przed książką „Dalej jest noc" pod szyldem PAN ukazała się praca „Prowincja noc. Życie i zagłada Żydów w dystrykcie warszawskim". W niej „Życie codzienne Żydów w miasteczkach dystryktu warszawskiego" opisała Barbara Engelking. Artykuł jest skrajnie nierzetelny, pomija niewygodne źródła lub tnie przysłowiowymi nożyczkami ich fragmenty. Po takiej operacji liczne przypadki wyłapywania, wyciągania z kryjówek i wydawania w ręce Niemców ukrywających się w czasie deportacji Żydów można już było przypisać przede wszystkim Polakom.

Np. autorka sięgnęła po zeznanie Mariana Pietrzaka z Sokołowa Podlaskiego, ale pominęła taki fragment: „Następnego dnia po likwidacji getta Niemcy i Ukraińcy rozpoczęli w getcie poszukiwania ukrywających się Żydów, którzy nie poszli z wszystkimi do Treblinki, lecz pochowali się w kryjówkach (nie dotyczyło to [przewodniczącego Judenratu – przyp. red.] Lewina, kilku pracowników »Judenrad [Judenratu]« i żydowskich policjantów). Pomagała im w tym żydowska policja. Zaczęły się znów rozgrywać okropne sceny. Żandarmi i Ukraińcy przeszukiwali piwnice i strychy domów, a schwytanych zabijano na miejscu [...]. Gdy już w getcie nie było żywych ludzi, nie było już kogo szukać ani zabijać, zebrali Niemcy wszystkich żydowskich policjantów współpracujących dotąd z nimi, załadowali ich do wagonu i wywieźli do Treblinki, do komór gazowych. Kiedy pod silną eskortą żandarmów zapędzono ich na stacje kolejową i dowiedzieli się oni, że zostaną wywiezieni do Treblinki, byli mocno zaskoczeni tym. Wierzyli oni do końca, podobnie, jak ich »król« Lewin, że za gorliwą współpracę Niemcy darują im życie".

Analogicznie potraktowała pamiętnik Cypory Jabłoń-Zonsztajn dotyczący „dokonań" żydowskiej policji z getta w Siedlcach, a w przypadku Joska Kopyto także z Sokołowa. Z jego zeznania przywołano banały, pomijając obszerny opis działalności OD z „peckiem" [męskie przyrodzenie w języku żydowskim – przyp. red.] Lejbusiem Szpigelmanem na czele. Engelking pominęła także opisy działalności żydowskiej policji w Otwocku z dobrze znanego, wstrząsającego pamiętnika OD-manna Calela Perechodnika, który w sierpniu 1942 r. doprowadził własną żonę i dziecko na punkt zborny przed ich wywiezieniem do Treblinki.

Ale najbardziej kuriozalnym dokonaniem tej autorki jest fragment książki „Dalej jest noc" z cytatem ze wspomnień Meira Pekera. To kilka linijek pociętego nożyczkami tekstu pozbawionego faktografii i logicznej spójności, z którego nie wynika nic konkretnego. Po sprawdzeniu źródła okazało się, że to strzępy kilkustronicowego, pełnego drastycznych informacji opisu działalności OD w Bielsku Podlaskim. Jeden z wątków dotyczy Polki, która zgłosiła się do getta z informacją o możliwości wyciągnięcia z niemieckiego obozu w Lublinie trzech miejscowych Żydów i ściągnięcia ich do Bielska. W obozie tym, przy ul. Lipowej, Niemcy przetrzymywali Żydów – polskich jeńców z wojny obronnej 1939 r. Wspomniana Polka „rzeczywiście sprowadziła całą trójkę brata [Szolema] Barchata, Radłowskiego i mojego brata Michela Pekera. Radość była ogromna, acz tragiczna, ale takie były ówczesne radości. Zdołać utrzymać się razem – to było największe marzenie, najlepszy lek dla rozproszonych rodzin. Jednak chłopcy nie mogli pokazać się w getcie i ich rodziny ich ukrywały, aż o wszystkim dowiedziała się [żydowska] policja i wydała ich Niemcom". To jeden z przypadków, kiedy żydowscy uciekinierzy mogli liczyć na pomoc Polaków, a nie zawsze swoich rodaków.

Takie historie są tu tropione ze szczególną konsekwencją. Z przypadków, które odnalazłem w źródłach, w publikacjach opisywanej „szkoły" nie znalazł się ani jeden.

ARTYŚCI „PRZY ROBOCIE"

Barbara Engelking i Jan Grabowski to liderzy opisywanej „szkoły naukowej", ale metody pracy ze źródłami innych

eprasa.pl 848ef1d67b

autorów książki „Dalej jest noc" były podobne. Dariusz Libionka, onegdaj autor ważnych i cennych prac naukowych, niestety poszedł w ich ślady. Opisując powiat miechowski, nie tylko w kwestii dokonań OD, prześcignął nawet wspomnianych wcześniej „mistrzów". W pewnej chwili zacytował wspomnienia Meira Goldsteina z Proszowic: „Wszyscy chłopcy [z Ordnungdienst – przyp. red.] odnosili się dobrze do ludności żydowskiej", dodając od siebie: „Tak samo miało być we wszystkich miasteczkach" (t. 2, s. 53). Serwowanie tak oczywistych kłamstw było możliwe tylko dzięki pominięciu wielu źródeł, chociażby opinii Chaima Wolgelerntera z Działoszyc, od której zaczyna się ten artykuł. Ale u Libionki są dużo grubsze rzeczy.

Wspomniany Wolgelernter opisał np. okoliczności śmierci rabina Icka Staszewskiego: „Ordnungsdienst razem z gestapo szli od mieszkania do mieszkania. Gdy znaleziono chorego lub starca, który nie mógł iść o własnych siłach na rynek, zabijano go strzałem na miejscu. Rabina Staszewskiego, staruszka, zabili w jego mieszkaniu". W tym źródle sytuacja jest jasna: w scenie śmierci rabina są tylko Niemcy i policja żydowska. Ale Libionka, znając i przywołując wspomnienia Wolgelerntera, posklejał ścinki różnych źródeł i opisał sprawę tak: „3 września rano rozpoczęło się wyprowadzanie Żydów z mieszkań i łapanie na ulicach. Zastrzelono niemogącego się poruszać o własnych siłach rabina Mordkę Icka Staszewskiego i wielu innych. Członek Judenratu zeznał po wojnie, że »akcję prowadziła raczej policja polska niż Niemcy«" (t. 2, k. 78). Wystarczyło trochę Libionkowej „inwencji twórczej" i z historii zniknęła policja żydowska, a nawet Niemcy. Śmierć Icka Staszewskiego „przyklejono" tu funkcjonariuszom „granatowej" policji, czyli Polakom. To normalna metoda działania tego autora, który nie tylko usuwał z historii działalność żydowskiej policji, lecz także systematycznie dopisywał niemieckie zbrodnie na konto Polaków.

W opisie powiatów Bochnia, Dębica czy Złoczów z książki „Dalej jest noc" też można znaleźć luki i przeinaczenia. W tym ostatnim tekście przytoczone opisy działalności OD są dalekim, bo „wyczyszczonym" cieniem rzeczywistości, a wiele źródeł pominięto. Jak chociażby relacja Szlojmego Mayera, który tuż po wojnie pisał: „28 sierpnia 1942 r. [...] rozpoczęła się »akcja«. Część Żydów ukrywała się w mieszkaniach, inni na strychach i w piwnicach. Ponieważ mordercy nie byli wielkimi bohaterami i obawiali się napotkania oporu ze strony ukrywanych, każdej grupie [morderców] musiał towarzyszyć przedstawiciel Judenratu lub policji żydowskiej. Żydzi musieli iść przodem i otwierać żydowskie domy, a gdy to nie pomagało, dostawali siekiery i wyważali drzwi. Wszyscy członkowie Judenratu brali udział w tej haniebnej robocie. Jedynym, który odmówił [wzięcia udziału], był dr Majblum. [...] Komendant policji żydowskiej D. Landesberg obiecał żydowskim dzieciom słodycze i w ten sposób nakłonił je do wyjścia na ulicę. B. Szapiro udał się do swojej koleżanki R. Rozenbaum, bo wiedział, że ma małe dziecko. Nie wyszedł, dopóki nie znalazł dziecka i nie zabrał go z domu. Pogoń za duszami trwała dwa dni. Ofiary przywieziono na stację kolejową, gdzie musiały czekać klęcząc na wagony. Nie pozwolono im jeść ani pić. [...] Tuż po epidemii tyfusu, 2 kwietnia 1943 r. nastąpił ostatni i najbardziej przerażający rozdział w dziejach złoczowskiego żydostwa – likwidacja getta. [...] Getto zostało otoczone w nocy z 1 na 2 kwietnia, gdyż Żydzi spali spokojnie, nie przeczuwając zbliżającego się niebezpieczeństwa. [...] Rano mordercy w towarzystwie żydowskich policjantów chodzili od domu do domu, wyrzucali ofiary z łóżek i wszystkich, od młodych do starszych, pędzono do punktu skupu, który znajdował się na tzw. Zielonym Rynku. Polowanie miało duży zasięg. Ofiary nie miały czasu na ubieranie się. Nastroje mas 2 kwietnia były bardziej apatyczne, w przeciwieństwie do paniki, jaka panowała podczas pogromu i »akcji«. [...] Rynek był pełen ludzi. Niemcy umieścili kosz, do którego ofiary musiały wrzucać pieniądze, zegarki, pierścionki i inne tego typu przedmioty, które mieli przy sobie. Żydowscy policjanci dopilnowali, aby rozkaz został dokładnie wykonany. Szczególnie brutalny był policjant Josel Landau. Zrywał pierścionki z palców tak brutalnie, że z wielu ofiar zaczęła płynąć krew".

> Żydowska policja nie miała litości dla swoich sąsiadów. „Uległością i butą starała się przypodobać swym panom, gestapowcom" – wspominał Chaim Wolgelertner, ocalały z Zagłady

PO CO TO WSZYSTKO?

Tak krok za krokiem, dokument za dokumentem, „nowa polska szkoła badań Holokaustu" z obecną przewodniczącą rady Państwowego Muzeum Auschwitz-Birkenau preparowała nieprawdziwą wersję historii Holokaustu, której fragmentem jest przecież działalność policji żydowskiej. Na oddzielne opisy zasługują różne obszary wątpliwych zasług tej formacji, chociażby sprawa wyciągania z bunkrów i kryjówek na terenie gett tysięcy rozstrzelanych później rodaków.

Ale dokonania OD wyraźnie nie pasowały do jednostronnej, niemal wyłącznie martyrologiczno-heroicznej historii żydowskich losów. W niej miało być jasne, kto jest ofiarą, a kto przede wszystkim prześladowcą Żydów, więc skomplikowana i niewygodna rola OD była usuwana. Takie systemowe przerabianie historii było atrakcyjne także dlatego, że niektóre funkcje pełnione przez żydowskich policjantów, a nawet dokonane przez nich zbrodnie, można było przypisać Polakom. Teraz już śmiało możemy wejść na temat tych, uważających się za ofiary tej wojny, współsprawców Holokaustu.

Autor jest pracownikiem IPN. Poglądy wyrażone w tekście są wyłącznie jego opiniami

eprasa.pl 848ef1d67b

Piękny i bestie

Na tegorocznym festiwalu w Wenecji Jude Law pojawił się na czerwonym dywanie jako odtwórca roli młodego Putina. W polskich kinach możemy go oglądać w filmie „Eden" Rona Howarda

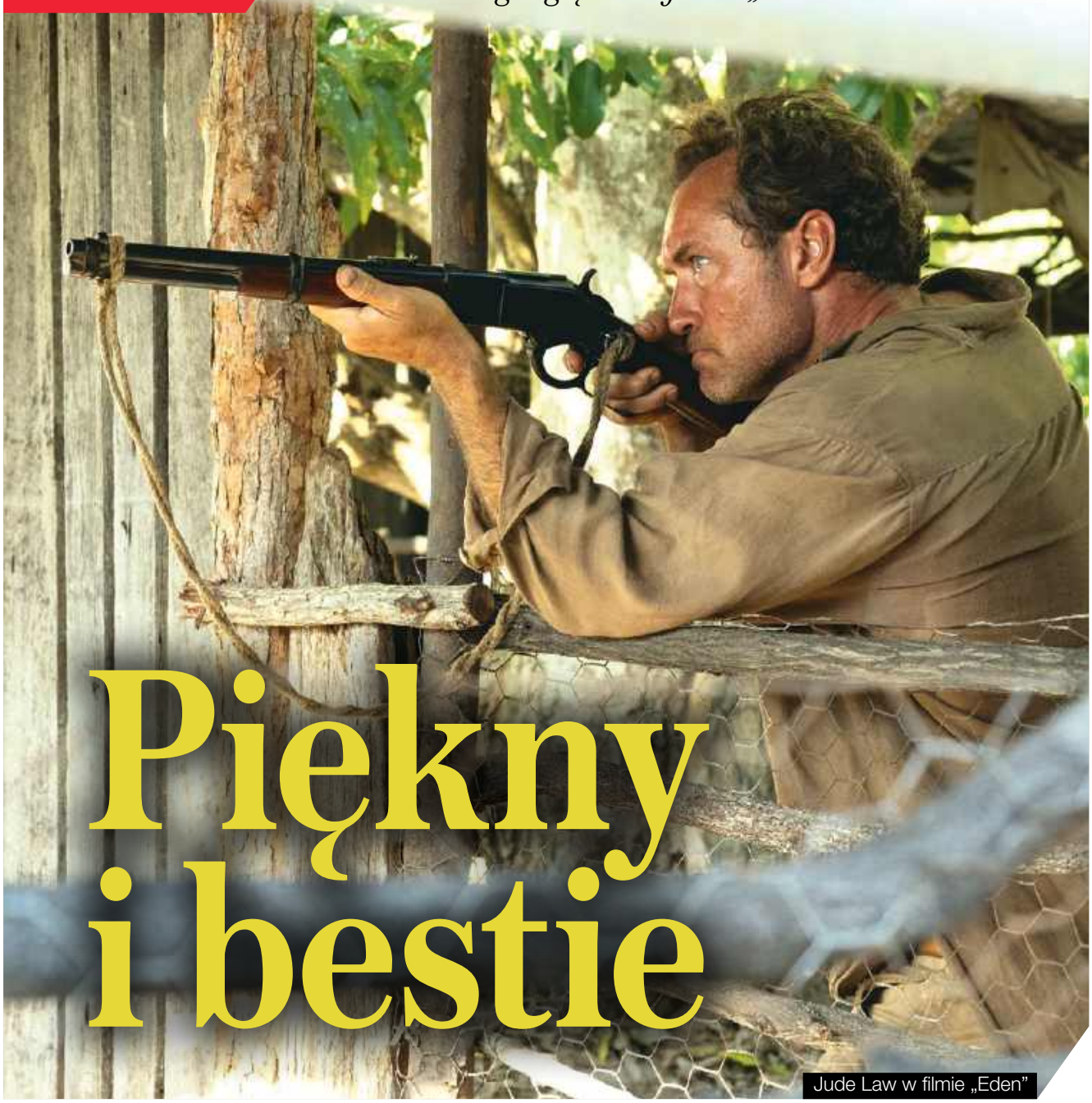

Jude Law w filmie „Eden"

Fot. Jasin Boland/Monolith Films

eprasa.pl 848ef1d67b

JOLANTA GAJDA–ZADWORNA

Kadr z filmu „Mag z Kremla”

Udało mu się właściwie nieosiągalne – śliczny chłopiec i przystojny mężczyzna, łamiący serca gwiazdor plotkarskich portali, od lat regularnie wymyka się z aktorskiej szuflady. Na ekranie był już m.in. kontrowersyjnym papieżem i okrutnym królem. Teraz w „Magu z Kremla” Oliviera Assayasa, adaptacji bestsellerowej powieści Giuliana da Empoli, zagrał najgroźniejszą postać współczesnej geopolityki – Putina.

ZA MASKĄ BESTII

„Mam nadzieję, że nie jestem naiwny, ale nie bałem się reperkusji. Czułem się pewnie, w rękach Oliviera i dzięki scenariuszowi, ufając, że ta historia zostanie opowiedziana inteligentnie, z niuansami i rozwagą” – mówił Jude Law na konferencji w Wenecji. Zapewniał, że filmowa ekipa nie szukała w tym projekcie „kontrowersji dla samej kontrowersji” ani nie starała się stworzyć „marnej imitacji Putina”. „Zwłaszcza że zwykle pokazuje on publicznie nie tyle twarz, ile maskę. Próbowałem zrozumieć jego zachowania, jego motywacje” – deklarował aktor, któremu na ekranie nie do końca udało się ukryć pod charakteryzacją szlachetność rysów i urodę. Choć próbował. Bo czego się nie robi dla aktorskiego wyzwania?

ZEW LUDZKIEJ NATURY

Takim wyzwaniem – również z powodów fizycznych – była także rola w filmie „Eden”, nawiązującym do autentycznych zdarzeń z początku ubiegłego stulecia, kiedy niemiecki lekarz postanowił osiedlić się wraz z kochanką na bezludnej wyspie archipelagu Galapagos. Przekonanie bohatera, że tylko z dala od zachodniej cywilizacji może być panem własnego losu zostało szybko skonfrontowane nie tylko ze światem surowej przyrody, lecz także z kolejnymi osadnikami, którzy mieli własne plany i oczekiwania wobec „raju”. Law wspomina, że przy okazji tej roli najmniejszym problemem – i dla niego, i dla bohatera – był długotrwały brak higieny. Konfrontacja z ludzką naturą okazała się bardziej bolesna i dramatyczna niż zderzenie z realiami bez cywilizacyjnych udogodnień.

To za sprawą filmów, takich jak „Mag z Kremla” czy „Eden”, Jude Law od lat pracuje na – tworzoną na własnych warunkach – pozycję zawodową i medialną.

Jeszcze dwie dekady temu uchodził za jednego z najbardziej pożądanych kinowych amantów. Jasne włosy, niebieskie oczy, zniewalający uśmiech... Był symbolem męskiego uroku przełomu XX i XXI w. Dziś nadal przyciąga uwagę, ale przede wszystkim jako aktor świadomy własnej drogi, wybierający role wymagające i nieoczywiste.

CHŁOPAK Z LONDYNU

Pochodzący z nauczycielskiej rodziny David Jude Heyworth Law już w wieku 13 lat zaczął występować w National Youth Music Theatre, a cztery lata później rzucił szkołę, by w pełni poświęcić się aktorstwu. Decyzja, choć pozornie ryzykowna, okazała się celna, bo to właśnie teatr ukształtował jego warsztat, dając mu pewność, że nie jest tylko atrakcyjną twarzą na plakacie.

Przewrotnie drzwi do Hollywood otworzył mu szeroko śliczny „złoty chłopiec” Dickie Greenleaf z „Utalentowanego pana Ripleya” (1999). Dał mu też pierwszą nominację do Oscara. Kolejne lata przyniosły role w filmach, które pokazywały wszechstronność przystojnego aktora: „A.I. Sztuczna inteligencja” (2001) Stevena Spielberga, gangsterska „Droga do zatracenia” (2002) z Tomem Hanksem czy „Wzgórze nadziei” (2003), za który otrzymał drugą nominację do Oscara.

NOWE OBLICZA

Przez lata był idealnym kandydatem na kinowego amanta. Tyle że nie do końca chciał nim być. Co prawda tabloidy wytrwale towarzyszyły mu w burzliwym życiu prywatnym – kolejnych związkach, romansach i zdradach – a on czarował publiczność m.in. w komedii romantycznej „Holiday” (2006) – ale jednocześnie szybko udowodnił, że nie zamierza utknąć w szufladce ekranowego kochanka. Jako dr Watson w „Sherlocku Holmesie” (2009) i kontynuacjach pokazał ironiczny wdzięk, partnerując ekscentrycznemu Holmesowi (Robert Downey jr).

Mimo kariery w Hollywood wracał też do teatru – zachwycając m.in. w 2009 r. tytułową rolą w „Hamlecie”.

W serialu „Młody papież” (2016) pokazał, że potrafi stworzyć postać jednocześnie charyzmatyczną, kontrowersyjną i wielowymiarową. W kinowym „Firebrand” (2023) wcielił się w Henryka VIII. Teraz zaszokował publiczność rolą młodego Putina („The Wizard of the Kremlin”).

Co będzie dalej? Jude Law nie raz pokazał, że potrafi wychodzić z narzuconych mu – lub kojarzonych z nim – ról. Postrzegany jako ikona stylu, od lat związany ze światem mody (był twarzą Diora i Dunhilla, a niedawno wystąpił w kampanii Brioni ze swoim synem Raffem) – chętnie przyjął rolę, w której styl jest ostatnią rzeczą potrzebną bohaterowi (wspomniany „Eden”).

NAJGŁĘBSZY SENS

Dziś jako ojciec siedmiorga dzieci (z czterema partnerkami) chętnie mówi, że to ojcostwo nadało jego życiu najgłębszy sens.

Od lat działa też na rzecz najmłodszych, współpracując m.in. z UNICEF. Jednocześnie podkreśla w wywiadach, że za sprawą aktorskiej pasji niezmiennie ma w sobie ciekawość, chęć eksperymentowania i odkrywania nowych ekranowych postaci.

Fot. Gaumont

eprasa.pl 848ef1d67b

Maciej Walaszczyk

Pielgrzym powrócił

5 lipca br. na hipodromie w Zagrzebiu odbył się gigantyczny koncert, którego wysłuchało 500 tys. widzów. Bilety sprzedano w ciągu kilkudziesięciu godzin. Wśród nich było także wielu Polaków, którzy słali z niego swoje entuzjastyczne relacje. Widowisko, jakie zafundował Marko Perković „Thompson" z zespołem, a więc muzyka, strona wizualna oraz emocje publiczności, osiągnęły szczyt, łącząc formę rockowego spektaklu z poetyckim z ducha przesłaniem narodowym i religijnym.

Nowa płyta artysty była oczekiwana od 12 lat i zawiera 12 nowych utworów. Kilka z nich już od pewnego czasu było znanych publiczności, m.in. powstała w hołdzie obrońcom Vukovaru piękna „Ako ne znaš šta je bilo". Płyta zaczyna się klasycznie, wezwaniem do duchowego odrodzenia („Ustani iz sjene"), w stylu bałkańskiego Van Halen. Choć wyczuwamy wpływy chorwackiego folkloru – szczególnie w rozbudowanych partiach chórów przesyconych wydobywanym z głębi gardła śpiewem typu ojkanie – to jednak cała twórczość „Thompsona" jest przecież dzieckiem swoich czasów, kiedy do Europy docierały modne brzmienia lat 80. i 90. Muzycy zespołu nigdy nie kryli fascynacji nie tylko gitarowym stylem Eddiego Van Halena, lecz także Whitesnake, Toto czy Guns N' Roses. Nie proponują więc niczego nowego, ale rozwijają to, co od dawna udaje im się robić najlepiej, wplatając w hymniczne rockowe pieśni partie smyczków i orkiestracji, monumentalnych syntezatorów i liczne ozdobniki w rodzaju kościelnych dzwonów, rozbudowanych perkusjonaliów czy fragmentów historycznych przemówień m.in. pierwszego prezydenta Franja Tuđmana. Utwór „Oluja" jest przecież hołdem dla żołnierzy biorących udział w zwycięskiej operacji, która zakończyła wojnę o niepodległość w 1995 r. Muzyka porusza i wprawia nieco w stan egzaltacji.

Chorwaci – podobnie jak Polacy obchodzący w tym roku jubileusz millenium koronacji króla Bolesława Chrobrego – świętują 1110-lecie koronacji pierwszego króla Tomisława, który na trwałe wprowadził ich do politycznego kręgu kultury łacińskiej. Władcy, który starał się balansować między potęgą Bizancjum a państwem Karolingów. „Slike Bleiburga" wspomina tragedię Chorwatów zaangażowanych w istnienie Niezależnego Państwa Chorwackiego, pędzonych 80 lat temu przez komunistycznych oprawców w słynnych kolumnach śmierci. Dla Chorwatów Bleiburg oznacza to samo, co dla Polaków Katyń. Perković przypomina, że ofiara tych męczenników była faktycznym zaczynem niepodległości w 1991 r.

Marko Perković „Thompson", „Hodočasnik", Coratia Records 2025

Odkurzone perły z lamusa

To wydawnictwo jest zbiorem interpretacji piosenek, w większości naprawdę starych i mało już pamiętanych nawet w Anglii, z którymi Paul Weller jako nastolatek stykał się w latach 60. i 70. Choć zaczynał na fali punkowej rewolucji z triem The Jam, jest konsekwentny w tym, co robi, od 50 lat. Już dawno bowiem przekroczył granice muzycznego rzemiosła, stając się kimś więcej niż muzykiem i pozostawiając niezatarty ślad w świecie dźwięku i stylu. Całość tworzy więc ciekawą mozaikę tropów ukazujących źródła fascynacji artysty, którego nie bez powodu nazywa się ojcem chrzestnym britpopu czy odrodzenia kultury modsów w końcu lat 70.

I to słychać na tej płycie zawierającej utwory, które odkurzył z pomocą wieloletniego gitarzysty i producenta Steve'a Cradocka. Zachowując wierność duchowi pierwowzorów, z pietyzmem nadali oni ich nowym aranżacjom trochę nostalgicznej i bardzo intymnej aury. Poza bardzo dobrym stałym zespołem Wellera przy nagraniach współpracowali także Robert Plant (Led Zeppelin) i Noel Gallagher (Oasis). Mamy tu więc zarówno brytyjską pieczęć, a więc The Kinks i nową wersję „Nobody's Fool", jak i Bee Gees ze starym hitem „I Started a Joke" z 1967 r., a także mniej znane piosenki, np. utwór „Small Town Talk" Bobby'ego Charlesa z 1972 r., uzupełniony uduchowionym wokalem i genialną sekcją dętą. Kołyszący „When You Are a King" White Plains z 1971 r., bluesowy „Pinball", który w 1974 r. stał się jednym przebojem aktora i muzyka Briana Protheroego, lub wydany pierwotnie w 1969 r. przez The Guerrillas przebój „Lawdy Rolla". Okazuje się, że zespół z Francji był zupełną efemerydą, a utwór wraz z jego twórcami pogrążył się w zapomnieniu na całe dziesięciolecia. Tymczasem nowa wersja zapomnianej piosenki jest jedną z najlepszych rzeczy, jakie Weller kiedykolwiek nagrał.

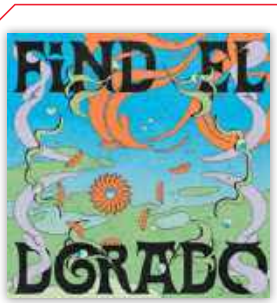

Paul Weller, „Find El Dorado", Parlophone 2025

I tak przechodzimy do wątku politycznego, bo rozpoczynający album utwór Richiego Havena z 2002 r. „Handouts In The Rain" w duecie z Declanem O'Rourkem porusza temat ubóstwa, nierówności i zdaje się, że celowo nabiera na aktualności. Cóż, Weller nie nigdy nie wyleczył się ze swego lewicowego idealizmu, któremu hołdował w latach 80. Tylko zamiast robotników dziś staje w obronie Palestyńczyków z Gazy.

Maciej Walaszczyk

eprasa.pl 848ef1d67b

HITY i KITY ZAREMBY

W poszukiwaniu dobrej młodzieży

*Recenzenci, których cenię, pochwalili film „Piep*zyć Mickiewicza 2". Sprawdziłem to, sięgając przy okazji po jedynkę. Oba filmy młodej reżyserki Sary Bustamante-Drozdek trafiły do Netfliksa*

W USA kino o szkole to niemal oddzielny, masowo produkowany gatunek. Mnie w tym przypadku odstraszał tytuł. Podejrzewałem pseudowolnościowy wulgarny wygłup. Tymczasem wieszcz nie ucierpiał. To żart nawiązujący do pewnej sytuacji z pierwszej części. Ma on przyciągnąć innych widzów niż ja. Skutecznie – druga część z półmilionową widownią prześcignęła jedynkę.

Część pierwsza operuje grubą kreską typową dla filmów szkolnych. Okropności, jakich dopuszcza się zbuntowana klasa IIb w liceum im. Stanisława Barei (tak, tak), wydają się – wraz z ich hip-hopową oprawą – bajkową przesadą. Podobnie jak późniejsza ewolucja tej klasy w pozytywnym kierunku dokonująca się pod wpływem osobowości nowego polonisty Jana Sienkiewicza (Dawid Ogrodnik). W tym podgatunku jest zapotrzebowanie na szybkie przemiany ludzi i optymistyczne finały.

W drugiej części filmu mamy już IIIb. Z awanturników gardzących nauką zmienili się w zwykłą klasę. Nadal lideruje im obdarzony literackimi zdolnościami Dante (Hugo Tarres). Wyzwaniem staje się przyjęcie nowego kolegi Korka (Karol Rot), chłopaka w spektrum autyzmu, mającego zasadnicze kłopoty w kontaktach z ludźmi.

Koledzy chcą mu przychylić nieba, więc na początek „pomagają" w... uwodzeniu koleżanek. W tle mamy inne wątki, zwłaszcza życie uczuciowe Dantego w relacjach z Nel (Wiktoria Koprowska), dziewczyną z problemami. Z kolei prof. Sienkiewicz romansuje z jej matką (Weronika Książkiewicz), szkolnym pedagogiem.

Streszczenie brzmi banalnie. A jednak oba filmy wydały mi się zaskakująco świeże, dialogi Kacpra Szymańskiego dowcipne, zwroty akcji zaskakujące. Oczywiście druga część nie przestaje być bajką. Każda z przedstawionych sytuacji z problemami Korka na czele mogła się zakończyć źle. Co więcej, te gorsze warianty są bardziej prawdopodobne. A my dostajemy w prezencie happy endy.

Na ile dostajemy gotowe klisze? Przekonuje się nas, że młodych mogą sprowadzić na dobrą drogę ludzie sami mający kiedyś problemy ze sobą – kimś takim jest Sienkiewicz. Ściera się on z wicedyrektorem Bobikiem (Jarosław Gruda), groteskowym zwolennikiem silnej ręki. Uznanie szkolnych rygorów za problem w dzisiejszych czasach brzmi mało przekonująco. Tyle że autorzy, przedstawiając te konflikty, na szczęście uniknęli ideologii.

Rozwiązania, które preferują, są przede wszystkim zdroworozsądkowe. Czy przestroga przed instrumentalnym traktowaniem seksu przez chłopaków wynika z konserwatyzmu, czy z feminizmu? Na szczęście dydaktyzm znów ma tu swoje granice – choć pada kilka zbyt deklaratywnych zdań. Przecież ci chłopcy są dziwnie niewinni, nadrabiają pozą, gadaniem. Część pierwsza to z kolei przestroga przed narkotykami. Te przesłania są mało nachalne, więc może skuteczne. No i oba filmy są hymnami na cześć empatii, przyjaźni.

Reklamowano je jako popis Ogrodnika. Aktor jest na swoim miejscu, ale trochę przyćmił go Hugo Tarres – w Teatrze Narodowym świetny Hamlet – jego Dante jest naprawdę obdarzony charyzmą i osobistym urokiem. W części drugiej w trudnej roli „bożego freaka" niezwykłe wrażenie robi 19-letni Karol Rot – Korek. Zresztą wszyscy są dobrze obsadzeni.

Dla mnie te filmy nabrały nagle wartości sentymentalnej. Kręcono je w warszawsko-praskim XXIII Liceum Ogólnokształcącym im. Marii Skłodowskiej-Curie, w którym wiele lat temu to ja uczyłem młodzież. Nawet jeśli cokolwiek naiwne, obie części emanują dobrą energią. No i powstaje część trzecia.

Piotr Zaremba

POLITGRAMOTA INSTYTUTU NARUTOWICZA

Byłem ciekaw tej książki, bo liczyłem na to, że poznam miarodajną krytykę powojennej antykomunistycznej partyzantki. Ale „Polityka pamięci »żołnierzy wyklętych« w Polsce" to zbiór ideologicznych zaklęć na temat nie tamtych czasów, a PiS

Kiedy recenzowałem tu książkę dr. Leszka Pietrzaka „Ostatnie polskie powstanie 1944–1963", wyraziłem pewne rozczarowanie. Sporo ciekawych przyczynków, ale niechęć do złapania byka za rogi. Czyli do debaty na temat sensu powojennego oporu zbrojnego. Marzę także o zmierzeniu się przez konserwatywnych historyków z zarzutami wobec tej partyzantki. Że niepotrzebnie rozlewała krew, a czasem (przypadek mjr. „Burego") dopuszczała się zbrodni.

Teraz wziąłem do ręki książkę „Polityka pamięci »żołnierzy wyklętych« w Polsce" Krzysztofa Jaskułowskiego i Piotra Majewskiego. Wydał ją Instytut Myśli Politycznej im. Gabriela Narutowicza. To nowy szyld dawnego Instytutu Dziedzictwa Myśli Narodowej im. Romana Dmowskiego i Ignacego Paderewskiego. Odebrano go narodowcowi Janowi Żarynowi. Dostał go lewicowiec Adam Leszczyński, dawny dziennikarz „Wyborczej", z zadaniem obrócenia wektorów o 180 stopni.

To odwrócił. Liczyłem na wiwisekcję i mitu, i realnej historii „wyklętych". Co dostałem? Napisany na 194 strony napuszonym, pseudonaukowym językiem traktat o tym, że PiS to formacja nacjonalistyczna, która stworzyła mit „wyklętych" metodą: „Kto nie czci, ten wróg". Ten mit ma służyć wykluczeniu we współczesnej Polsce kobiet, gejów, lewicowców. „Tę strategię wykluczania uzupełnia język – pozornie neutralny, w istocie głęboko zideologizowany" – oskarżają autorzy tej konsekwentnej politgramoty.

Cała reszta to swoisty strumień świadomości autorów, rozważających, czym jest nacjonalizm, tropiących „patriotyczny rap" albo dyskredytujących rtm. Pileckiego tym, że jest idolem kibiców, a oni są przecież antysemitami.

Już samo uznanie partii Kaczyńskiego za czysto nacjonalistyczną to błąd, a tak naprawdę instrument propagandy. Zdumiewające, jak łatwo można kamuflować siermiężną agitację naukowymi formułkami i gęstymi przypisami.

Obaj autorzy są socjologami, a nie historykami. Nie oferują więc debaty historycznej. Gorzej, że nie oferują żadnej debaty, jedynie arbitralny, wykluczający inaczej myślących monolog. Rząd Tuska, który wykreował fenomen politycznej placówki Leszczyńskiego, bierze odpowiedzialność za ten rodzaj „dyskursu".

„Zniknięcia" – horror wciąż może zaskoczyć

Musiałem zobaczyć „Zniknięcia" Zacha Creggera, skoro wybitny spec od kina gatunkowego Piotr Kletowski orzekł, że to prawdopodobnie najlepszy horror roku (rok się jednak nie skończył). Fakt, to sugestywne kino, podporządkowane jednej intencji: mamy być nieustannie zaskakiwani i czasem się bać

Miewam poczucie, że zaskakujące kino grozy to towar zanikający. A tu za pomocą kilku wątków równoległych widz raz za razem jest wprowadzany w błąd, kompletnie nie wie, w jaką stronę to zmierza. Notabene „Zniknięcia" to polski tytuł. Po angielsku film nazywa się „Weapons". Weapon to broń. Ciężko to nawet przełożyć, po polsku „broń" nie ma w zasadzie liczby mnogiej.

Czym są owe „bronie"? Odpowiem enigmatycznie: ludźmi. Punkt wyjścia znacie z zajawek. W pewnym amerykańskim miasteczku pewna klasa szkoły początkowej (u nas podstawówki) po prostu znika. W nocy z domów ucieka 17 dzieci poza jednym: Alexem. Policja nie potrafi trafić na żaden trop. Złość rodziców skupia się na Justine, nauczycielce. Nic na nią nie mają, ale w takich sytuacjach szuka się winnych. Przy okazji dowiadujemy się, że w amerykańskich podstawówkach jeden nauczyciel (najczęściej kobieta) uczy wszystkich przedmiotów aż do piątej klasy.

A potem dostajemy jazdę bez trzymanki. Owszem, tempo chwilami zwalnia, niektóre sytuacje oglądamy kilka razy – z perspektywy różnych bohaterów – ale jest coraz upiorniej. Patrzymy zadziwieni, długo nie wyczuwając, o co w tym chodzi. Dodajmy, że film nie podsuwa nam przy okazji żadnych tez społecznych czy obyczajowych. Mamy czekać z rozdziawionymi ustami na finał. To czekamy.

Nawet ten finał wszystkiego jednak nie wyjaśni. Zakończenie zostaje jakby ucięte. Nie dowiemy się, co miasteczko powie na wszystkie upiorności, które się zdarzyły. Dostajemy – będę się upierał – perfekcję kina tego gatunku. Wyróżnić trzeba Josha Brolina, chyba najbardziej znanego z obsady, tu w roli jednego z ojców, Julię Garner jako nauczycielkę i Amy Madigan jako... No właśnie, nawet nie bardzo chcemy wiedzieć, kto to tak naprawdę jest.

3 MIŁOŚCI

Globalna wioska offline

ROBERT TEKIELI

Pytanie brzmi: dlaczego dzieci Marka Zuckerberga żyją w globalnej wiosce offline, a twoje mają żyć w globalnej wiosce online?

Jeśli młody człowiek, dziecko czy nastolatek, korzysta ze smartfona codziennie powyżej trzech godzin, ryzyko prób samobójczych wzrasta u niego o 35 proc. Tak wynika z badań prof. Moniki Przybysz z UKSW. Ile godzin przed ekranami spędzają codziennie wasze dzieci czy wnuki?

Załamanie nerwowe u trzynastolatki, która opublikowała swoje wyretuszowane zdjęcie, by wydać się szczuplejszą, a miała nieszczęście być koleżanką złośliwca, który następnego dnia zamieścił w sieci to zdjęcie przed i po korekcie – tego typu historie dziś nie są już newsami. Są normą. Przyzwyczajamy się również do samobójstw dzieci, samobójstw indukowanych w podobny sposób.

W wojnie cyfrowej z własnym potomstwem już drugie pokolenie rodziców całego świata nadal prowadzi ryzykowne rozpoznanie bojem, a życiowe zgliszcza odsłonią się za 10, może 20 lat. I co wtedy?

Historia moich dzieci to również po części historia wojny z ekranami. Bój ten rozpoczął się jeszcze w XX w. W 1996 r. swój pierwszy Wielki Post po nawróceniu postanowiliśmy z O. przeżyć, całkowicie wyłączając telewizor. W Święta Wielkanocne okazało się, że nie jest on nam już do niczego potrzebny. I ekranów nie było w naszym życiu przez następne cztery lata. Do momentu, gdy najstarszy syn poszedł do przedszkola. Okazało się, że nie zna bohaterów bajek, które kojarzą wszystkie pozostałe dzieci. Nie wie, o czym się mówi ani co się podziwia. „Się" rządzi. Moda definiuje socjalizację piątego już chyba pokolenia w naszej cywilizacji. Zaczęliśmy więc sadzać go przed telewizorem. Jednak chował się za fotelem nawet przy „Rozbójniku Rumcajsie". Jego „reedukację" prowadziliśmy zatem za pomocą wyselekcjonowanych bajek puszczanych na VHS.

Potem sprawy przyspieszyły. Metody, do których się uciekaliśmy, by ekrany nie ukradły nam naszych dzieci, za parę lat zapewne zostaną uznane w Kanadzie za tortury. Zamykane solidne drewniane pudełko, do którego trafiały telefony komórkowe po powrocie ze szkoły, umowy podpisywane z niektórymi z szóstki naszych dzieci ograniczające czas na gry komputerowe, jeden ogólnodostępny komputer na cały dom, zapisy... Przegrywaliśmy wszystkie te bitwy. Jednak największy szok wywołało przyspieszenie pokoleniowej wojny cyfrowej, które nastąpiło w latach 2017–2018. Widzimy to w zmaganiach o wrażliwość i umysłowość naszej najmłodszej córki.

Dowiedziono, że nadmierne korzystanie z urządzeń elektronicznych nie tylko zaburza nasze relacje w świecie rzeczywistym, prowadzi do zaburzeń nastroju, stanów depresyjnych, lecz także destrukcyjnie wpływa na naszą gospodarkę hormonalną

Mimo iż prowadzana do szkół podstawowych wyłącznie katolickich, T. miała rówieśników, którzy zostali wrzuceni przez rodziców w paszcze ekranów dotykowych. Słuchaliśmy historii o dwulatku z tabletem, widzieliśmy smartfony w rękach dziewięciolatek. Dziś T. ma 17 lat i nieomal sama decyduje o czasie przebywania w sieci. A moje przekonanie jest coraz silniejsze. Abdykowaliśmy. Poniesiemy tego konsekwencje.

Mark Zuckerberg nie pozwala własnym dzieciom korzystać z Facebooka. W kontekście ograniczania ekspozycji na ekrany, miliarder zainwestował w firmę Yoto, która z myślą o dzieciach tworzy głośniki bez ekranu. Dyskryminując je dotykowo.

Jedna na trzy dziewczynki, które aktywnie działają w sieci, ma problemy psychiczne – tak wynika z wewnętrznych badań zamówionych przez tego samego Facebooka. Zgadzam się z Markiem Zuckerbergiem – dzieci nie powinny korzystać ze smartfonów.

Prawie 40 proc. studentów londyńskiego uniwersytetu King's College jest uzależnionych od ekranów dotykowych – wykazały badania nad korzystaniem z tych urządzeń przez 1043 studentów w wieku 18–30 lat.

Silne uzależnienie powoduje wzrost wydzielania adrenaliny, dopaminy i serotoniny, czyli hormonów odpowiedzialnych za poczucie szczęścia, pobudzenia i aktywności. Dowiedziono, że nadmierne korzystanie z urządzeń elektronicznych nie tylko zaburza na-

eprasa.pl 848ef1d67b

sze relacje w świecie rzeczywistym, prowadzi do zaburzeń nastroju, stanów depresyjnych, lecz także destrukcyjnie wpływa na naszą gospodarkę hormonalną.

Niekontrolowane, nadmierne korzystanie z mediów cyfrowych degraduje nie tylko intelekt – dotknięte są również sfery woli i uczuć, a przede wszystkim kaleczone są zachowania społeczne.

Psychiatrzy z uniwersytetu w Heidelbergu zaobserwowali u osób uzależnionych od telefonów ubytek w istocie szarej mózgu. Badania rezonansem magnetycznym wykazały u nich również obniżoną aktywność w wybranych rejonach mózgu. Podobne zmiany zaobserwowano w mózgach osób uzależnionych od narkotyków.

Uzależnienie rozwija się w sposób następujący: na początku mamy okres fascynacji nowymi możliwościami, potem następuje czas znajdowania w sieci różnych metod pomocnych w odprężeniu się i likwidowaniu różnego rodzaju dyskomfortów (napięcia psychicznego, poczucia samotności itp.), potem etap regularnego korzystania z tych metod, postępujące ograniczanie kontaktów z bliskim otoczeniem na rzecz kontaktów wirtualnych, poczucie dyskomfortu w sytuacjach ograniczonego dostępu do internetu i wreszcie pojawienie się problemów społecznych, zdrowotnych czy finansowych uzależnionego.

Widziałem, jak odebranie tabletu trzylatkowi kończyło się histerią. „Ale on jedynie oglądał na nim bajki, grał w edukacyjne gry, uczył się angielskiego" – mówią rodzice...

Pomijam tu bardziej oczywiste zagrożenia: ponad trzy czwarte młodych ludzi miała kontakt z niebezpiecznymi treściami w internecie. Niemal co trzeci badany widział w sieci sceny okrucieństwa i przemocy, a co czwarty – treści dotyczące sposobów samookaleczania się oraz zachęcające do obrażania innych lub dyskryminujące. A do tego dochodzi jeszcze jedna pułapka, masywnie niszcząca duszę i ciało – pornografia.

W ciągu dosłownie ostatnich tygodni w sieci pojawiło się kilkanaście mających milionowe widownie filmików przedstawiających humanoidalne roboty o ponętnych kobiecych kształtach i przepięknych twarzach, częściowo pokryte imitacją skóry, z częściowo odsłoniętym „technologicznym" wnętrzem. Na reklamowych stop-klatkach uchwycono gesty androidowych serwisantów, które – gdyby humanoidki były żywymi dziewczynami – byłyby formą seksualnej agresji. Obietnica płynąca z takich reklamówek jest dość klarowna. Oto – mówią technologiczni demiurgowie – już za chwilę na wyciągnięcie ręki będziesz miał, młody człowieku, inteligentne i posłuszne seksowne prawie dziewczyny... Jakiś czas temu pisałem tutaj o książce Michaela Jonesa „Libido dominandi" – nosi ona podtytuł „Seks jako narzędzie kontroli społecznej".

Kompulsywne korzystanie ze smartfonów zaburza całą gospodarkę hormonalną, sprzyja depresji, agresywnym zachowaniom. Destrukcyjnie wpływa na cały nasz organizm. Cyfrowe media prowadzą do uzależnień i kradną nam sen, niekorzystnie wpływają na naszą pamięć, degradująco wyręczają nas

w pracy umysłowej. Zakłócony rozwój mózgu, zwłaszcza w jego czołowych partiach odpowiedzialnych za funkcje społeczne i kontrolę uwagi, owocuje pojawieniem się syndromu deficytu uwagi i wzmożonych występowaniem stanów depresyjnych. Do tego dochodzą zakłócenia rozwoju mowy, problemy z nauką i koncentracją, stres, depresja i narastająca gotowość do stosowania przemocy fizycznej.

Jest więc oczywiste, że jak najdłuższe odsunięcie w czasie kontaktu dziecka z cyfrowymi mediami jest absolutnie niezbędne. Elastyczność umysłu młodego człowieka jest tak duża, że może on zostać trwale zniekształcony. To najlepszy, a właściwie jedyny sposób ochrony naszych dzieci. Ilu rodziców wydało skuteczne bitwy temu zagrożeniu?

Ale przecież nie chodzi tylko o dzieci. Przeciętny użytkownik klika w smartfon średnio 2617 razy dziennie. Jeśli to nie jest pandemiczne uzależnienie, to co nim jest?

Natomiast o tym, co robi z wrażliwością codzienne używanie ekranów, na których króluje fikcja, a której nasza podświadomość nie odróżnia od rzeczywistości, mówi nasza historia.

Po czteroletnim poście od migoczących obrazów O. przypadkowo zobaczyła u naszych sąsiadów horror. Scena odcinania ręki jednego z bohaterów tej fikcyjnej historyjki za pomocą piły łańcuchowej wywołała u niej reakcję fizjologiczną. Podświadomość współczesnego człowieka jest zmiażdżona przez wylewający się z ekranów potok obrazów, które konkurują o naszą uwagę brutalnością czy intensywnością. Żyjemy z trwale otępiałą wrażliwością.

Moje doświadczenie mówi, że głębokiej modlitwy, takiej, jaka odnawia ludzkie wnętrze, nie da się prowadzić, nie porzucając angażujących naszą podświadomość strumieni obrazów. Dla ilu ludzi jest to możliwe? Ilu z nas jest gotowych wyprowadzić się z globalnej wioski online? Szukać innej rozrywki niż internet i media społecznościowe? Całkowicie porzucić ekrany, odrzucając obrazy preparowane tak, by niszczyć naszą wewnętrzną równowagę? Pytanie brzmi: jakie przykładamy miary do naszego życia? I co jest w nim najważniejsze?

eprasa.pl 848ef1d67b

Deweloperzy będą budować... schrony

Polska ma za mało schronów, by zapewnić bezpieczeństwo swoim obywatelom. Na Mazowszu jest ich niespełna 300, w Łódzkiem – 77, a Lubuskiem – okrągłe 0. Polacy nie mają się gdzie schować, gdyby wybuchła wojna. Czy sytuacja poprawi się dzięki deweloperom, na których rząd nałożył obowiązek zbudowania schronów?

W Polsce jest nieco ponad 1,9 tys. schronów, które mogą pomieścić 300 tys. osób. To zaledwie 4 proc. populacji naszego kraju. Oprócz tego istnieje blisko 8,7 tys. miejsc ukrycia i więcej niż 224 tys. tzw. miejsc doraźnego schronienia. Łącznie daje to ponad 233 tys. obiektów ochronnych. Niewiele, ale ma się to zmienić, bo od połowy przyszłego roku deweloperzy będą mieć obowiązek zapewnienia certyfikowanego schronienia dla mieszkańców nowego bloku mieszkalnego.

POSZUKAJ NA MAPIE

Obiekty zbiorowej ochrony dzielą się na budowle ochronne, czyli schrony i słabiej wyposażone (niehermetyczne i o mniejszej grubości ścian) ukrycia, oraz na miejsca doraźnego schronienia, którymi mogą być chociażby piwnice, garaże podziemne czy metro.

Największy poziom bezpieczeństwa gwarantują oczywiście schrony, które wyróżnia zamknięta konstrukcja oraz wyposażenie w urządzenia filtrująco-wentylacyjne.

Jest ich jednak mało, a do tego nie wiadomo, gdzie ich szukać, ponieważ są fatalnie oznakowane. Można je zlokalizować dzięki mapie stworzonej przez Państwową Straż Pożarną. Powstała ona na podstawie inwentaryzacji przeprowadzonej na przełomie 2022 i 2023 r.

– Aby zobaczyć, gdzie znajduje się najbliższy schron, należy wejść do aplikacji Schrony (schrony.straz.gov.pl), a następnie wpisać swój adres i ustalić promień poszukiwań. Mapa podaje m.in. takie szczegóły, jak powierzchnia interesujących nas obiektów, liczba osób, które mogą się pomieścić wewnątrz oraz przeznaczenie danego punktu, np. czy jest przeznaczony dla mieszkańców, czy zakładów pracy – wyjaśnia nam st. bryg. Karol Kierzkowski, rzecznik prasowy komendanta głównego Państwowej Straży Pożarnej.

ROZTERKI DEWELOPERÓW

Ustawa o ochronie ludności, która nakazuje wznoszenie budowli ochronnych, ma wejść w życie w połowie 2026 r. Deweloperzy mają do niej wiele zastrzeżeń, choć przyznają, że zapewnienie bezpieczeństwa mieszkańcom na wypadek wojny jest obecnie jednym z największych wyzwań.

Michał Leszczyński z Polskiego Związek Firm Deweloperskich (PZFD) mówi nam, że rozporządzenie do ustawy dotyczące organizowania miejsc doraźnego schronienia (MDS), które mają się znaleźć w podziemnych kondygnacjach każdego budynku wielorodzinnego, nie precyzuje wszystkich obowiązków, jakie muszą spełnić inwestorzy i projektanci.

Najwięcej wątpliwości budzi zabezpieczenie przeciwpożarowe. Wymaga się, aby MDS ograniczały rozprzestrzenianie się ognia i dymu, lecz nie wskazuje, w jaki sposób to osiągnąć. Nie wiadomo też, jakie warunki bytowe powinno zapewniać pomieszczenie, żeby można było w nim przebywać bez przerwy przez 72 godziny. Deweloperzy nie wiedzą, czy będą także odpowiadać za zapewnienie zapasów wody i energii, system odprowadzania ścieków i drogi ewakuacyjne. Zapytali o to Ministerstwo Spraw Wewnętrznych i Administracji, ale na razie nie otrzymali odpowiedzi.

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 848ef1d67b

Budowanie schronów wymaga zastosowania zaawansowanych technologii i materiałów, odpowiedniej wentylacji, izolacji akustycznej i termicznej, a także systemów zasilania awaryjnego. Tymczasem deweloperzy twierdzą, że na rynku nie ma elementów wentylacji o parametrach wskazanych w rozporządzeniu, podobnie jak spełniających odpowiednie normy bram i drzwi. Pojawiają się też wyzwania logistyczne związane chociażby z koniecznością zapewnienia dróg ewakuacji i zabezpieczeń przeciwpożarowych.

CENY W GÓRĘ?

„Ustawa schronowa" może wpłynąć na wzrost cen nieruchomości, chociażby dlatego, że inwestorzy będą musieli wybudować garaże o wzmocnionych stropach. Jak bardzo ceny pójdą w górę? Deweloperzy uchylają się od dokładnego szacowania kosztów, ponieważ – jak twierdzą – przepisy dotyczące m.in. wymogów technicznych inwestycji są nieostre.

Może jednak nie będzie aż tak źle, ponieważ firmy budujące nowe bloki mieszkalne mogą się ubiegać o dotacje celowe pokrywające do 100 proc. kosztów związanych ze stworzeniem lub adaptacją obiektów ochronnych. Kłopot w tym, że przyznanie dotacji nie jest automatyczne. Jest to uprawnienie, a nie obowiązek organów administracji. W praktyce może to oznaczać, że wnioski będą rozpatrywane indywidualnie, kwota dotacji będzie uzależniona od puli środków przeznaczonych na ten cel w danym roku budżetowym (budżet na zadania związane z ochroną ludności i obroną cywilną, w tym na budowę schronów, wynosi co najmniej 0,3 proc. PKB rocznie, ale środki te są rozdzielane na wiele różnych celów), w pierwszej kolejności pieniądze otrzymają inwestycje położone w rejonach o podwyższonym ryzyku, czyli najbardziej narażone na skutki nieprzyjacielskiego ataku, najmocniej zurbanizowane.

Dodatkowo w najbliższym czasie trzeba będzie przeprojektowywać inwestycje, aby otrzymać pozwolenia na budowę zgodnie z „ustawą schronową" i zapisami znajdującymi się w planach miejscowych. Gminy muszą je uchwalić do połowy przyszłego roku. Czy ustawa o ochronie ludności stwarza jakieś dodatkowe problemy dla samorządowców, którzy powinni uwzględnić w swoich inwestycjach cele związane z ochroną ludności?

O odpowiedź poprosiliśmy Dawida Chrobaka, radcę prawnego i burmistrza Zakliczyna w województwie małopolskim, a jednocześnie wiceprzewodniczącego Związku Samorządowców Polskich. – Na terenie naszej gminy nie operują deweloperzy, więc problem „schronów" w planach miejscowych nas nie dotyczy. Jednak od zaprzyjaźnionych samorządowców wiem, że trafiają już do nich zapytania firm trudniących się budową bloków wielorodzinnych – mówi Dawid Chrobak.

Liczba miejsc ukrycia i schronów

Województwo	Miejsca ukrycia	Schrony
śląskie	2378	201
mazowieckie	1784	293
pomorskie	993	285
wielkopolskie	975	130
podkarpackie	772	130
małopolskie	680	44
podlaskie	488	22
zachodniopomorskie	445	232
dolnośląskie	437	152
opolskie	393	74
lubelskie	271	24
łódzkie	262	77
świętokrzyskie	261	89
warmińsko-mazurskie	227	55
kujawsko-pomorskie	181	170
lubuskie	75	0

Źródło: Państwowa Straż Pożarna

APTECZKI, RADIOSTACJE, GAŚNICE

Co najmniej trzy litry wody na osobę dziennie i żywność o długim okresie przydatności do spożycia, a także apteczki (1 na 20 osób), radioodbiorniki – to niektóre z elementów niezbędnego wyposażenia budowli ochronnych, które wyszczególniono w rozporządzeniu MSWiA. Nie mniej istotne są miejsca do odpoczynku dla co najmniej połowy osób przebywających w danej budowli ochronnej. Każde takie miejsce musi się składać z łóżka i koca lub śpiwora oraz z maty izolującej.

Nieodzowne są również radiostacje, telefony stacjonarne i komórkowe oraz megafony lub inny sprzęt służący do przekazywania informacji wewnątrz budynku. Do tego dochodzą latarki wraz z zapasowymi bateriami (1 na 5 osób), środki do dezynfekcji i higieny, gaśnice, dokumenty z planem ewakuacji, a także sprzęt pozwalający na skorzystanie ze schronu osobom z niepełnosprawnościami.

Nadzór nad budowlą ochronną ma sprawować właściciel lub zarządca budynku, ewentualnie podmiot zewnętrzny. Ma on obowiązek utrzymywania obiektu w dobrym stanie technicznym. Kontrole będą przeprowadzane nie rzadziej niż raz na pięć lat.

W przypadku części już istniejących instalacji ochronnych, które pamiętają czasy zimnej wojny, ich utrzymanie może się okazać bardzo trudne, ponieważ znajdują się one w opłakanym stanie. Szacuje się, że na doprowadzenie ich do stanu używalności potrzeba prawie 3 mld zł.

SCHRON W OGRODZIE

Znowelizowane prawo budowlane w Polsce zezwala również na inwestowanie w przydomowe schrony o powierzchni do 35 m². Na ich utworzenie nie potrzeba pozwolenia – wystarczy jedynie zgłoszenie. Budowla tego typu może znajdować się pod ziemią lub być częściowo zagłębiona w gruncie. W Polsce popyt na przydomowe schrony wciąż rośnie, na co decydujący wpływ ma wojna na Ukrainie.

Koszt budowy takiego schronienia zależy od wielu czynników, m.in. od jego wielkości, użytych materiałów czy wyposażenia. Ceny podstawowych konstrukcji zaczynają się od 120 tys. zł. Za komfortowy schron o powierzchni ok. 35 m² trzeba zapłacić nawet 500 tys. zł. Większe obiekty (dla 8–14 osób) mogą kosztować nawet dwa razy więcej.

Grzegorz Szafraniec

eprasa.pl 848ef1d67b

JAROSŁAW NOWAK*

Smaki z głębi tradycji

W nowej edycji cyklu „Zabójcze potrawy" Jarek Nowak przeniósł się również na północny wschód Polski – do krainy tysiąca jezior, gęstych lasów i bogatych tradycji myśliwskich. To region, w którym od wieków kultywuje się sztukę polowania, a dziczyzna stanowi ważny element lokalnej kuchni. Na jego szlaku nie zabrakło kulinarnych doznań – skosztował aromatycznej dziczyzny przygotowanej według tradycyjnych receptur. Lokalni pasjonaci pielęgnujący łowieckie dziedzictwo przyłożyli się, by dowieść i dziennikarzowi, i widzom, że Mazury to nie tylko raj dla miłośników przyrody, lecz także dla smakoszy cenią- cych dzikie smaki prosto z lasu.

Trzeci już sezon „Zabójczych potraw" można oglądać w Zoom TV. Proponowana przez twórców programu podróż po różnorodności kulinarnej świata pokazuje, jak kategorie „pyszne" i „niejadalne" zmieniają się w zależności od szerokości geograficznej. Kolejne odcinki dostarczają również wielu cennych dla turystów porad i podpowiedzi, m.in. czego nie jeść, by nie narazić zdrowia i życia podczas podróży. Przede wszystkim jednak otwierają oczy (i kubki smakowe) na zróżnicowanie kulinarnych tradycji w mikro- i makroskali.

Fot. Materiały prasowe

Podhale i Podlasie? A jednak to właśnie tutaj antropolog i obieżyświat Jarek Nowak w kolejnej odsłonie programu podróżniczo-kulinarnego „Zabójcze potrawy" zderzył się z kuchnią, która mogłaby zaskoczyć największych śmiałków.

Na południu czekały na niego mózg barana, końskie nerki i koguci grzebień. Przygotowane pod okiem Walentego Kani, mistrza i znawcy kuchni staropolskiej, odkryły przed podróżnikiem niesamowite tradycje tego regionu Polski.

Z kolei Podlasie do wyjątkowych walorów kulinarnych dodało jeszcze mistyczne doznania. Wizyta u Karoliny Morawskiej, zielarki i szeptuchy, okazała się pełnym niespodzianek spotkaniem z dawnymi rytuałami i ziołolecznictwem. Wędrówka po Podlasiu została doprawiona smakami regionu, w którym nic się nie marnuje: salceson, kiszka na surowo, chrapy łosia, ogon bobra i bimber znad Bugu.

Sławek „Koci łeb", mistrz wędzonek i domowych trunków, pokazał przed kamerami, że smak prawdziwej tradycji jest intensywny, dymny i nieco niebezpieczny.

Jolanta Gajda-Zadworna

**Smakosz i antropolog, prowadzący program „Zabójcze potrawy"*

eprasa.pl 848ef1d67b

SŁODKO-SŁONY

Na upały

ANNA MONICKA

Zanim na dobre rozpocznie się dyniowe szaleństwo (na razie na straganach królują malutkie dynie hokkaido i niewiele większe piżmowe, bo jednak susza daje się we znaki), warto zainteresować się kuzynką dyni – cukinią, którą z kabaczka wyhodowali Włosi. Zdaje się, że brak deszczu mniej jej przeszkadza i w wielu rejonach tegoroczne plony zapowiadają się rekordowo.

Kiedyś wydawała mi się warzywem bez smaku, które może być dodatkiem i wypełniaczem, ale dziś coraz częściej traktuję cukinię jako samodzielne danie. Mam wielu znajomych, którzy jej nie przyrządzają, bo ich zdaniem jest zbyt wodnista. Ja tak nie uważam – „wytopiony" sok jest pyszny, poza tym plastry czy kostki zawsze można odrobinę posolić na sicie przed smażeniem (jak bakłażana) i poczekać kilkanaście minut, aż nadmiar płynu odcieknie do miski. Kiedyś robiłam z niej warzywne gulasze i łączyłam cukinię z różnymi paprykami, selerem naciowym, pomidorkami koktajlowymi, oliwkami. Teraz coraz częściej smażę, piekę czy duszę samą, dobieram tylko odpowiednią posypkę z pachnącego sera dojrzewającego, mozzarelli czy jakiś kontrastowy sos. Podaję z ryżem, makaronem, niepaloną kaszą gryczaną.

Warzywo ma same zalety – mnóstwo błonnika i witamin, mało kalorii, niski indeks glikemiczny, co sprawia, że mogą się nią zajadać chorzy na cukrzycę. Jest lekkostrawna, chyba że sami zalejemy ją za tłustym sosem lub obtoczymy w panierce. Dodatkowym atutem jest fakt, że nie kumuluje metali ciężkich czy azotanów – jak sałaty czy szpinak – więc można ją jeść także na surowo. No i cena – zdecydowanie zachęcająca do zakupów i kulinarnych eksperymentów.

Ostatnio zajadam się duszonymi na oliwie talarkami z odrobiną posiekanego pora, którym zastępuję cebulkę. Obieranie trwa najdłużej, bo cukinia powinna zachować chrupkość. Przyprawiam wędzoną solą w płatkach oraz odrobiną suszonego czarnego czosnku. Do tego biały ryż jaśminowy robiony po arabsku na patelni (umyty, obsmażony pół minuty na oliwie i zalany osolonym cytrynowym bulionem w proporcji 1 kubek ryżu na 2 kubki płynu, gotowany pod przykryciem bez mieszania, dopóki wszystkiego nie wchłonie).

Uwielbiam też cukiniowe wstążki – pokrojone cienko warzywo trzeba posolić, odcedzić nadmiar soku, polać sokiem z limonki, po kilku minutach znów odcedzić i wymieszać z posiekaną natką pietruszki oraz miąższem z pomidorków. Na wierzchu rozkruszamy ser szopski i posypujemy prażonymi płatkami migdałów oraz listkami bazylii.

Fot. Shutterstock

WILCZYM OKIEM

Między tupają a ośmiornicą

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Zgodnie z systematyką zoologiczną dany łańcuch czterech zwierząt układa się następująco: tupaja, kot, sroka, ośmiornica. Taka kolejność porządkuje je od stojących najwyżej w systematyce do stojących najniżej.

Tupaja to ssak z Azji Południowo-Wschodniej. Na pierwszy rzut oka powiedziałoby się o niej, że jest wiewiórką, jednak klasyfikuje się ją – co bardzo intrygujące – tuż poniżej ssaków naczelnych. To niemal szczyt drabiny – ssakami naczelnymi jesteśmy np. my, ludzie.

Mimo wysokiej pozycji systematycznej tupaja nie porywa się na rzeczy wielkie. Pędzi życie małego, roślinożernego stworzenia, mającego swoje miejsce w ekosystemie tropikalnych lasów. Nie zalicza się jej do zwierząt uważanych za wyjątkowo inteligentne – wcześniejsze porównanie do wiewiórki chyba może być trafne zarówno odnośnie do wyglądu, jak i zdolności umysłowych.

Kot, chociaż w hierarchii systematycznej stoi niżej od tupai, wykazuje się większą inwencją w działaniu, co jest zapewne świadectwem większej inteligencji.

Sroka jako ptak w ujęciu systematycznym plasuje się niżej niż kot. Jednak wzajemne interakcje zachodzące nie raz między tymi zwierzętami mogłyby być ilustracją powiedzenia o wodzeniu za nos lub ogon i to sroka jest w tym przypadku wodzącym, a kot wodzonym. Ten ptak pozostaje uosobieniem przysłowiowej mądrości krukowatych i wykazuje się nią w wielu sytuacjach.

Najniżej systematycznie, oddzielona dodatkowo rozmaitymi gromadami kręgowców, usytuowana jest ośmiornica. To mięczak, jak ślimak czy małż, o bardzo uproszczonym układzie nerwowym, w zasadzie pozbawiony czegoś takiego jak mózg.

Ośmiornica jest jednak przeciwieństwem ślimaków albo małży. Jeśli o którymś z wcześniej wymienionych zwierząt można powiedzieć, że jego inteligencja aż skrzy, to chyba właśnie o ośmiornicy. Przytoczmy tu nie tylko klasyczne umiejętności odkręcania słoika czy omijania szklanej ściany akwarium i sięgania ponad nią po kraba, lecz także nieodparte wrażenie, jakie się ma, patrząc z bliska na ośmiornicę, że widzi się stworzenie, które chwilami wydaje się traktować nas z wyższością.

Tradycyjne ujęcie systematyczne zostaje odwrócone, jeżeli przyjrzeć się wymienionym zwierzętom przez pryzmat inteligencji. Pokazuje to, jak różnie można próbować uporządkować otaczający nas świat przyrody i że ujęcie klasyczne – wcale mu nie ujmując – nie musi być jedynym.

eprasa.pl 848ef1d67b

WOJCIECH RESZCZYŃSKI

Ślepi i głusi

Unia Europejska zdążyła nas przyzwyczaić, że nie mówi pełnej prawdy. Ale przewodniczącej Komisji Europejskiej Ursuli von der Leyen, która jako minister obrony RFN rozłożyła własną armię na łopatki, czasami jednak coś się wymknie. Dowodem jest jej wypowiedź dla brytyjskiego „Financial Times". Stwierdziła, że Europa ma „dość precyzyjny" plan wysłania wojsk na Ukrainę, omówiony z USA w czasie spotkania Donalda Trumpa z Wołodymyrem Zełenskim i przywódcami zachodnimi. Ameryka ma zabezpieczać rozmieszczenie tysięcy wojsk wielonarodowego korpusu złożonego z Francuzów i Anglików, o Niemcach nie wspomina. Ponoć ministrowie obrony tzw. koalicji chętnych opracowują już szczegółowe plany obecności wojskowej na Ukrainie.

Od czasu tego wywiadu nie wiemy nic więcej na temat gwarancji bezpieczeństwa dla Ukrainy, szefowa KE milczy. A była okazja, by ją o to zapytać na spotkaniu z Donaldem Tuskiem pod zaporą na granicy z Białorusią. Von der Leyen pierwszy raz zobaczyła solidny metalowy mur zbudowany w czasach rządów PiS za polskie, a nie europejskie pieniądze. Oczywiście o tym Tusk nie wspomniał, a wyselekcjonowani dziennikarze nie pytali, dlaczego jeszcze nie tak dawno zwalczał powstanie tej zapory, jak i nie nawiązali do dość otwartej wypowiedzi von der Leyen dla „FT".

Jeżeli mówiła prawdę, nie sposób przypomnieć innej zachodniej inicjatywy broniącej integralności Ukrainy. Chodzi o tzw. memorandum budapeszteńskie z 1994 r., w którym gwarancji suwerenności państwowej Ukrainie, Białorusi i Kazachstanowi udzielały USA, Wielka Brytania i... Rosja w zamian za przekazanie broni jądrowej Moskwie. A sięgając w głąb naszej historii, trzeba przypomnieć gwarancje bezpieczeństwa Francji i Anglii udzielone Polsce przed II wojną światową. Tamte i te nowe gwarancje mają podobną siłę i podobnie się zakończą, czyli na niczym, tym bardziej że Putin nie zgadza się na zachodnie gwarancje, gdyż chce zadeklarować Ukrainie także swoje. Równocześnie kanclerz Niemiec Fridrich Mertz mówi dla francuskiej telewizji LCI: „Mamy nadzieję, że kiedyś znów będziemy żyć w dobrym sąsiedztwie z Rosjanami". Świadomie czy nieświadomie nawiązał do słów Putina na Westerplatte 1 września 2009 r., że Europa zawsze była zgodna, gdy Niemcy i Rosja prowadziły wspólną politykę pokojową. Dziś rosyjski przywódca odrzuca Niemcy jako mediatora w wojnie na Ukrainie. Ale jutro? No bo o jakie „sąsiedztwo" z Rosją chodziło Mertzowi? A co z Polską?

Mimo usilnych starań Trumpa sytuacja wokół wojny na Ukrainie przybiera coraz gorsze formy. Zapowiedź wysłania wojsk na Ukrainę, uruchomiony fundusz pożyczek na europejskie zbrojenia w wysokości 150 mld euro, nagła potrzeba inwestowania przez kraje NATO w drony, obronę powietrzną, antyrakietową, zapowiedź dalszych szkoleń ukraińskich żołnierzy – to fakty z arsenału przygotowań do wojny na szerszą skalę. Nieco z rozmów, jakie toczyły się za kulisami, ujawnił ostatnio prezydent Andrzej Duda. Przyznał, że Zełenski próbował wciągnąć Polskę do wojny z Rosją. „Oni od początku próbują wciągnąć wszystkich w wojnę [...] a najlepiej, gdyby udało się wciągnąć w wojnę kraje NATO".

Mam nadzieję, że w MON wsłuchują się także w opinie niezależnych ekspertów od bezpieczeństwa, nawet jeśli są to tylko dziennikarze, jak Marek Budzisz. W poprzednim numerze „Sieci" redaktor zamieszcza mapkę Polski gęstą od punktów wskazujących miejsca urządzeń sieciowych kontrolowanych przez rosyjskie służby wywiadowcze. W dronach zestrzelonych nad Polską i Litwą Rosjanie umieszczają karty SIM miejscowych operatorów telefonii komórkowej w celu naprowadzania i korygowania toru lotu swoich dronów. Informacje te pochodzą od ukraińskich specjalistów od wojny radioelektronicznej. Tymczasem ze strony szefa MON pada zapowiedź zakupu za dwa lata amerykańskiego systemu (1 mld dol.) wykrywania dronów zbudowanego na podstawie „aerostatów radarowych". Taki właśnie system „dźwiękowej detekcji", o wiele tańszy, zbudowali już Ukraińcy i obejmuje on – jak pisze Budzisz – „10 tys. czujników, sieć łączności, analizy danych i ich dystrybucji".

A my jesteśmy wciąż ślepi i głusi jak kocięta, gdyż rosyjskiego drona z Osin w ogóle nie wykryto, a potem mówiono o prowokacji, dronie wabiku i inne bzdury. Polska nie jest przygotowana do obrony radioelektronicznej i w żadnym razie nie może się włączyć w europejską ekspedycję wojenną na Ukrainie, jeśli w ogóle do niej dojdzie. Bo Europa nie jest przygotowana na konfrontację militarną z Rosją.

Wspomniana von der Leyen przekonała się o tym na własnej skórze. Jej samolot lecący do Bułgarii wskutek zakłócenia przez Rosjan systemu GPS lądował awaryjnie na lotnisku w Płowdiwie. Piloci musieli sobie przypomnieć, jak wyglądają lotnicze papierowe mapy nawigacyjne i wylądowali jak kiedyś, gdy nie było jeszcze elektroniki satelitarnej.

Tymczasem podczas spotkania Trump–Nawrocki usłyszeliśmy, że USA utrzymają, a nawet mogą zwiększyć swoją obecność wojskową w Polsce! Dobra wiadomość!

www.wojciechreszczynski.pl

OGNIEM NA WPROST

Rojenia o zwycięstwie

Andrzej Rafał Potocki

Kacapy z grupy dronowej założyli bazę w jednym z wieżowców w miejscowości położonej w obwodzie chersońskim. Ponieważ budynek, tak na oko (film) miał 8–10 pięter wysokości i górował nad okolicą, wydawać by się mogło, że idealnie nadaje się do zapewnienia łączności z bezzałogowcami na duże odległości. Zainstalowano w nim bazę dla ekipy „dronowładnej". Ukraińcy namierzyli sporą aktywność w tym obiekcie za pomocą dronów obserwacyjnych, a następnie podjęli decyzję o jej zniszczeniu. Do skrzydeł przerobionego samolotu szturmowego Su-27 podczepiono amerykańską bombę precyzyjnego trafienia w wersji GBU-32 z głowicą Mk 83 o masie 450 kg. To wystarczyło. Na załączonym wideo widać, jak trafiony budynek w kilka sekund zamienia się w jedno wielkie gruzowisko. W jego ruinach zostało zasypanych co najmniej kilkudziesięciu żołnierzy wroga. Część ukraińskich źródeł podaje, że wewnątrz mogło znajdować się nawet 200 osób. Tak czy inaczej akcja spektakularna i zakończona pełnym sukcesem. Wideo pod linkiem https://x.com/bayraktar_1love.

Głos dał szef Sztabu Generalnego Sił Zbrojnych Kacapii gen. Walerij Gierasimow. „Wojska Federacji prowadzą nieprzerwaną ofensywę na całej długości frontu na Ukrainie" – stwierdził z wrodzoną Moskalom bezczelnością. Jak ta „ofensywa" wygląda, pisaliśmy tydzień temu. Andrij Kowałenko, szef ukraińskiego rządowego Centrum Przeciwdziałania Dezinformacji (CPD), ostrzegał w sierpniu, że Kreml próbuje przekonać Zachód, iż armia Moskali zajmie cały Donbas, czyli obwody ługański i doniecki, jeszcze w tym roku. Na podstawie konkretnych danych ta „wielka letnia ofensywa" doprowadziła jak do tej pory do zajęcia 0,5 proc. terytorium Ukrainy. Ruscy mają pięciokrotną przewagę w sprzęcie i prowadzą atak ponad 1 mln żołnierzy na 700 tys. Ukraińców. I dalej nie dają rady. Praktycznie drepczą w miejscu przy olbrzymich stratach. Ale w mediach się odgrażają, że już jesienią dojdą do Rumunii. Chciałaby dusza do raju, tylko grzechy nie puszczają.

O tym, jak wygląda prawdziwe życie na froncie, opowiadają na filmie żołnierze 93. Brygady Chołodnyj Jar, wsławionej obroną południowo-zachodniej części Bachmutu. W strefie, w której wszystko jest widoczne, a każdy pojazd natychmiast staje się celem ataku, żołnierze wycofują się pieszo, chroniąc się zarówno w przygotowanych, jak i w zaimprowizowanych schronach. Jeden z relacjonujących wycofywał się ze zniszczonej pozycji przez linię drzew do swoich przez... 40 godzin! Nie jakieś kilometry, tylko kilkadziesiąt, najwyżej kilkaset metrów. Drugi trzymał pozycję przez trzy miesiące, z czego przez miesiąc w pojedynkę, bo drugiego z obsady ewakuowano z powodu ran. Takie przeżycia zostawiają blizny w psychice na całe życie, ale jednocześnie niweczą rojenia o zwycięstwie typów pokroju Gierasimowa.

Ile potrafił dziennie wystrzelić jeden z Krabów (polska armatohaubica samobieżna) walczących pod Bachmutem oraz jakie przewagi ma produkt naszego przemysłu zbrojeniowego nad konstrukcjami posowieckimi? Opowiada o tym w wywiadzie dla portalu Defence24.pl jeden z żołnierzy (Jewgienij „Mutz"), pełniący funkcję mechanika w 26. Samodzielnej Brygadzie Artylerii. Wspomina o szoku technologicznym po przesiadce z pojazdów powstałych w ramach sowieckiej filozofii na te już nowoczesne (wskazując na Kraba). Przede wszystkim podziękował polskiej stronie za wsparcie wojskowe, m.in. właśnie za przekazanie armatohaubic Krab, które są cenioną konstrukcją. Wspomniał, że znał przypadek, kiedy produkt Huty Stalowa Wola oddał w ciągu dnia 260–270 strzałów w okolicach Bachmutu – w odróżnieniu od niemieckich PZH 2000, którym przegrzewa się lufa. Kwestię posługiwania się komputerami zastosowanymi w Krabie (np. tym w systemie Topaz) określił jako łatwą do przyswojenia mimo braku znajomości języka polskiego. „Mutz" wspomina, że 80 proc. napraw Krabów da się zrealizować tylko podczas rozmowy telefonicznej z załogą. Wspomniana została kwestia operowania Krabem, np. prowadzenia ognia w przypadku „zawieszenia komputera", która jest możliwa m.in. dzięki przyrządom optoelektronicznym czy celownikowi pozwalającemu strzelać na wprost pojazdu. Zdaniem ukraińskiego artylerzysty Krab jest konstrukcją stosunkowo mało awaryjną. Jako kontrprzykład została opowiedziana historia ciągnionej haubicy FH70 (haubica kalibru 155 mm opracowana wspólnie przez Niemcy, Wielką Brytanię i Włochy), która rano wychodziła z warsztatu po naprawach i jeszcze wieczorem wracała do serwisu – i tak przez cztery dni. Był także przypadek, w którym z dwóch takich konstrukcji stworzono jedną, by mogła wrócić szybko na front. No cóż, cudze chwalicie, a swego nie znacie.

Współpraca: „Skipper"

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 848ef1d67b

BĄDŹ SOBĄ – PRZECZYTAJ

Okruchy sierpnia

Aleksander Nalaskowski

Ile razy można powtarzać, że „takie będą Rzeczypospolite, jakie ich młodzieży chowanie”? Ta fraza, wypowiedziana i upowszechniana przez Jana Zamoyskiego, nigdy nie traci na aktualności. Ile więc razy można przekonywać, że szkoła, system oświatowy, działania wychowawcze to nie wydatek, lecz inwestycja? Czy zakutym łbom polityków trzeba to powtarzać bez ustanku? Pewnie tak. I pewnie bezskutecznie, bo nie wyobrażam sobie, że do rozmaitych Jońskich czy Szczerbów to dotrze.

Czasem słyszę, że wykształcenie doceni tylko człowiek wykształcony. Nic bardziej mylnego! Ileż dzieci chłopskich, dzieci z prostych, proletariackich domów się wykształciło, a ile zrobiło prawdziwą karierę naukową, artystyczną, pedagogiczną? Czyż nie świadczy to o ich rodzicach?

Szkoła ulega permanentnym zmianom, a najczęściej deformacjom. Czymże jak nie nieudanym eksperymentem były gimnazja, które kosztowały nas kilka roczników źle wykształconych i nieprzygotowanych do nauki w liceum (które skrócono) uczniów? Czym są obecne, rewolucyjne zmiany Barbary Nowackiej, „ministry” o umysłowości praczki? Można zmieniać szkołę w przekonaniu, że będzie lepsza, tak jak to robili Handtke i Buzek, a można zmieniać ją, tak jak Nowacka, bezmyślnie, pod dyktando chorej ideologii i walki z Kościołem.

Można zmieniać szkołę w przekonaniu, że będzie lepsza, tak jak to robili Handtke i Buzek, a można zmieniać ją, tak jak Nowacka, bezmyślnie

O ile poprzedni ministrowie piastowali swoje urzędy, o tyle Nowacka po prostu grasuje. Bezmyślnie, byle wszystko wywrócić i zrobić niemożliwy bałagan. I właśnie od września będziemy świadkami zaaplikowania szkole idiotycznych „reform”, które wprowadzą chaos i dezorientację. Wiele tych decyzji nie ma żadnego umocowania merytorycznego ani dydaktycznego. Cytując klasyka: „To nie zbrodnia, to błąd!”. Jeśli szkołę uczynimy bezbożną i pozbawioną ducha w imię racjonalistycznych przekonań, to Rzeczypospolite też będą bezbożne, bez ducha i zasad.

Dziwnie ucichły głosy i informacje o odkryciu na Bałtyku, po polskiej stronie wyspy Uznam, przebogatych złóż ropy i gazu. Liczono je w milionach ton i wróżono, że na kilka dekad mogą zaspokoić potrzeby energetyczne naszego kraju. I co? No właśnie nic. Podobno Niemcy coś próbowali blokować, ale dokładnie co, tego już nie wiemy, bo temat zniknął. Czyżby to był tylko mało wyrafinowany fejk? Bo jest nieco dziwne, że taki „gruby” temat pozostaje nieruszony, a wręcz przemilczany.

Przed laty Stanisław Cat-Mackiewicz pisał: „Przecież my, Polacy, nie znosimy właściwych ludzi na właściwych miejscach. My nie lubimy naczelników, szefów, wodzów inteligentnych. Nawet na prezesów naszych stowarzyszeń, stronnictw, organizacji z radością wybieramy ludzi niebojowych, to znaczy pozbawionych indywidualności. Kult poczciwego durnia jest jedynym powszechnie uznanym kultem w Polsce”. Ta diagnoza pasuje, jak ulał do Tuska i jego ministrów. Natomiast prezydent Nawrocki jest jej żywym zaprzeczeniem. Znajomy sztygar powiedział, że „Nawrocki urodził się po to, aby być prezydentem”. Rzeczywiście, prezydenturę ma jakby we krwi. To człowiek jakiś, z właściwościami i energią. Uczciwy i słowny. Daj Boże więcej takich postaci w naszym życiu publicznym. I jeszcze daj Boże, że nie zawiedzie. Początek ma naprawdę świetny.

Chyba niewiele osób publicznych dokonało takiej samodegradacji jak Lech Wałęsa. Pamiętam, jak w 1980 r. wraz z kolegami stałem pod stocznią, gdy prowadzono rozmowy i podpisywano porozumienia. Pamiętam Wałęsę na bramie nr 2 stoczni. Jakże go wtedy wielbiłem. Imponował mi odwagą i siłą. Dawał nadzieję. Dzisiaj jest już tylko byłym agentem „Bolkiem”, autorem idiotycznych filmików w internecie, trollem, postacią kompletnie pogubioną. On sam nie wie, kim jest. Ani to błazen, ani grabarz. Tak naprawdę to nadęty nikt z nagrodą Nobla. Co rusz jedzie do USA „na wykłady”. Na Boga, a cóż on może wykładać?! Co takiego ma do powiedzenia konfident SB i niegdysiejszy szemrany prezydent? Współczuję jego tłumaczom, bo tłumaczenie jego języka to musi być makabra.

Wraca temat reparacji za ogrom szkód i krzywd, które w czasie II wojny światowej zadali nam Niemcy. To ogromne, należne nam sumy – za zburzone miasta, za pracę przymusową, za skradzione dobra, dzieła sztuki i przejęty majątek. Jak dotąd Niemcy się nie kwapili i nie kwapią do wypłacenia odszkodowań. A jest to warunek budowania dobrosąsiedzkich relacji i szczerego dialogu. Sprawa reparacji nie może być tematem tabu we wzajemnych stosunkach. Właśnie tę kwestię jednoznacznie podnosi prezydent Karol Nawrocki, który jest pierwszym politykiem mówiącym o tym tak głośno i bez niedomówień. To bardzo trudne sprawy i ciężko teraz wróżyć, jak się potoczą. Jest jednak jasne, że bez naszych starań nie potoczą się wcale.

eprasa.pl 848ef1d67b

Michał Korsun prezentuje:
Jaki asystent, taki jego Robert Biedroń

Wycinki z przeszłości

Przed nami wykopki, czyli zbiór ziemniaków. Kiedyś był to bardzo ważny czas, bo od drugiej połowy XIX w. aż do końca PRL „kartofle", „grule" czy „pyry" stanowiły podstawę diety Polaków. Dziś znaczą mniej – jemy więcej makaronów, ryżu czy kaszy – ale wciąż są ważne. Istnieją tysiące przepisów na potrawy z ziemniaków. My podajemy jeden, zamieszczony przez „Przyjaciółkę" w numerze piątym z 1974 r. Jest to przepis na knedle ziemniaczane ze skwarkami. „1 kg ziemniaków, 2 jaja, 10 dkg bułki tartej, 15 dkg boczku, trochę mąki ziemniaczanej. Ugotowane ziemniaki mielimy przez maszynkę, dodajemy 2 jaja, bułkę tartą, około 2 dkg mąki ziemniaczanej i skwarki z boczku. Wyrabiamy na gładkie ciasto i formujemy z niego niewielkie knedle. Gotujemy je w osolonej wodzie do 15 minut. Podajemy polane tłuszczem, z surówką". Smacznego!

(jk)

Z WOLEJA

Czas przeszły dokonany

Ryszard Czarnecki

Garść sportowych wspomnień. Pierwszy mecz piłkarskiej reprezentacji Polski, który widziałem na własne oczy: miałem wtedy 12 lat, a Polska w eliminacjach mistrzostw Europy grała na Stadionie Dziesięciolecia z Włochami. Było 0:0. Nagle piłka wturlała się do włoskiej bramki, stadion ryknął, ale okazało się, że w bocznej siatce była dziura i żaden gol nie padł! Jak wychodziliśmy po meczu, paru Włochów głośno się cieszyło, że urwali punkty Biało- Czerwonym, z którymi przegrali przecież rok wcześniej na Mundialu w NRF 1:2. Idący koło mnie wąsacz Sarmata skomentował głośno i z wyraźną niechęcią w głosie: „Jak żeście w Stuttgarcie w dupę dostali, to tak się nie cieszyliście!". Synowie Italii nie znali polskiego, lecz intonacja głosu wystarczyła, żeby się przymknęli.

Pierwszy wyjazdowy mecz drużyny narodowej z moim kibicowskim udziałem to podróż do Lipska na spotkanie z komunistyczną NRD. Miałem wtedy 16 lat. Żeby pojechać, musiałem na parę dni zerwać się z ogólniaka. Klasyczne wagary, a do tego jeszcze piłkarskie. Przegraliśmy 1:2 po dwóch golach Joachima Streicha, choć prowadziliśmy 1:0. A ja zapamiętałem jednego kibica z naszej wycieczki organizowanej przez Orbis w wieku średnio-starszym, który ledwo ukrywał radość z porażki Polaków, folksdojcz jeden. Brakowało mu tylko tyrolskiego kapelusika i swastyki. „Dobry mecz był" – mówił i uśmiechał się od ucha do ucha, zachęcając, żeby dać mu w pysk. I jeszcze jeden, kompletnie pijany, na dworcu w Lipsku, nie tak daleko od miejsca, gdzie w nurtach Elstery zginął książę Józef Poniatowski, niegdyś birbant i bawidamek, a potem przykładny dowódca i bohater ojczyzny. Na owym dworcu kompletnie pijany polski kibic z szalikiem w barwach narodowych siedział na posadzce hali dworcowej pełen agresji do... rodaków. Nie zapomnę pogardliwych spojrzeń wschodnioniemieckich milicjantów patrzących na niego i na nas.

Jednak wcześniej, już całkiem za szczenięcych lat, pamiętam reakcje kolegów z podstawówki w podwarszawskim Michalinie, którzy po kultowym meczu na Wembley, gdzie wyrwaliśmy zwycięski remis 1:1, decydujący o awansie na Mundial 1974 w kapitalistycznych Niemczech Zachodnich, wołali do mnie – z racji urodzenia w Londynie – „Anglik", a ja rzucałem się z pięściami, nawet nie proponując popularnej wtedy „solówki", czyli walki po lekcjach jeden na jeden.

Dwa lata wcześniej pierwszy raz poczułem tę wyjątkową atmosferę wspólnoty polskiego ludu piłkarskiego, gdy nasi kibice w grupach i grupkach z szalikami i flagami wracali ze Stadionu Dziesięciolecia po przegranym 1:3 meczu z NRF. Wtedy za bolesną porażkę ze Szwabami obwiniano bramkarza Jana Tomaszewskiego – tak, tego samego, który został dwa lata później bohaterem w starciu z Albionem na wspomnianym Wembley. Od zera do bohatera. Zaczęło do mnie docierać, że sport uczy pokory...

eprasa.pl 848ef1d67b

OD A DO ZYBERTOWICZ

Zielone jedynie intencje?

To nie młodsze pokolenia są bardziej zaangażowane w kwestie klimatyczne i środowiskowe, ale osoby po 60. roku życia są najbardziej proekologiczne

To już niemal rytuał. Gdy wybieramy się nad jezioro, w nasze ulubione miejsce, zawsze zabieramy ze sobą rękawice i worek na śmieci. Do jeziora prowadzi krótka leśna droga. Nawet jeśli po drodze nie natkniemy się na śmieci, co niestety czasem się zdarza, to niemal zawsze czekają na nas na brzegu, na małej, dzikiej plaży. A to walające się niedopałki, kapsle i butelki po piwie, a to puszki po energetykach, opakowania po chipsach i innych przekąskach, plastikowe butelki po napojach.

Wypoczynek nad jeziorem zwykle zaczynamy od *sprzątania świata*. Wcale nam się to nie podoba. Ostatnio natknęliśmy się w lesie na worek niemal w pełni załadowany śmieciami i porzucony przy ścieżce. Może ktoś – tak jak my – też sprzątał świat, ale mu się znudziło? A może worek okazał się za ciężki? Ta druga możliwość jest prawdopodobna, bo zawleczenie tego worka do śmietnika kosztowało nas nieco trudu.

Czasem się zastanawiam, kto tak śmieci. Rodziny z dziećmi? Piknikująca grupa przyjaciół? Uczniowie na wakacjach lub wagarach? Miejscowi czy przyjezdni? Starzy czy raczej młodzi... A kto najczęściej pije energetyki?

EKOFANI, EKOSPECE

Portal Raport CSR.pl w artykule z 10 czerwca 2025 r. donosi: „Polska młodzież w gronie najbardziej zaangażowanych ekologicznie na świecie". „Taa – uśmiecham się pod nosem – szczególnie ta młodzież spędzająca czas nad »moim« jeziorem".

Autor, Paweł Maciejewski, powołując się na raport UNICEF, pisze, że „młode pokolenie w Polsce rozumie wyzwania związane z kryzysem klimatycznym i chce być aktywnym uczestnikiem zielonej transformacji". Podaje, że aż 80 proc. młodych Polaków odczuwa niepokój związany z kryzysem klimatycznym, a wśród młodych Francuzów to tylko 63 proc. Dodaje jeszcze, że polską młodzież „wyróżnia wyjątkowe połączenie troski z proaktywnym nastawieniem", bo aż 84 proc. ankietowanych wierzy, że „wciąż mamy czas, by zatrzymać najgorsze skutki zmian klimatycznych" dzięki posiadaniu tzw. zielonych umiejętności (ang. *green skills*).

To pojęcie ostatnio robi karierę – pojawia się w oficjalnych strategiach, programach edukacyjnych i grantach. Chodzi o wiedzę, kompetencje i wartości potrzebne do życia i pracy w zasobooszczędnej i zrównoważonej gospodarce. Ze wspomnianego raportu UNICEF wynika, że blisko 80 proc. młodych Polaków uważa, że posiada takowe kompetencje, a 76 proc. jest „zainteresowanych podjęciem pracy w sektorze ekologicznym".

A ja się zastanawiam, czy oni faktycznie żyją w zgodzie z troską o środowisko.

W TEORII ZIELONE

„Wbrew przekonaniu, że to młodsze pokolenia są bardziej zaangażowane w kwestie klimatyczne i środowiskowe, to jednak osoby po 60. roku życia są najbardziej proekologiczne" – podaje z kolei popularny portal Nauka w Polsce (27 sierpnia 2025 r.).

Taki wniosek płynie z niedawnych badań na temat świadomości ekologicznej wśród różnych generacji Polaków, które przeprowadzili naukowcy z Akademii Leona Koźmińskiego i Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego. Jedna z badaczek stwierdziła, że wyniki bardzo ją zaskoczyły: „Głównie dlatego, że powszechnie uważa się pokolenie Z za generację, która jest najbardziej świadoma ekologicznie, aktywna w działaniu. Tymczasem to najstarsi, generacja powojennego wyżu demograficznego, prowadzą bardziej zrównoważoną konsumpcję. Można ich uznać za najbardziej odpowiedzialnych spośród wszystkich pokoleń".

A przebadano przedstawicieli czterech pokoleń: baby boomers (1945–1964), pokolenie X (1965–1979), milenialsów (1980–1994) oraz zetki (1995–2012). Uwzględniono ich codzienne nawyki proekologiczne: segregowanie śmieci, korzystanie z toreb wielorazowych, oszczędzanie energii i wody, rezygnację z jazdy samochodem, unikanie plastiku, ograniczanie zakupów odzieży i mięsa. Na podstawie średniej liczby deklaracji takich właśnie zachowań pokolenie 60+ uzyskało najlepszy wynik.

Ciekawe, czy w lesie nad brzegiem jeziora troska o planetę kończy się tam, gdzie zaczyna nowa paczka chipsów i kolejna puszka z energetykiem. I czy to dotyczy wszystkich pokoleń?

Katarzyna Zybertowicz

Autopromocja x2

eprasa.pl 848ef1d67b

SUBSKRYPCJA wPolityce.pl Premium + i SIECI

Czytaj wygodnie i **wcześniej** niż inni już od 7,90 zł

- mocne komentarze publicystów, aktualne informacje z Polski i ze świata, wywiady z najważniejszymi ludźmi polityki
- **wszystkie zamknięte artykuły na** wPolityce.pl Premium +
- pełne **e-wydanie tygodnika** SIECI wcześniej niż inni, bo już w niedzielę o 18:00
- **w prezencie świetne ebooki Sieci Extra** udostępniane TYLKO subskrybentom

Zamów dziś na **www.siec.wpolityce.pl/oferta**

ZESKANUJ KOD I DOWIEDZ SIĘ WIĘCEJ

eprasa.pl 848ef1d67b

wPolsce 24

NIE MA NAS W TWOIM TELEWIZORZE?

Zacznij działać! Naciskaj na swojego operatora telewizji kablowej.

Dzwoń, pisz, przekaż mu kontakt do nas:

operatorzy.kablowi@wPolsce24.tv

Im więcej zgłoszeń otrzyma operator, tym szybciej
Ty i Twoi bliscy będziecie mogli oglądać wPolsce24.

Informacje o lokalnych i regionalnych operatorach tv:
www.wpolsce24.tv/gdzie-nas-ogladac

GDZIE NAS OGLĄDAĆ:

52	909 921, 196	62	192	32	825	65 339, 121	459	631	43
telewizja naziemna	polsat box	CANAL+	netia	orange	vectra	PLAY	inea	TOYA	evio

eprasa.pl 848ef1d67b